

Czarnek:
Humanistyka wymaga wsparcia

Siwiakowie:
Indeks popularności

Jurek:
Reforma okiem architekta

FORUM AKADEMICKIE

Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Nr 1/2021

PL ISSN 1233-0930 20 zł (VAT 8%)



Uniwersytet w stanie wojny Str. 24-38

Sznajder:
Szczepionki z polskim rodowodem

Stala:
Urodzaj słowników

Maron:
Romantyzm w kinie

FORUM AKADEMICKIE

„Forum Akademickie” towarzyszy polskiej nauce i szkolnictwu wyższemu od roku 1991 (początkowo, jako „Przegląd Akademicki”). Przez cały ten okres informuje o najważniejszych wydarzeniach z obszaru nauki i szkolnictwa wyższego, rozwiązaniach instytucjonalnych i prawnych, reformach systemowych i codziennych problemach badaczy. Tysiące uczonych i pracowników sektora nauki i uczelni przedstawiało na łamach FA swoje opinie i pomysły. Głos zabierali ministrowie i rektorzy, profesorowie i studenci, a także przedstawiciele otoczenia społecznego i gospodarczego uczelni i instytutów naukowych.

Miesięcznik informuje o wydarzeniach ze środowiska akademickiego znacznie pełniej niż gazety codzienne i portale poświęcone nauce. Pod prąd medialnych tendencji do upraszczania, pokazujemy skomplikowany świat badaczy, ich motywacji, dążeń, marzeń. Objaśniamy konteksty kulturowe, społeczne, historyczne, które kształtują polską naukę i edukację wyższą.

Częściej widzimy życie akademickie od lepszej strony, bo warto prezentować nowe inicjatywy i udane przedsięwzięcia. Nie stronimy też od krytyki działań osób i instytucji.

Pismo interesuje się wszystkimi dyscyplinami nauki. Dzięki temu daje Czytelnikowi, który jest najczęściej specjalistą w określonej dziedzinie, wgląd w inne obszary, obraz całości.



30 lat

Prenumerata „Forum Akademickiego” w 2021 r.

Szanowni Państwo, Drodzy Czytelnicy i Sympatycy „Forum Akademickiego”, Serdecznie zapraszamy do prenumeraty „Forum Akademickiego” w 2021 roku. Roczna prenumerata dla instytucji kosztuje 230 zł; prenumerata numerów 1-6: 120 zł, a 7-12: 110 zł. Prenumeratorom indywidualnym oferujemy specjalną bonifikatę, w związku z czym koszt prenumeraty wynosi 166 za cały rok i 86 zł za pół roku.

Redakcja

INFORMACJE I KOMENTARZE

Wydarzenia	2
Reprezentacja a nie rada – <i>Mariusz Karwowski</i>	6
Doktorantki – <i>Tomasz Burdzik</i>	6
Parlament wspólnych wartości – <i>Mariusz Karwowski</i>	7
Dwa lata do przodu – <i>Dominik Leżański</i>	8
Pakiet Wolności Akademickiej	10
Wolność w konsultacjach	10
Nowelizacja otwiera drzwi pseudonauce – <i>Jerzy Brzeziński</i>	10
Co po Brexicie?	12
Zainstalują się w Polsce – <i>Mariusz Karwowski</i>	13
Ambitny cel w Horyzoncie Europa – <i>Zygmunt Krasiński</i>	14
Studenckie życie kulturalne – <i>Mariusz Karwowski</i>	15
Modni naukowcy – <i>Krzysztof Ciepliński</i>	16
Z Pigionówki w świat – <i>Tadeusz Łopatkiewicz</i>	18
Opowieść tkana przedziwem pamięci S. Pignonia – <i>Franciszek Tereskiewicz</i>	19
Nowi profesorowie	73

ROZMOWA FORUM

Nie chcemy odkładać ewaluacji – rozmowa z dr. hab. Przemysławem Czarnkiem, ministrem edukacji i nauki	20
--	----

WOJNA KULTUROWA

Wojna kulturowa? Dziękuję, nie biorę... – <i>Łukasz Jach, Marcin Moroń</i>	24
O problemie wojny kulturowej – filozoficznie – <i>Adam Skowron, Janusz Sytnik-Czetwertyński</i>	27
Kulturkampf na polskim uniwersytecie – <i>Jan Majchrowski</i>	30
Uniwersytet i spór o mądrość – <i>Jarosław Horowski</i>	32
Wojna kulturowa a destrukcja uniwersyteckiej polonistyki – <i>Grażyna Halkiewicz-Sojak</i>	35

ŻYCIE NAUKOWE

Wyścig na dno – <i>Marlena Siwiak, Marian Siwiak</i>	39
---	----

Z laboratoriów

Biało-czerwone szczepionki – <i>Łukasz Sznajder</i>	58
Herbarium Pomeranicum – <i>Piotr Niedzielski</i>	60
Bogata historia słowników – <i>Ewa Stala</i>	64

Subtelny styl epoki – rozmowa z dr. hab. Marcinem Maronem z UMCS	68
---	----

ŻYCIE AKADEMICKIE

Sztuka akademickiego przetrwania – <i>Zbigniew Drozdowicz</i>	42
Amerykański sen we Wrocławiu – <i>Ziemowit Malecha</i>	45
Uczelnia czy korporacja? – rozmowa z prof. Józefem Jurkiem z Akademii Sztuki w Szczecinie	48
Nadmorskie asy – <i>Mariusz Karwowski</i>	52
Czytelnia czasopism – <i>Aneta Zawadzka</i>	55

Publikuj lub giń

Wirus anarchii – <i>Marek Misiak</i>	56
---	----

W STRONĘ HISTORII

Kartki z dziejów nauki w Polsce (233)

Człowiek-institucja – <i>Piotr Hübner</i>	71
--	----

OKOLICE NAUKI

O poziomach wynalazków – <i>Jerzy Adelt</i>	74
--	----

Książki

Przyszłość dydaktyki akademickiej – <i>Justyna Jakubczyk</i>	77
Historie dysput i sporów – <i>Bogdan Bernat</i>	77
Krytycyzm „starego klasyka” – <i>Zbigniew Chojnowski</i>	78
Czytając w ciemności – <i>Aneta Zawadzka</i>	78
Gigant w czasach fałszywych proroków – <i>Juliusz Gałkowski</i>	79
łKS, Widzew i cała reszta – <i>Mariusz Karwowski</i>	79

FELIETONY

Szkiełko w oku

Czy można leczyć zdalnie – <i>Piotr Müldner-Nieckowski</i>	76
---	----

Na marginesach nauki

Epoka postepistolarna – <i>Leszek Szaruga</i>	80
--	----

Projekt okładki – *Sławomir Makal*

FORUM AKADEMICKIE Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Rok XXVIII Nr 1 (326) Styczeń 2021

Adres redakcji: 20-601 LUBLIN, ul. Tomusza Zana 38, tel. 81 528 08 22, e-mail: redakcja@forumakademickie.pl, http://www.forumakademickie.pl. **Rada Patronacka:** prof. dr hab. Wiesław Banys, prof. dr hab. Katarzyna Chałasińska-Macukow, prof. dr hab. Andrzej Eliasz, prof. dr hab. Jarosław Górniak, prof. dr hab. inż. Andrzej Jajszczyk, prof. dr hab. inż. Jerzy Woźnicki – przewodniczący. **Redaguje zespół:** Piotr Kieraciński – dział informacji, redaktor naczelny (kieracinski@forumakademickie.pl), Grzegorz Filip – dział publicystyki (filip@forumakademickie.pl), Mariusz Karwowski – informacje, media elektroniczne (karwowski@forumakademickie.pl), Marek Remiszewski – sekretarz redakcji (remiszewski@forumakademickie.pl). **Stała współpraca:** Stefan Ciechan (fotograf), Paweł Kaniuk (DTP, www.web-graf.pl), Sławomir Makal (grafika), Marek Wronski (Marekwro@gmail.com), Aneta Zawadzka. **Promocja, kolportaż, konferencje:** reklama@forumakademickie.pl), Ewa Kostowska (kostowska@forumakademickie.pl). **Wydawca:** Fundacja Forum Akademickie, ul. Tomusza Zana 38 a, 20-601 LUBLIN. Prezes Zarządu: Piotr Kieraciński. **Druk:** Drukarnia „Akapit” Sp. z o.o. © Wszelkie prawa zastrzeżone. Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, a także zastrzega sobie prawo do skracania i opracowywania artykułów oraz zmiany ich tytułów. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam. **Prenumerata:** Zamówienia należy składać na adres redakcji. Konto: PEKAO S.A. 2112405497111001061654371. Prenumerata roczna dla instytucji 230 zł. Prenumerata roczna indywidualna 166 zł. e-mail: prenumerata@forumakademickie.pl. PL ISSN 1233-0930

Dwa w jednym

WARSZAWA Z początkiem nowego roku weszło w życie rozporządzenie Rady Ministrów, na mocy którego powstało Ministerstwo Edukacji i Nauki. Utworzono je z dwóch dotychczasowych resortów: Edukacji Narodowej oraz Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Ich likwidacji towarzyszyło odwołanie dwóch wiceministrów: Macieja Kopcia (MEN) i prof. Grzegorza Wrochny (MNIŚW). Na czele MEiN stoi dr hab. Przemysław Czarnek, prof. KUL. Jego zastępcami są: Dariusz Piontkowski, Wojciech Murdzek (obaj w randze sekretarzy stanu), Marzena Machałek (sekretarz stanu, pełnomocnik rządu ds. wspierania wychowawczej funkcji szkoły i placówki, edukacji włączającej oraz kształcenia zawodowego), prof. Włodzimierz Bernacki (sekretarz stanu, pełnomocnik rządu ds. monitorowania wdrażania reformy szkolnictwa wyższego i nauki) oraz dr Anna Budzanowska (podsekretarz stanu).

Zmiany w Radzie NCN

KRAKÓW Prof. Jacek Kuźnicki zastąpi prof. Małgorzatę Kossowską na stanowisku przewodniczącego Rady Narodowego Centrum Nauki. Od 2001 roku kieruje Laboratorium Neurodegeneracji w Międzynarodowym



Fot. MIBMIK

Instytucie Biologii Molekularnej i Komórkowej w Warszawie. W latach 2001–2018 był jego dyrektorem. Rada NCN składa się z 24 wybitnych uczonych reprezentujących różne dyscypliny nauki, powoływanych przez ministra właściwego ds. nauki. Do ich obowiązków należy m.in. określanie priorytetowych obszarów badań podstawowych, warunków przeprowadzania konkursów, jak również ustalanie wysokości środków finansowych przeznaczonych na realizację badań w poszczególnych dyscyplinach lub grupach dyscyplin. Kadencja Rady NCN trwa 4 lata, przy czym co dwa lata następuje wymiana połowy składu. Wśród 12 nowo powołanych na kadencję 2020–2024 jest czworo badaczy, którzy swoją funkcję będą sprawować drugą kadencję: prof. Krystyna Bartol, dr hab. Joanna Golińska-Pilarek, prof. Grzegorz Karch i prof. Anetta Undas.

IMol dołączył do „rodziny” PAN

WARSZAWA W połowie grudnia rozpoczął działalność Międzynarodowy Instytut Mechanizmów i Maszyn Molekularnych PAN. Będą w nim prowadzone badania naukowe, prace badawczo-rozwojowe i szkolenia



Fot. M. Mizerski

w zakresie nauk biologicznych, chemicznych, medycznych, biotechnologicznych, farmakologicznych i pokrewnych. Jego powstanie było możliwe dzięki porozumieniu PAN i Uniwersytetu Medycznego w Getyndze oraz umowie PAN z Uniwersytetem Warszawskim. IMol będzie kontynuował projekt ReMedy, który w 2017 roku otrzymał dofinansowanie w wysokości 40 mln zł z programu Fundacji na rzecz Nauki Polskiej „Międzynarodowe Agendy

Badawcze”. Dotychczas był on realizowany w Centrum Nowych Technologii Uniwersytetu Warszawskiego, które jest też siedzibą nowego instytutu. ReMedy zajmuje się prowadzeniem badań dotyczących mechanizmów regeneracyjnych. Na czele IMol stanęła prof. Agnieszka Chacińska (na fot.), laureatka programu MAB. To 69 instytut działający w strukturze PAN i pierwszy powołany od czasu obowiązywania ustawy o PAN z 2010 roku.

Połączyli siły

GDAŃSK Gdański Uniwersytet Medyczny, Politechnika Gdańska oraz Uniwersytet Gdański utworzyły Związek Uczelni w Gdańsku im. Daniela Fahrenheitta. Sojusz otwiera drogę do przyszłej federalizacji uczelni. Pierwszym przewodniczącym został prof. Krzysztof Wilde, rektor PG. Od 2005

r. GUMed, PG i UG zrealizowały wspólnie ponad 30 projektów naukowych i badawczo-rozwojowych na łączną kwotę blisko 270 mln zł. Prowadzą ponadto kilka międzyuczelnianych kierunków studiów, a także Międzyuczelniany Wydział Biotechnologii (GUMed i UG). To już piąty związek uczelni publicznych. W 2015 roku utworzono „InnoTechKraK” (AGH, PK, URK), w 2017 – „Uczelnie Śląskie” (ATH, PCz, PO, PŚI, UŚ) i Związek Uczelni Lubelskich (PL, UMCS, UP), zaś w 2018 – Związek Wielkopolskich Publicznych Uczelni Zawodowych (Akademia Kaliska, PUSS w Pile, PWSZ w Gnieźnie, Lesznie i Koninie).

Brukselki za H2020

WARSZAWA Uniwersytet Warszawski, Narodowe Centrum Badań Jądrowych w Świerku i Instytut Chemii Bioorganicznej PAN w Poznaniu zdobyły Kryształowe Brukselki 2020 dla instytucji naukowych. Indywidualne



Fot. SGGW

laurę otrzymali prof. Magdalena Król (na fot.) ze Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego i dr Jacek Gajewski z NCBJ. Nagrody przyznawane są od 2001 r. przez Krajowy Punkt Kontaktowy Programów Badawczych UE. W tym roku wręczono je za osiągnięcia w całym Programie Ramowym Horyzont 2020. W latach 2014–2020 naukowcy z UW brali udział w 105 projektach (w 20 uniwersytet był koordynatorem), zdobyli 9 grantów ERC i pozyskali 31,9 mln euro. NCBJ w Świerku uczestniczyło w 28 projektach, z których 5 koordynowało, o wartości 17,4 mln euro. Z kolei IChB PAN ma na koncie 76 projektów (w tym 4 koordynacje) za ponad 31 mln euro. Nagrodę specjalną przyznano prof. Tadeuszowi Burczyńskiemu, dyrektorowi Instytutu Podstawowych Problemów Techniki PAN w uznaniu jego zasług w zakresie zaangażowania i wsparcia działań KPK oraz zwiększenia polskiego uczestnictwa w H2020, a także aktywizacji polskich ekspertów w Brukseli i promocji polskich inicjatyw badawczych i technologicznych. IPPT przez ponad 20 lat był siedzibą KPK PB UE, który 1 stycznia stał się częścią Narodowego Centrum Badań i Rozwoju.

Sportowe studia

WARSZAWA Do drugiej odsłony Narodowej Reprezentacji Akademickiej zakwalifikowano 38 uczelni, w tym 7 niepublicznych. Naukę na studiach i karierę sportową realizować będzie równolegle 478 żaków. Najwięcej w akademiach wychowania fizycznego w: Katowicach (179), Gdańsku (33) i Krakowie (31) oraz w Wyższej Szkole Gospodarki w Bydgoszczy



Fot. AZS

(31) i Politechnice Opolskiej (30). Program NRA wystartował w 2019 roku. Wsparciem objęto wówczas 412 studentów-sportowców, m.in. szermierza Mateusza Antkiewicza z AZS AWF Katowice (na fot.). Na dodatkowe zajęcia dydaktyczne dla nich przeznaczono ponad 7,1 mln zł. Projekt NRA wspiera proces kształcenia studentów-sportowców. Program zajęć realizowany jest w formie indywidualnej organizacji studiów w ciągu całego roku kalendarzowego zgodnie z zaplanowaną liczbą dodatkowych godzin na danego studenta-sportowca.

Rekrutacja 2020

WARSZAWA Ponad 428,6 tys. osób rozpoczęło w październiku studia na polskich uczelniach. Zdecydowana większość, bo prawie 300 tys., uczy się w szkołach publicznych. Naukę na studiach I stopnia i jednolitych magisterskich podjęło ponad 314 tys. chętnych. Czołówkę najpopularniejszych kierunków tworzą: informatyka (33,6 tys.), psychologia (29,2 tys.) i zarządzanie (25,4 tys.). Najbardziej obleganym kierunkiem była inżynieria internetu rzeczy. Aby się na nią dostać, trzeba było zdeklasować aż 28 konkurentów. Wśród najbardziej obleganych uczelni na pierwszych trzech miejscach w zestawieniu znalazły się politechniki: Poznańska, Gdańska i Warszawska, w których na jedno miejsce było więcej niż 6 kandydatów. Najczęściej wybierane uczelnie to: Politechnika Warszawska (45 tys.), Uniwersytet Warszawski (43 tys.) i Uniwersytet Jagielloński (33 tys.), a spośród uczelni niepublicznych Wyższa Szkoła Bankowa z siedzibą w Poznaniu (10,9 tys.).

Nowa uczelnia na Śląsku

RYBNIK List intencyjny w sprawie utworzenia Państwowej Wyższej Szkoły Medycznej podpisali 17 grudnia marszałek województwa śląskiego Jakub Chęstowski, wicemarszałek Wojciech Kałuża, prezydent



Fot. Tomasz Żak

Rybnika Piotr Kuczera, przewodniczący Związku Gmin i Powiatów Subregionu Zachodniego Województwa Śląskiego Mieczysław Kieca i dyrektor ZGiPSZ Adam Wawoczny. Inicjatorką powołania uczelni jest Violetta Dytko – dyrektor SALUS Opieka Domowa. Szkoła ma powstać już w tym roku. Będzie kształcić przyszłe kadry medyczne na studiach I stopnia w Instytucie Pielęgniarstwa na kierunku pielęgniarstwo, a także kosmologia i dietetyka w Instytucie Nauk o Zdrowiu. W kolejnych latach planowane jest uruchomienie studiów II stopnia oraz podyplomowych. Początkowo na każdym kierunku studiować ma około 50 osób. Siedziba będzie zlokalizowana na terenie rybnickiego kampusu, w budynku, który przed laty zajmował Uniwersytet Śląski.

GUMed partnerem EIT Health

GDAŃSK Gdański Uniwersytet Medyczny dołączył do EIT Health – największego europejskiego partnerstwa publiczno-prywatnego działającego na rzecz rozwoju innowacji w medycynie i opiece zdrowotnej. To druga uczelnia medyczna w Polsce – po UM w Łodzi – która została partnerem sieci. Jest w niej także Sieć Badawcza Łukasiewicz oraz Instytut Medycyny Pracy im. Nofera w Łodzi. EIT Health to organizacja non profit działająca z ramienia Europejskiego Instytutu Innowacji i Technologii, utworzonego przez UE w 2008 r. Do tej pory przeszło 11 tys. studentów, lekarzy, naukowców, przedsiębiorców, wdrożyła na rynek

ponad 55 konkretnych rozwiązań (m.in. platforma telemedyczna monitorująca leczenie pacjentów z cukrzycą typu 2), udzieliła wsparcia ponad 600 najlepszym europejskim start-upom i pomogła uzyskać finansowanie inwestorskie w wysokości ponad 100 mln euro dla najbardziej obiecujących projektów.

Precedensowy wybór

GLIWICE Prof. Marek Pawełczyk, prorektor ds. nauki i rozwoju Politechniki Śląskiej, jako pierwszy w 30-letniej historii International Institute of Acoustics and Vibration został wybrany ponownie na prezidenta tej organizacji na lata 2021-22. Poprzednio pełnił tę funkcję w latach 2012–2014. Z IIAV związany jest od 1997 roku. Kieruje Zakładem Pomiarów i Systemów Sterowania w Instytucie Automatyki PŚ. W tym półroczu jest wiceprzewodniczącym Komitetu Polityki Naukowej. Jego zainteresowania badawcze dotyczą cyfrowego przetwarzania sygnałów, sterowania optymalnego i adaptacyjnego, aktywnej redukcji hałasu, aktywnej i półaktywnej redukcji drgań mechanicznych, pasywnego tłumienia hałasu i drgań, sterowania dźwiękiem i drganiami, systemów SCADA oraz przetwarzania sygnałów ultradźwiękowych. IIAV działa od 30 lat. Skupia naukowców, inżynierów, konsultantów, producentów specjalistycznej aparatury i oprogramowania z ponad 70 krajów.



Fot. Arch. prywatne

Przewodniczący od atomu

KATOWICE Prof. Janusz Janeczek, rektor Uniwersytetu Śląskiego w latach 2002–2008 oraz były przewodniczący Rady Narodowego Centrum Nauki, po raz drugi został powołany na stanowisko przewodniczącego Rady Bezpieczeństwa Jądrowego i Ochrony Radiologicznej przy Państwowej Agencji Atomistyki. To organ doradczy i opiniodawczy prezesa Państwowej Agencji Atomistyki. Do zadań Rady należy m.in. opiniowanie projektów zezwoleń na budowę, rozruch, eksploatację lub likwidację obiektów jądrowych, a także aktów prawnych i zaleceń organizacyjno-technicznych opracowywanych przez prezesa PAA. Prof. Janeczek został powołany na to stanowisko już w 2016 roku. Jest geologiem, specjalistą w dziedzinie geologicznych aspektów składowania odpadów promieniotwórczych, mineralogii pyłów atmosferycznych i pegmatytów. Na UŚ kierował Katedrą Geochemii, Mineralogii i Petrografii. Był rektorem tej uczelni w latach 2002-2008, a w latach 2016-18 przewodniczył Radzie NCN.



Fot. Agnieszka Szymala

Polka „wice” w AICA

KRAKÓW Dr Małgorzata Kaźmierczak z Uniwersytetu Pedagogicznego im. KEN w Krakowie została wybrana na stanowisko wiceprezidenta Międzynarodowego Stowarzyszenia Krytyków Sztuki na kadencję 2021–2023. AICA to pozarządowa organizacja z siedzibą w Paryżu afiliowana przy UNESCO. Udziela poparcia i wspiera krytykę artystyczną. W 63 sekcjach krajowych zrzesza ok. 5 tys. członków z 95 krajów. Do sekcji polskiej należy 150 osób. Nowa wiceprezydent AICA pracuje jako adiunkt na Wydziale Artystycznym UP w Krakowie. Jest autorką wielu krytycznych artykułów dotyczących sztuki współczesnej, w szczególności performansu. Od 1996 roku jest niezależnym kuratorem i organizatorem międzynarodowych wystaw.



dowych wydarzeń artystycznych w Polsce. W latach 2014–2016 roku była dyrektorem Galerii Miejskiej w Kaliszu, a następnie (do 2017 r.) dyrektorem Biblioteki Akademii Sztuki w Szczecinie. Zajmuje się również teorią i dokumentacją sztuki performance. Jest współredaktorem anglojęzycznego portalu www.livinggallery.info.

Polska liderka

RZESZÓW Dr n. med. Agnieszka Rynkiewicz z Uniwersytetu Rzeszowskiego została powołana przez Radę Naukową Międzynarodowego Towarzystwa Badań Naukowych nad Autyzmem na lidera tej organizacji w Polsce na lata 2021–2022. To pierwszy polski naukowiec, któremu powierzono stanowisko INSAR Global Senior Leader for Poland. Kieruje Zakładem Psychiatrii Kolegium Nauk Medycznych UR i Pracownią Badań Zaburzeń Neurorozwojowych oraz Psychiatrii Dzieci i Młodzieży UR. Prowadzi badania w obszarze zaburzeń neurorozwojowych, różnic międzypłciowych w autyzmie oraz wykorzystania nowoczesnych technologii w narzędziach diagnostycznych i terapeutycznych w autyzmie. Stworzyła autorskie narzędzie diagnostyczne: Questionnaire for Autism Spectrum Conditions (Q-ASC). International Society for Autism Research zajmuje się pogłębianiem wiedzy na temat autyzmu. Powstało w 2001 roku.



Fot. Arch. prywatne

Omiczna współpraca

WARSZAWA Interdyscyplinarne Centrum Modelowania Matematycznego i Komputerowego Uniwersytetu Warszawskiego podpisało porozumienie z Instytutem Biologii Systemowej w Tokio. Współpraca obejmie m.in. omikę oraz metody Big Data: algorytmy, programy i obliczenia dotyczące dużych ilości danych. Nauki omiczne mają na celu wyjaśnienie biologiczno-chemicznych zasad funkcjonowania organizmu przy użyciu nowoczesnych metod chemicznych i metod biologii molekularnej. Obie instytucje wprowadzą w Europie Środkowej multinarzędzie Garuda. To rozwiązanie obliczeniowe zapewniające łączność i automatyzację różnorodnych danych, urządzeń i analiz. ICM planuje też budowę silnej bazy wsparcia obliczeniowego dla grupy badaczy i studentów, szczególnie w dziedzinie bioinformatyki i genomiki. Japoński Instytut Biologii Systemowej jest prywatną instytucją badawczą non-profit założoną w celu promowania badań w zakresie biologii systemowej oraz ich zastosowania w medycynie.

Liczne rzeczne przeszkody

ŁÓDŹ Co najmniej 1,2 mln barier w postaci jazów, przepustów, brodów, śluz i ramp znajduje się w europejskich rzekach – ustalili badacze biorący udział w międzynarodowym projekcie AMBER. Są wśród nich naukowcy z Europejskiego Centrum Regionalnego Ekohydrologii PAN w Łodzi (prof. Maciej Zalewski, dr Małgorzata Łapińska i Kamila Belka) i Instytutu Rybactwa Śródlądowego im. Stanisława Sakowicza w Olsztynie (dr hab. inż. Piotr Parasiewicz). Przygotowali oni pierwszy ogólnoeuropejski wykaz barier – AMBER Barrier Atlas oraz aplikację do śle-



Fot. Maciej Zalewski

dzenia barier migracyjnych na rzekach – The AMBER Tracker. Opracowali także nowe sposoby budowy zbiorników, które zwiększają potencjał retencyjny dolin rzecznych, a w przypadku „rzek pracujących”, gdzie ważny jest transport i produkcja energii, proponują by-passy, omijające bariery z siedliskami dla ryb prądolubnych. Wyniki ich badań będą stanowić podstawę do powstania systemu połączenia co najmniej 25 tys. km europejskich rzek w ciągu najbliższej dekady.

Wsparcie dla arteterapeutów

ZIELONA GÓRA Uniwersytet Zielonogórski został przyjęty do European Consortium for Arts Therapies Education – organizacji wspierającej i nadzorującej proces kształcenia i rozwoju zawodowego arteterapeutów w Europie. ECARTe powstało w 1991 roku. Obecnie zrzesza 35 uniwersytetów z 14 krajów, na których wykładane są różne rodzaje terapii przez sztukę, w tym arteterapia przez sztuki plastyczne, muzykoterapia, dramaterapia, terapia tańcem, a w Holandii także terapia ogrodowa (hortikuloterapia). Pomaga swoim członkom w układaniu programów kształcenia, udostępnia zasoby wiedzy, umożliwia dokształcanie w formie kursów i warsztatów, organizuje konferencje z udziałem dyplomowanych arteterapeutów. Do tej pory jedynym polskim członkiem ECARTe była Akademia Ignatianum w Krakowie. Od 2 lat o dołączenie starał się UZ. Obecnie studenci arteterapii na Wydziale Nauk Społecznych UZ kończą drugi rok nauki. Naukowcy z Pracowni Arteterapii ściśle współpracują ze Stowarzyszeniem Arteterapeutów Polskich „Kajros”.

Stop zanieczyszczeniom

BIAŁYSTOK Kompaktowe skrubery, czyli urządzenia ograniczające zanieczyszczenia emitowane przez duże jednostki morskie, będą rezultatem prac naukowców Politechniki Białostockiej pod kierunkiem prof. Dariusza Butrymowicza. W ub.r. stworzyli podobne dla małych i średnich jednostek, w tym jachtów motorowych i kutrów. Rozwiązanie pozwala także na odzyskiwanie ciepła generowanego przez silniki i przekształcanie go w chłód, wykorzystywany następnie do klimatyzacji. Analogiczne urządzenie dla dużych jednostek ma mieć moc od 1 MW do ok. 20 MW. Mechanizm jego działania będzie oparty na technologii strumieniowej. Naukowcy opracują także układy wspomagające usuwanie tlenków azotu i cząstek stałych oraz układ monitoringu oczyszczania spalin i wody płuczkowej. Prototyp powstanie do 2022 roku. Wprowadzone w ub.r. nowe regulacje limitów spalin dotyczą ok. 70 tys. statków na całym świecie. Tymczasem co roku montowanych jest średnio tylko ok. 1300 klasycznych skruberów.



Fot. PB

Wykrywacz fake newsów

WARSZAWA Naukowcy z Uniwersytetu Warszawskiego pracują nad systemem wykrywającym akcje dezinformacyjne oraz pełniącym rolę detektora fake newsów w materiałach źródłowych w języku polskim lub angielskim. Źródłem danych będą szeroko pojęte zasoby online: media społecznościowe, serwisy internetowe i dostępne repozytoria. System IKONA identyfikuje te źródła, następnie gromadzi dostępne tam teksty i dokonuje – docelowo w czasie rzeczywistym – ich analizy. Powstanie za 2,5 roku. Stworzą go pracownicy Centrum Rafinacji Informacji, pierwszej spółki spin-off reprezentującej nauki humanistyczne na UW powołanej do analizy big data. Jej założycielami są naukowcy z Wydziału Dziennikarstwa, Informacji i Bibliologii UW. Projekt IKONA otrzymał ponad 6,6 mln zł dofinansowania z Narodowego Centrum Badań i Rozwoju.



Fot. FNP

Paradontoza a choroba Alzheimera

KRAKÓW Zespół naukowców z Wydziału Biochemii, Biofizyki i Biotechnologii Uniwersytetu Jagiellońskiego pod kierunkiem prof. Jana Potempy (na fot.) otrzymał Clinical Research Award przyznaną przez Amerykańską Akademię Periodontologii. Doceniono ich pionierskie badania, które mają bezpośrednie znaczenie kliniczne i zastosowanie w praktyce leczenia chorób przyzębia. Artykuł ukazał się na łamach „*Science Advance*”. Naukowcy po raz pierwszy przedstawili w nim dowody na to, że bakterie wywołujące paradontozę mogą mieć wpływ na rozwój choroby Alzheimera. Dodatkowo pokazali obiecujące badania nad nowym lekiem blokującym działanie toksyn bakteryjnych *Porphyromonas gingivalis*, który obecnie jest testowany w drugiej fazie badań klinicznych. Clinical Research Award jest przyznawana za najwybitniejszy opublikowany artykuł naukowy o bezpośrednim znaczeniu klinicznym w dziedzinie periodontologii.

Beton przyjazny naturze

WARSZAWA Nad specjalnymi prefabrykatami nawierzchniowymi, które pomogą nie tylko w oczyszczaniu powietrza, ale także filtracji wody opadowej i redukcji hałasu, pracują naukowcy z Wydziału Inżynierii Ładowej Politechniki Warszawskiej pod kierunkiem dr inż. Wioletty Jackiewicz-Rek. Planują opracowanie zupełnie nowej grupy cementowych wyrobów fotokatalizacyjnych z betonu porowatego i z wykorzystaniem tzw. fotokatalizatorów II generacji, czyli aktywnych również w zakresie światła widzialnego. Jamista struktura sprawi, że fotokataliza nie będzie ograniczona jedynie do powierzchni elementu, ale zajdzie również w warstwie przypowierzchniowej, co umożliwi zwiększenie efektywności oczyszczania powietrza. Porowatość będzie sprzyjała także tłumieniu fal dźwiękowych. Patent ten wypróbowano już przy okazji prac nad materiałem do produkcji tłumików torowych. Skuteczność rozwiązania będzie sprawdzana na poligonie badawczym na terenie PW oraz pod Warszawą, przy drodze krajowej o dużym natężeniu ruchu.

Srebrna WSPiA

RZESZÓW WSPiA Rzeszowska Szkoła Wyższa skończyła 25 lat. Pierwotnie działała pod szyldem Wyższej Szkoły Administracji i Zarządzania, a jej siedzibą był Przemysł. Wkrótce utworzono Wydział Zamiejscowy w Rze-



Fot. WSPiA

szowie. W 2007 roku nastąpiła zmiana nazwy na Wyższą Szkołę Prawa i Administracji, a w 2016 – na obecną: WSPiA Rzeszowska Szkoła Wyższa. Wtedy też uczelnia przeniosła się do Rzeszowa. W 2011 roku otrzymała uprawnienia do nadawania stopnia doktora w dziedzinie nauk społecznych w dyscyplinie nauki prawne. Dzięki temu została pierwszą na Podkarpaciu i w Polsce południowo-wschodniej niepubliczną uczelnią akademicką. Przez ćwierć wieku jej mury opuściło ponad 50 tys. absolwentów. Obecnie na czterech kierunkach kształci się ponad 5 tys. studentów. Rektorem od samego początku jest prof. Jerzy Posluszny, założyciel i inicjator powstania uczelni.

Wiedza na dotknięcie

KOSZALIN Biblioteki tradycyjne i wirtualne, demonstratoria osiągnięć naukowych oraz publiczna przestrzeń do wykorzystywania tych zasobów – to wszystko znajduje się w budynku Cognitarium Politechniki Koszalińskiej. Koszt powstania Centrum Wiedzy to ponad 50 mln zł. Zamiarem pomysłodawców jest wirtualizacja zbiorów i ich udostępnianie za pomocą cyfrowych narzędzi VR. Informacja naukowa zostanie powiązana z demonstracjami światowych osiągnięć naukowych w postaci modeli naukowych i replik rzeczywistych doświadczeń. Budynek znajdzie się w uczelnianym kampusie, nieopodal planowanego w przyszłości parku naukowo-technologicznego PK. Będzie zbudowany z cegły, co stanowi nawiązanie do historii miasta – Koszalin leży na Europejskim Szlaku Gotyku Ceglanego. Realizację projektu przewidziano na najbliższe 6 lat.



Fot. OVO Gąbżewscy Architekci

Pojadą do najlepszych

WARSZAWA Narodowa Agencja Wymiany Akademickiej ogłosiła wyniki trzeciego naboru w Programie im. Mieczysława Bekkera. Do najlepszych ośrodków naukowych w 26 krajach wyjedzie 135 stypendystów. Najwięcej do USA (21 osób), Wielkiej Brytanii (18) i Niemczech (17). Swoje projekty realizować będą m.in. na Uniwersytecie Oksfordzkim, Uniwersytecie w Cambridge, Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku, Uniwersytecie Stanforda, Uniwersytecie w Heidelbergu, Uniwersytecie Humboldtów w Berlinie, Uniwersytecie Karola w Pradze czy Uniwersytecie w Queensland. Ich pobyty będą trwać od 3 do 24 miesięcy. W sumie w dotychczasowych edycjach stypendia otrzymało ponad 400 naukowców.

Inspirująca nagroda

GDAŃSK Prof. Grzegorz Węgrzyn z Wydziału Biologii Uniwersytetu Gdańskiego otrzymał Vebleo Scientist Award. Prestiżowa nagroda jest przyznawana badaczom i naukowcom, którzy wnoszą istotny wkład w postęp swojej dziedziny i są inspiracją dla innych na całym świecie. Tegoroczny laureat zajmuje się biologią molekularną, chorobami genetycznymi oraz genetyką bakterii i bakteriofagów. Kierował zespołem, który opracował nową, a jednocześnie pierwszą skuteczną metodę leczenia choroby Sanfilippo, pozwalającą na zatrzymanie wyniszczających procesów tej choroby. Prof. Węgrzyn od 1996 roku kieruje Katedrą Biologii Molekularnej. W latach 2002–2008 pełnił funkcję dziekana Wydziału Biologii, Geografii i Oceanologii UG, a następnie – do 2016 r. – prorektora ds. nauki. Od 2019 roku przewodniczy Radzie Doskonałości Naukowej.



Fot. UG

Opracował Mariusz Karwowski

Współpraca: Beata Czechowska-Derkacz, Aleksandra Czyżowska, Piotr Karwowski, Izabela Koptoń-Ryńiec, Agnieszka Kowalska, Anna Modzelewska, Przemysław Pawlak, Ewa Sapeńko, Jacek Szymik-Kozaczko, Joanna Słowińska, Aleksandra Toczyłowska, Maciej Ulita, Jadwiga Witek, Łukasz Wspaniały

Wykorzystano serwisy prasowe szkół wyższych, placówek badawczych i instytucji otoczenia nauki.

Więcej aktualności na naszej stronie internetowej

www.forumakademickie.pl

oraz na naszych profilach na Facebooku

i na Twitterze



Reprezentacja a nie rada

Od 1 stycznia 2020 r. pracami Krajowej Reprezentacji Doktorantów kieruje Jarosław Olszewski, absolwent Międzywydziałowego Studium Biotechnologii Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie, doktorant na Wydziale Medycyny Weterynaryjnej SGGW. J. Olszewski jest asystentem naukowo-dydaktycznym w Katedrze Chorób Dużych Zwierząt SGGW. Działalność samorządową rozpoczął w Radzie Doktorantów SGGW, gdzie pełnił funkcję przewodniczącego. W ub.r. stał na czele Warszawskiego Porozumienia Doktorantów. Za badania nad opracowaniem znaczników nanocząsteczkowych do diagnostyki nowotworów w kontraście magnetycznym i fluorescencyjnym otrzymał nagrodę w konkursie Lider Innowacji w kategorii „Młody Wynalazca”. Jest 13. sternikiem w historii KRD i drugim wywodzącym się z SGGW (po Robercie Kiliańczyku w kadencjach 2012 i 2013).

Nowy przewodniczący KRD przedstawił „Forum Akademickiemu” swoje plany, zaczynając od odpowiedzi na pytanie, jak udało mu się wygrać w kandydatami z zarządu KRD poprzedniej kadencji.

– W moim przekonaniu głównym powodem braku reelekcji była konkurencja wewnątrz zarządu. Każdy miał inny pomysł na funkcjonowanie organizacji. Koncepcja działalności KRD, którą przedstawiłem, okazała się być odpowiedzią na realne potrzeby doktorantów. Owszem, zarzucano mi brak tzw. pamięci instytucjonalnej, bo rzeczywiście nie mam dużego doświadczenia w KRD, niemniej wsparło mnie spore grono wyborców – mówi J. Olszewski.

– Jesteśmy reprezentacją, a nie wąskim gronem decyzyjnym. Musimy więc reprezentować wszystkich doktorantów i być otwartymi na to, co porusza tę bardzo zróżnicowaną społeczność, co jest dla niej istotne, przed jakimi wyzwaniami staje. W ostatnim czasie nieco o tym zapomniano. KRD poszła w kierunku działalności eksperckiej, tworząc pewną lukę między lokalną a centralną samorządnością doktorantów. Walka o polepszenie uwarunkowań prawnych funkcjonowania naszego środowiska jest ze wszelkich miar potrzebna, ale delegaci chcą też mieć wpływ na określanie kierunku rozwoju organizacji – kontynuuje nowy szef KRD.

Zamierza wspierać ministerstwo we wdrażaniu pro doktoranckich rozwiązań, sugerować zmiany prawa, ale równocześnie deklaruje szersze otwarcie na lokalne organizacje doktoranckie, które – jak mówi – „de facto stanowią o sile samorządności, bo to w nich się najwięcej dzieje i to one mają największy wpływ na każdego doktoranta”. Swoje credo nowy szef KRD formułuje tak: reprezentacja zamiast rady.

Wśród swoich zamierzeń Olszewski wskazuje integrację rozproszonego środowiska doktorantów uczelni niepublicznych, być może

poprzez powołanie formalnego porozumienia tego środowiska. Jak mówi: – To specyficzna grupa, która do tej pory była niejako na marginesie z powodu swojego rozproszenia. Średnia wieku jest tam oczywiście wyższa niż w grupie doktorantów uczelni publicznych, bo zazwyczaj są to osoby z doświadczeniem zawodowym, co zresztą decyduje o ich atrakcyjności. Oprócz tej grupy Olszewski chciałby skłonić doktorantów z instytutów PAN do większego zaangażowania w działalność KRD. Zamierza też zwrócić uwagę na doktorantów zagranicznych, którzy swoje badania realizują u nas w kraju. – Chodzi o to, żeby poczuli się częścią naszej społeczności – mówi. – Z badań ankietowych prowadzonych w ubiegłym roku wynika, że najczęstszym problemem jest dla nich poczucie odizolowania, odseparowania, braku komunikacji z innymi doktorantami. Chcielibyśmy zlikwidować te bariery – dodaje. M.in. w tym celu w kalendarzu ma się pojawić ogólnopolska interdyscyplinarna konferencja doktorancka o statusie międzynarodowym w języku angielskim.

Za jedno z pierwszych zadań nowy szef KRD uważa ułatwienie doktorantom dostępu do zapożyczeń. – Stypendia doktoranckie nie wystarczają do tego, by radzić sobie z przejściowymi trudnościami życiowymi – mówi. Inna pilna kwestia to zrównanie statusu prawnego doktorantów wygaszanych już studiów doktoranckich oraz szkół doktorskich. Chodzi m.in. o to, aby można było wykazywać działalność naukową tych pierwszych w ewaluacji, czego nie przewiduje rozporządzenie ewaluacyjne w obecnym kształcie.

Jarosław Olszewski chciałby zorganizować targi pracy dla doktorantów sektora R&D. – To jest projekt istotny dla całego środowiska akademickiego – uważa. – Osobom pracującym i przy okazji robiącym doktorat nie trzeba specjalnie pomagać w odnalezieniu się w sferze biznesowej. Druga grupa, także świetna pod względem merytorycznym i naukowym, mająca ogromny potencjał i wiedzę, siedzi zamknięta w swoich zespołach naukowych, laboratoriach i choćby rektorzy nie wiem, jak się starali, nie dla wszystkich znajdują miejsce w akademii. Po zakończeniu kształcenia czeka ich moment wyjścia na rynek prywatny. Będzie to bardzo dotkliwe bez wcześniejszego uświadomienia, co ich czeka poza uczelnią, czym powinni się chwalić, jakie umiejętności są pożądane, wreszcie – gdzie mogą szukać pracy – mówi szef KRD. Zamierza także zwiększyć udział KRD w promocji zaangażowania biznesu w naukę, np. poprzez popularyzację doktorantów wdrożeniowych.

Mariusz Karwowski

Doktorantki

W nauce mamy do czynienia z brakiem równowagi między kobietami i mężczyznami. Opublikowany przez GUS doroczny raport dotyczący szkolnictwa wyższego w Polsce w 2019 r. został oparty na danych z 353 spośród 373 działających obecnie uczelni.

Na studiach doktoranckich prowadzonych przez uczelnie i instytuty naukowe oraz Centrum Medyczne Kształcenia Podyplomowego kształciło się w 2019 r. 53,9 tys. doktorantów, w tym 16,5 tys. kobiet, czyli zaledwie 30%. Zgoła odmienna sytuacja jest w nowo powstałych szkołach doktorskich, gdzie niemal połowę doktorantów – 1919,

czyli 49% – stanowią kobiety, co wskazuje na znaczący przyrost ich reprezentacji.

Warto zauważyć zróżnicowanie płci doktorantów w obu typach kształcenia doktorskiego ze względu na typy uczelni. Na uczelniach nadzorowanych przez MNiSW (obecnie MEiN) kobiety stanowią 29% słuchaczy studiów doktoranckich (12111 doktorantek), zaś w szkołach doktorskich 47% (1474 słuchaczek). W dawnej formule studiów doktoranckich w uczelniach nadzorowanych przez Ministerstwo Zdrowia w starym trybie kształciło się ponad 5 tys. doktorantów, z czego jedynie

35% stanowią kobiety (1994 doktorantek). Odmienne wygląda sytuacja w szkołach doktorskich, gdzie kobiety dominują – jest ich 245, czyli 63%. W uczelniach nadzorowanych przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego na studiach doktoranckich kobiety stanowią 33% słuchaczy (22 doktorantki), zaś w szkołach doktorskich 51% (26 pań). W Centrum Medycznym Kształcenia Podyplomowego zmiana udziału płci w szkole doktorskiej ma wręcz spektakularny charakter: 94% stanowią kobiety (ale to tylko 17 doktorantek) w porównaniu do 35% na studiach doktoranckich (24 panie). W uczelniach nadzorowanych przez Ministerstwo Gospodarki Morskiej i Żeglugi Śródlądowej kobiety stanowią dokładnie połowę uczestników szkół doktorskich (ale to raptem 2 doktorantki) oraz 33% na studiach doktoranckich (22 panie).

Kobiety stanowią większość – 55% (60) – spośród słuchaczy szkół doktorskich w uczelniach niepublicznych, zaś w formule studiów doktoranckich ich udział jest zdecydowanie niższy i wynosi 28% (ale to aż 1119 doktorantek). W szkołach doktorskich w uczelniach nadzorowanych przez Ministerstwo Obrony Narodowej kobiety stanowią 33% (15 pań), zaś w uczelniach prowadzonych przez kościoły i inne związki wyznaniowe – 44% (27 doktorantek).

Wbrew podanym wyżej liczbom i odsetkom tendencja w ostatnich pięciu czy dziesięciu latach jest inna. O ile w 2019 r. kobiety stanowiły 30% ogółu doktorantów w obu formułach kształcenia (18 396 doktorantek), to w 2015 r. ich udział w liczbie doktorantów wynosił 54% (23 548 pań), a w 2010 r. – 52% (18 693 doktorantek).

Istotny wzrost udziału kobiet w szkołach doktorskich pokazuje skokowe zrównoważenie płci w nowej formie kształcenia doktor-



skiego. Mimo pozytywnej zmiany, do jakiej doszło w szkołach doktorskich, należy być dalekim od hurraoptyzmu, patrząc na zjawisko w szerszym kontekście. Osiągnięcie niemal równego udziału płci wśród doktorantów w szkołach doktorskich nie znajdzie szybkiego przełożenia na zrównoważenie płci doktorów, a co za tym idzie – kadry naukowej. Wynika to ze znacznej dysproporcji płci w dawnej formie studiów doktoranckich, której skutki będą miały długofalowy charakter, kształtując stan krajowej nauki na długie lata. Powody dążenia do równego udziału płci w poszczególnych obszarach społeczno-zawodowych nie ograniczają się do ideologicznej walki z dyskryminacją płciową. Chodzi o dobro wspólne, jakim jest zrównoważony rozwój społeczeństwa. Jednym z kluczowych argumentów na rzecz pochylenia się nad kwestią proporcji płci w nauce jest równość szans rozwoju. Kobiety nadal stanowią mniejszość w nauce, zaś w staraniach o stanowiska kierownicze niejednokrotnie natrafiają na tzw. szklany sufit. Taka sytuacja w długofalowej perspektywie przyczynia się do marnowania cennych dla nauki talentów. Stąd też zasadne jest podejmowanie działań mających na celu propagowanie równości płci, a co za tym idzie – zmianę dotychczasowego stanu rzeczy.

Mgr Tomasz Burdzik, doktorant w Szkole Doktorskiej Uniwersytetu Opolskiego w dyscyplinie nauk o polityce i administracji, jest przewodniczącym Zespołu ds. Równego Traktowania Krajowej Reprezentacji Doktorantów.

Parlament wspólnych wartości

Mateusz Wojciech Grochowski, absolwent kierunku lekarskiego i student Wydziału Nauk o Zdrowiu Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku, został nowym przewodniczącym Parlamentu Studentów Rzeczypospolitej Polskiej. Zastąpił na tym stanowisku Dominika Leżańskiego (czyt. na str. 8-9). W latach 2017–2019 kierował Samorządem Studentów UMB. Przewodniczył także Komisji Wyższego Szkolnictwa Medycznego PSRP. Jest ekspertem ds. studenckich Polskiej Komisji Akredytacyjnej. Reprezentuje studentów w Radzie Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Jest szesnastym szefem PSRP.

– Wyzwaniem na kadencję 2021 jest wciąż zdalna formuła wszelkich aktywności: pracy, wydarzeń, nauki. W poprzedniej kadencji jednym z dominujących akcentów było wsparcie psychologiczne i chciałbym, by ten wątek nadal był mocno obecny w działalności Parlamentu – deklaruje Grochowski.

Wśród swoich planów wskazuje też stworzenie inicjatywy pod nazwą Start Młodego Samorządowca. Pozwoli ona osobom rozpoczynającym swoją przygodę z samorządem na zdobywanie doświadczeń pod okiem doświadczonych koleżanek i kolegów. Zamierza też skoncentrować się na projektach skierowanych do studentów rozpoczynających swoją karierę na rynku pracy.

– Obserwuję duże zainteresowanie podejmowaniem aktywności zawodowej już w trakcie studiów. Zależy mi, by każda młoda osoba miała szansę na płynne przejście z życia studenckiego do zawodowego. Odpowiednie przygotowanie zwiększa szanse



na wejście na rynek od razu po ukończeniu studiów albo nawet w ich trakcie – mówi nowy szef PSRP.

– Przygotujemy dużą kampanię informacyjną o funkcjonowaniu w szeroko pojętym dorosłym życiu. Przeprowadzimy akcje promocyjne, szkolenia online z pisania cv czy radzenia sobie ze stresem np. podczas rozmowy kwalifikacyjnej, poruszymy kwestie związane z różnymi formami umów czy kupnem mieszkania. Zależy mi, by Parlament Studentów angażował się w problemy społeczne oraz zdrowotne dotyczące studentów – mówi szef PSRP. Swoją kadencję na stanowiska szefa organizacji zamierza realizować zgodnie z hasłem „Parlament wspólnych wartości”.

W swoim programie wyborczym Grochowski zapowiedział także m.in. przygotowanie kwestionariusza do ewaluacji zajęć prowadzonych w najbliższym semestrze, uwzględniającego pytania dostosowane do różnego typu uczelni i zajęć, oraz przeprowadzenie monitoringu sytuacji osób z niepełnosprawnościami i udzielanego im przez uczelnie wsparcia. Za jeden ze swoich priorytetów uznał promowanie i angażowanie się w inicjatywy wspierające współpracę międzynarodową (np. program Uniwersytetów Europejskich) oraz wspieranie uczelni w wykorzystywaniu możliwości, jakie stwarza program Erasmus+ nie tylko z perspektywy mobilności studenckiej, lecz także tworzenia projektów międzynarodowych, których beneficjentami mogą być studenci.

Mariusz Karwowski

Dwa lata do przodu

Gdy pierwszego stycznia 2019 roku rozpoczynałem kadencję przewodniczącego Parlamentu Studentów RP, nie spodziewałem się, że te dwa lata będą tak intensywne. Oceniam ten czas bardzo pozytywnie, choćby z punktu widzenia rozwoju organizacji. W tej ocenie utwierdzają mnie liczne nowe projekty i skuteczne działania, które podjęliśmy w odpowiedzi na wdrażanie ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce oraz pandemię COVID-19. Jednak zdecydowanie największą satysfakcję sprawiło mi zbudowanie zespołu zaangażowanych ludzi z różnych uczelni, miast i kierunków studiów, którzy chcą wspólnie działać w organizacji na rzecz studentów, wymyślając i realizując fantastyczne projekty. Niestety, na początku kadencji musiałem zmierzyć się z kilkoma problemami finansowymi. Udało się je rozwiązać. Nasi następcy, czyli nowe władze statutowe PSRP, rozpoczynają kadencję z przyjemną budżetową nadwyżką. Aktualnie Parlament Studentów RP ma stabilną sytuację finansową.

Koronawirus zmienił plany wszystkim, a Parlament Studentów RP nie był pod tym względem wyjątkiem. Musieliśmy stworzyć je od początku, wprowadzając zupełnie nowe działania, czasami z dnia na dzień. Przykładem jest projekt „Student sam w domu” zachęcający do dbania podczas pandemii o bezpieczeństwo swoje i bliskich, a jednocześnie pokazujący rozmaite możliwości, jakie czekają na studentów w domu, na wyciągnięcie ręki. Przez 88 dni, oprócz udostępnianych infografik i pomysłów, zrealizowaliśmy 19 szkoleń i webinarów, dostępnych dla wszystkich oraz sesję Q&A z ministrem nauki i szkolnictwa wyższego. Niewątpliwie skorzystało na tym wielu studentów, a także zwiększyła się zdecydowanie rozpoznawalność Parlamentu Studentów wśród żaków, także tych niezaangażowanych wcześniej w działalność studencką. Przeprowadziliśmy dwie edycje Akademii Parlamentu Studentów RP, Konferencję Ekspertów Praw Studenta, Konwent Przewodniczących Samorządów Studenckich czy Galę Nagród Środowiska Studenckiego „Pro Juvenes”. Organizacja tych wydarzeń w formie online była nie lada wyzwaniem, ale nie mieliśmy wątpliwości, że chcemy dalej aktywnie działać na rzecz śro-

dowiska studenckiego w Polsce, które przecież istnieje także w czasie pandemii.

Wśród wszystkich projektów i inicjatyw najważniejsza tak naprawdę jest bieżąca działalność zespołu tworzącego Parlament Studentów RP. Dwa lata wyjątkowej pracy to coś z czego jesteśmy ze współpracownikami najbardziej dumni. Udało nam się błyskawicznie załatwić przedłużenie ważności legitymacji studenckich w momencie, kiedy wprowadzono ograniczenie funkcjonowania uczelni. Na bieżąco odpowiadaliśmy na tysiące spraw zgłaszanych przez studentów i samorządy studenckie, interweniowaliśmy w sytuacjach trudnych, prowadziliśmy setki szkoleń, przebudowaliśmy stronę internetową i uzyskaliśmy poparcie Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich oraz Rady Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego dla naszych postulatów dotyczących nowelizacji ustawy Prawo o szkolnictwie i nauce.

Przez dwa lata zdobyliśmy spore doświadczenie w pozyskiwaniu środków konkursowych na realizację własnych projektów. Umiejętność zdobywania dodatkowego, zewnętrznego finansowania przedsięwzięć Parlamentu Studentów – i organizacji studenckich w ogóle, bo przecież prowadziliśmy na ten temat szkolenia dla samorządów studenckich – z pewnością pozostanie pewnym know how organizacji i ułatwi działanie naszym następcom.

Najważniejsza jest jednak inna kwestia: zbudowanie pozytywnego wizerunku Parlamentu Studentów RP wśród samych studentów, a także instytucji szkolnictwa wyższego i partnerów zewnętrznych. Przekłada się to m.in. na pozytywny odbiór prowadzonych przez nas akcji i dobre relacje z RGNiSW oraz KRASP.

Dwa lata kierowania najważniejszą organizacją studencką w Polsce – nie obawiam się użyć tego sformułowania – na dodatek umocowaną ustawowo, odcisnęły piętno także na moim charakterze i formacji. Ta praca pomogła mi rozwinąć kompetencje, które zdobyłem w Samorządzie Studenckim Politechniki Łódzkiej, którym wcześniej kierowałem. Mam poczucie dużego rozwoju osobistego. Z rzeczy, któ-





ści studenckiej. Ale spokojnie, nie trzeba być ekstrawertykiem – tak naprawdę samorząd studencki ma tyle pół do działania, że każdy ma szansę dowiedzieć się czegoś nowego o sobie. Studia to świetna okazja do sprawdzenia się w różnych okazjach, a działalność studencka pozwala na to w znacznie większym stopniu niż sama realizacja programu kształcenia. Wydaje mi się, że chcę organizować w przyszłości wydarzenia, a zrobienie kosztorysu i harmonogramu organizacji juvenaliów to dla mnie koszmar? Mogę jeszcze zmienić swoją ścieżkę zawodową, właśnie dzięki temu, że odpowiednio wcześniej miałem możliwość sprawdzenia siebie. I do tego gorąco zachęcam wszystkich studentów: do próbowania, szukania, testowania, aż znajdziecie tego typu aktywności, które sprawiają wam frajdę i satysfakcję. A jak już znajdziecie, to pozostanie tylko wdrożyć je w swoje życie zawodowe.

Dominik Leżański

rych się nauczyłem w tym okresie, wymienię tylko kilka. Najważniejsza jest umiejętność budowania od podstaw zespołu współpracowników. Stworzyliśmy – Rada Wykonawcza i Biuro PSRP – zespół osób reprezentujących różne środowiska akademickie, mających często odmienne poglądy, a jednak potrafiących razem skutecznie działać na rzecz studentów. Nauczyłem się dzielić odpowiednio zadania i czas, a także motywować tych ludzi do pracy. Nie zliczę, ile razy mogłem testować umiejętności dotyczące planowania i realizacji projektów, w tym określania budżetu czy harmonogramu. Bardzo dobrze poznałem sektor szkolnictwa wyższego i osoby, które aktywnie w nim działają, a od których wiele się nauczyłem.

Samorząd studencki daje możliwość zdobycia kompetencji, które procentują na rynku pracy, ale – co ważniejsze – poznania ciekawych osób z innych uczelni w całej Polsce. Z pewnością ci, którzy szukają nowych znajomości i lubią kontakt z ludźmi, odnajdą się w działalno-



Najważniejsze przedsięwzięcia stałe PSRP:

Krajowa Konferencja PSRP – to wydarzenie, które co roku przyciąga kilkuset przedstawicieli samorządów studenckich z całego kraju, na intensywnie 4 dni pełne szkoleń, paneli dyskusyjnych i integracji.

Konferencja Ekspertów Praw Studenta PSRP – wyjątkowe wydarzenie skierowane do samorządowców odpowiedzialnych za organizowanie i prowadzenie szkoleń z zakresu praw i obowiązków studentów; każdy uczestnik bierze udział w szkoleniu merytorycznym i metodycznym a także dostaje materiały poszkoleniowe (w tym wzór prezentacji).

Konwent Przewodniczących Samorządów Studenckich PSRP – wymiana doświadczeń między najbardziej doświadczonymi samorządowcami, panele dyskusyjne z udziałem praktyków i zaawansowane szkolenia to cechy charakteryzujące tego typu wydarzenia.

Gala Nagród Środowiska Studenckiego „Pro Juvenes” – coroczne wyróżnienie najciekawszych inicjatyw samorządów studentów, najlepszych projektów studenckich, wyróżniających się organizacji oraz studentów i studentek. Zwycięzcy wybierani są w internetowym głosowaniu.

Najważniejsze projekty PSRP w kadencji 2019-20:

Studenckie prawa – jasna sprawa: akcja informacyjna skierowana do studentów, przybliżająca regulacje prawne z zakresu szkolnictwa wyższego, oraz dedykowane przedstawicielom samorządów studenckich szkolenia; w ramach projektu powstały liczne artykuły i publikacje, dostępne, m.in. na stronie www.prawastudenta.edu.pl. Projekt w ramach zadania publicznego Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego „Organizowanie i animowanie działań na rzecz środowiska akademickiego”.

Strefa Komfortu PSRP: bezpłatne konsultacje online ze specjalistami, szkolenia i konsultacje dla samorządów studenckich i uczelni, artykuły, webinaria i poradnik, a wszystko to w temacie zdrowia psychicznego, dbania o siebie i swoich bliskich, dostępne na stronie: www.wsparciepsychologiczne.psrp.org.pl. Projekt realizowany w ramach zadania zleconego przez MNiSW.

Konkursy skierowane do społeczności akademickiej – Konkurs na najlepsze prace dyplomowe wyłonił najlepsze prace wniejące studia I stopnia, studia II stopnia i jednolite magisterskie oraz rozprawy doktorskie z zakresu: innowacyjnych rozwiązań wdrażanych do gospodarki, nauki na rzecz lokalnej społeczności oraz edukacji, nauki i szkolnictwa wyższego. Nagrodami przyznanymi w konkursie *Aktywność kulturalna w środowisku akademickim* wyróżniono najlepszych studentów, opiekunów oraz grupy i zespoły artystyczne za działanie, ale i promowanie aktywności kulturalnej na uczelniach. Oba konkursy zrealizowano w ramach zadania zleconego przez MNiSW.

Student sam w domu to inicjatywa powstała w odpowiedzi na wprowadzone regulacje zawieszające funkcjonowanie uczelni. Ma zachęcać do ciekawego spędzenia czasu w domu z dbałością o bezpieczeństwo swoje i swoich bliskich. Studenci dzielili się swoimi doświadczeniami, które były publikowane na portalu Facebook oraz mieli możliwość wzięcia udziału w 19 szkoleniach i webinarach oraz 1 panelu Q&A z ministrem nauki i szkolnictwa wyższego.

Kształcenie zdalne – historia prawdziwa: pierwsze na skalę ogólnopolską badanie zadowolenia studentów z kształcenia zdalnego, przedstawiające spojrzenie studentów i przedstawicieli samorządów studenckich na realizację programów studiów w semestrze letnim roku akademickiego 2019/2020. Wyniki badań, artykuły i infografiki dostępne są na stronie: www.kształceniездalne.psrp.org.pl. Projekt w ramach zadania publicznego Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego „Organizowanie i animowanie działań na rzecz środowiska akademickiego”.

Forum Kół Naukowych – pierwsza inicjatywa skierowana do studenckiego środowiska naukowego ze strony Parlamentu Studentów RP, oferująca możliwość zapisania się do publicznej bazy kół naukowych, korzystania ze szkoleń i konsultacji, a także otrzymywania informacji dotyczących konkursów skierowanych do kół naukowych.

Pakiet Wolności Akademickiej

Projekt nowelizacji ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce przedstawiony 9 grudnia przez MNiSW obejmuje zmiany prawne umacniające poszanowanie wolności nauczania, wolności słowa, badań naukowych, ogłaszania ich wyników, a także prowadzenie debaty akademickiej z zachowaniem zasad pluralizmu światopoglądowego. Zagwarantowano, że odtąd za wyrażanie przekonań religijnych, światopoglądowych lub filozoficznych nauczyciele akademicy nie będą pociągani do odpowiedzialności. Wszystkie wszczęte już i niezakończone przed dniem wejścia w życie nowych przepisów postępowania wyjaśniające i dyscyplinarne dotyczące tej sfery zostają umorzone.

Akademicy muszą zostać poinformowani o poleceniu rozpoczęcia prowadzenia wobec nich postępowania wyjaśniającego. Jeżeli dotyczy ono wyrażania przekonań obie strony, za pośrednictwem rzecznika dyscyplinarnego, który prowadzi sprawę, mają prawo skierować zażalenie do komisji dyscyplinarnej przy ministrze. W czasie trwania postępowania nauczyciele nie mogą zostać zawieszani. W projekcie zapisano też, że rektor ma zapewnić poszanowanie wolności nauczania, badań naukowych i ogłaszania ich wyników, a także prowadzenie debaty akademickiej z zachowaniem zasad pluralizmu światopoglądowego i przepisów porządkowych uczelni.

Wolność w konsultacjach

Pakiet wolności akademickiej ogłoszony 9 grudnia przez ministra nauki Przemysława Czarnka i skierowany do konsultacji środowiskowych wywołał ożywioną dyskusję. Próbowo wkroczenia w tę sferę przeciwstawiła się Konferencja Rektorów Akademickich Szkół Polskich. W swoim stanowisku rektorzy wyrazili przekonanie, że uczelnie zapewniają respektowanie wolności akademickich w stopniu wynikającym z utrwalonych tradycji uniwersytetu. „Naturalne w środowisku różnice zdań i poglądów, spory wywołujące napięcia oraz ujawniające emocje powinny, przy poszanowaniu reguł kultury świata akademickiego, znajdować swoje miejsce w ramach wspólnoty uczelni, w której zaistniały” – napisano.

Negatywną ocenę wystawił projektowi specjalny Zespół ds. zmian w ustawie, działający przy Prezydium KRASP. Wśród dziesięciu powodów takiego stanowiska wymieniono m.in. brak celu i potrzeby regulacji, utożsamianie pojęcia „wolność nauki” z „wolnością słowa”, niewłaściwe interpretowanie wolności nauczania, wreszcie naruszenie autonomii uczelni. W opinii członków zespołu wprowadzanie do naukowego dyskursu „przekonań religijnych, światopoglądowych lub filozoficznych” może sugerować, że w badaniach dopuszczalne są dowolne metody docierania do poglądów i głoszenie dowolnych poglądów. Podobnie w sali wykładowej: „student może się obawiać, że musi poglądy podzielać, by zaliczyć przedmiot; może też dojść do przekonania, że te poglądy stanowią aktualny stan wiedzy naukowej”. Podkreślono, że projekt jest szczególną próbą ingerencji władzy w, tak jak się ją rozumie, wolność akademicką. Obszerną ekspertyzę na temat tego projektu nowelizacji PSWN przedstawił na prośbę KRASP prof. Hubert Izdebski (można się z nią zapoznać na stronie krasp.org.pl).

Rada Główna Nauki i Szkolnictwa Wyższego przywołując treść *Magna Charta Universitatum* wskazała, że uniwersytet jest miejscem wymiany poglądów wywodzących się z różnych koncepcji, kultur czy pozycji światopoglądowych. „Wolność badań wymaga pełnej wol-

ności wypowiedzi, które mieszczą się w granicach metody naukowej, a zarazem są zgodne z uniwersalnymi zasadami i wartościami etycznymi. To ważne zastrzeżenie powinno dotyczyć zarówno badań i wykładów prowadzonych przez kadre, jak też aktywności innych osób lub podmiotów, które chcą głosić swoje poglądy w szkole wyższej” – czytamy w stanowisku.

Dodano, że ograniczanie prawa do wypowiedzi, zwłaszcza tych o charakterze aksjologicznym, stojących w sprzeczności z poglądami innych członków wspólnoty akademickiej, jest sprzeczne z ideą uniwersytetu jako miejsca poszukiwania prawdy. „Jedyną poprawnością, jakiej mamy prawo domagać się w szkołach wyższych, jest poprawność metodologiczna z zachowaniem zasad etosu akademickiego” – piszą członkowie RGNiSW.

Komitet Etyki w Nauce PAN krytykował projekt nowelizacji PWSN za nieodróżnianie metodologicznych wymogów nauki od obywatelskiej wolności wyrażania poglądów. Może to „stać się zachętą i narzędziem do narzucania badaczom wybranego światopoglądu, religii lub poglądów filozoficznych, a tym samym do ograniczania lub naruszania wolności prowadzenia działalności badawczej”. Zdaniem członków KEN PAN zatarcie granic między nauką a światopoglądem doprowadzi do obniżenia jakości badań i dydaktyki akademickiej, zaś sama nauka stanie się w gruncie rzeczy areną propagowania przekonań religijnych, światopoglądowych lub filozoficznych. Za dysfunkcyjne i groźne uważają oddanie w ręce urzędników rozstrzygnięć w sprawach ograniczenia bądź naruszenia wolności. Nowe regulacje w tym obszarze członkowie KEN uznali za nieuzasadnione. Głos odrębny przedstawił jeden z członków Komitetu, dr hab. n. med. Marek Czarkowski, bioetyk z UKSW, jednak jego stanowisko nie zostało wspomniane ani opublikowane na stronie Komitetu Etyki w Nauce PAN.

MK

Nowelizacja otwiera drzwi pseudonauce

Zacznę od tego, że pomysł dr. hab. Przemysława Czarnka, aby dokonać zmian w obowiązującej ustawie Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce, uważam nie tylko za **nierozważny, ale też za społecznie szkodliwy**.

Na ogół – jak sądzę – nowelizacji ważnego aktu prawnego, jakim jest ustawa sejmowa, dokonuje się w dwóch sytuacjach. Pierwsza występuje wówczas, gdy ustawodawca chce naprawić jakiegoś – wcześniej, w trakcie przeprowadzania procesu legislacyjnego niezauwa-

żone – błędy (co już samo w sobie nie przynosi chluby podmiotom tworzącym prawo). Nawiasem mówiąc PSWN zawiera sporo błędów i to nie tylko „technicznych”. Nimi jednak dr hab. P. Czarnek nie chce się w projektowanej nowelizacji zająć. Być może mają one, w jego ocenie, drugorzędne znaczenie. Druga zaś ma miejsce wtedy, gdy wystąpiły ważne społecznie przesłanki, wedle których dalsze jej stosowanie będzie skutkowało narażeniem osób i określonych społeczności – wobec których ta ustawa ma zastosowanie – na dyskomfort, poczucie krzywdy czy nawet dyskryminacji. Ba, może doprowadzić do załamania się badań naukowych i do wypaczenia procesu dydaktycznego w szkołach wyższych nadzorowanych przez ministra. Co ciekawe, ustawodawca nie dostrzegł wcześniej tego, jakże istotnego społecznie, defektu. No cóż, zauważył go aktualnie urzędujący minister. Postanowił tedy szybko zadziałać (urząd objął 1 października br., a projekt ustawy nosi datę 9 grudnia br.).

Realizacja właśnie tego pomysłu przyniesie znaczące straty, nie tylko wizerunkowe. Pod – jak zapisano w projekcie [w art. 23 w ust. 2 po pkt 2 dodaje się pkt 2a] – „wprowadzeniem [...] w uczelni poszanowania wolności nauczania, **wolności słowa**, badań naukowych, ogłaszania ich wyników, a także debaty akademickiej organizowanej przez członków wspólnoty uczelni z zachowaniem **zasad pluralizmu światopoglądowego** i przepisów porządkowych uczelni” (wyróż. moje) kryje się dość szerokie rozumienie „wolności słowa” (można powiedzieć, że charakterystyczne dla oracji wygłaszanych w Hyde Parku) i związane z nim dopuszczenie do głosu „wyznawców” – właśnie z powołaniem na pluralizm światopoglądowy – różnych egzotycznych poglądów, niewiele mających wspólnego z nauką, w której obowiązuje dyscyplina metodologiczna wypowiedzi uczestników debaty czy autorów artykułów lokowanych w czasopismach naukowych. Wspomnę może tylko o wyznawcach różnych quasi-naukowych koncepcji odwołujących się do źródeł religijnych, zwolennikach popularnej w różnych kręgach tzw. teorii inteligentnego projektu (bardziej zaawansowana klasyczna koncepcja kreacionistyczna), osób przekonanych o ingerencji cywilizacji pozaziemskich w nasze życie, specjalistów od parapsychologii czy na członkach ruchów antyszczepionkowych kończąc. Argumentację „naukową” podnoszoną przez wyznawców teorii płaskiej Ziemi litościwie pominię.

Przywołajmy – w rozważanym tu kontekście – głos wybitnego przedstawiciela szkoły lwowsko-warszawskiej, logika i metodologa Kazimierza Ajdukiewicza, który w artykule *O wolności nauki* („Nauka”, 1957/2020, nr 2, s. 8), pytał: „czy [...] szeroko pojęta całkowita wolność słowa jest istotnym składnikiem wolności nauki. Negatywna odpowiedź na to pytanie narzuca się od razu. Wolność nauki nie wymaga wolności słowa dla każdego głupstwa, lecz wymaga ona tylko wolności słowa naukowego. **Sama nauka stwarza organy, które krępują całkowitą wolność słowa i dopuszczają do głosu tylko taką wypowiedź, która czyni zadość wymaganiom niezbędnym na to, by zasłużyła sobie na miano wypowiedzi naukowej**” (wyróż. moje).

Mówiąc inaczej, aby „dopilnować” naukowego charakteru wypowiedzi rozpoznawanych jako naukowe, **nie jest potrzebna żadna ingerencja ministrów**. Nie od tego oni są. Od tego jest sama społeczność uczonych. Bywa, że czasami jej członkowie się mylą, ale też są zdolni błędy naprawić – właśnie dzięki **intersubiektywnemu charakterowi poznania naukowego**. Tego samego nie da się powie-

dzieć o wypowiedziach polityków. Niech minister do spraw nauki skutecznie powalczy o zwiększenie środków z budżetu państwa na finansowanie badań naukowych. Dziś nie wygląda ono najlepiej. Nauce polskiej pouczenia o charakterze ideologicznym nie są potrzebne. Te już w naszej historii przerabialiśmy.

Przywołany wyżej K. Ajdukiewicz sformułował **cztery wymagania**, jakie musi spełnić dana wypowiedź, aby zasługiwała na miano naukowej. Po pierwsze, musi dotyczyć spraw, którymi dana dyscyplina naukowa się zajmuje, a jej treść, jak pisze Ajdukiewicz, „musi wzbogacać naukę w sposób istotny”. Po drugie, dana wypowiedź musi być „z należytą ścisłością sformułowana”. Nie miejsce tu na bajdurzenie tak charakterystyczne dla niektórych tekstów, które powstały – w zamyśle ich autorów jako naukowe! – w nurcie postmodernistycznym. Po trzecie, stanowczość (pewność), z jaką badacz wygłasza daną wypowiedź, musi być proporcjonalna do pewności metody, którą badacz się posłużył w celu jej uzasadnienia (np. eksperyment laboratoryjny, a nie zasłyszane opinie). I po czwarte, autor wypowiedzi nie może być ignorantem w dyscyplinie naukowej, którą reprezentuje. A najlepiej to sprawdzić, zapoznając się z jego publikacjami. I znowu nie jest do tego potrzebny żaden minister, który sam siebie obarcza misją „obrony” nauki.

I raz jeszcze oddaję głos K. Ajdukiewiczowi (s. 11): „Wolność słowa dla wypowiedzi czyniących zadość wyżej wymienionym wymaganiom, a nie wolność słowa dla jakichkolwiek wypowiedzi jest niezbędnym składnikiem wolności nauki. [...]”

Wolność słowa naukowego jest niezbędnym warunkiem pomyślnego rozwoju nauki, a jej skrępowanie przynosi nauce szkodę, tym większą, im bardziej poznawczo doniosłe są wyniki badań, których nie dopuszczono do publikacji”.

Ten projekt – tak uważam – umożliwiłby prawnie usankcjonowane domaganie się pojedynczych pseudobadaczy czy zorganizowanych grup (bywa, że o dużym wpływie społecznym, zwłaszcza na rządzących) o uznanie ich prawa do głoszenia poglądów (jakoby naukowych) na terenie uniwersytetu. Gdyby zmiana ustawy PSWN weszła jednak w życie, to pseudonaukowe poglądy zostałyby faktycznie podniesione do rangi naukowej. Ich wyznawcom nie można będzie odmówić (wszak mogą się powołać na gwarantowaną w znolizowanej ustawie ekspresję swojego światopoglądu). I tego nie można zaakceptować. Głoszone z katedr uniwersyteckich poglądy siałyby w głowach studentów zamęt.

Konsekwencją nowelizacji ustawy będzie obrona wolności pseudonauki (pod fałszywie pojmowanym hasłem pluralizmu światopoglądowego).

Problem ten został ostatnio dostrzeżony przez Polską Akademię Nauk, a dokładniej, przez działający w jej obrębie Komitet Upowszechniania Nauki. W oświadczeniu datowanym na 15 grudnia 2020 r. napisano: „Misją systemu szkolnictwa wyższego i nauki jest prowadzenie najwyższej jakości kształcenia i badań naukowych. W murach uczelni publicznych nie powinna więc mieć miejsca promocja też w oczywisty sposób antynaukowych. [...]”

Rada Upowszechniania Nauki przy Prezydium Polskiej Akademii Nauk stanowczo sprzeciwia się zrównywaniu treści naukowych z pseudonauką oraz promowaniu wypowiedzi niezgodnych z wiedzą i metodą naukową pod hasłem obrony wolności akademickiej. Pragnie jednocześnie zwrócić uwagę na konieczność



weryfikacji zawartości merytorycznej wydarzeń organizowanych w obrębie uczelni publicznych i/lub pod ich patronatem. Władze uczelni winny stać na straży wysokich standardów edukacyjnych i zapewniać przekazywanie treści mających oparcie w badaniach naukowych”.

Jednakże Minister P. Czarnek jest głęboko przekonany o konieczności – i to bez zbędnej zwłoki – obrony dyskryminowanych na uczelniach (przez kogo?) uczonych, którzy nie wstydzą się swoich poglądów konserwatywnych, obrony przed „ludźmi lewicy”. Mówił o tym w wywiadzie udzielonym dziennikarzowi Piotrowi Zarembie („Plus Minus”, sobotnio-niedzielnny dodatek do „Rzeczpospolitej” z dnia 12-13 grudnia 2020 r.): „[...] Ale przecież ja nie chcę nikogo wyrzucić z pracy. Ja chcę wzmocnić tych naukowców, którzy są odstawiani na boczny tor z powodów ideowych”. Zaś w odpowiedzi Piotrowi Zarembie: „Proponuje pan ustawę o wolności akademickiej. To może prowadzić do paradoksu. Występując jako strażnik wolności, ustawi się pan w roli cenzora stosunków na poszczególnych uczelniach” dr hab. P. Czarnek powiedział: „Ja w roli cenzora? Dlaczego? Bo ustawa nakłada na rektora obowiązek pilnowania wolności badań i wolności debaty akademickiej w duchu pluralizmu światopoglądowego? Niektórzy rektorzy mają z tym problem, inni obawiali się różnych środowisk. Gdy trzeba było się zgodzić np. na wystąpienie kogoś, kto opowiada się za świętością życia” [nawiasem mówiąc, nauka nie zna terminu „świętość życia” – uwaga moja].

O czym, tak naprawdę, jest proponowana ustawa, jak nie o obrobie jedyne „słusznego” światopoglądu. Może też być zbyt dużo chętnych do pełnienia roli strażników. Trzeba przypomnieć starą paremię: **Quis custodiet ipsos custodes.**

Postawmy zatem podstawowe dla mojej wypowiedzi pytania. Czy wolność badań naukowych i wolność głoszenia poglądów naukowych na uniwersytetach są zagrożone? Czy nie są należycie prawnie chronione? Czy ich obrona wymaga odrębnej regulacji prawnej? Czy ta dostępna dziś nie jest wystarczająca?

Zobaczmy zatem, co zapisano w aktach prawnych najwyższego rzędu.

Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej: „Art. 70, pkt. 5: **Zapewnia się autonomię szkół wyższych** na zasadach określonych w ustawie (wyróż. moje).

Art. 73: Każdemu zapewnia się **wolność** twórczości artystycznej, **badania naukowych** oraz **ogłaszania ich wyników, wolność nauczania**, a także wolność korzystania z dóbr kultury” (wyróż. moje).

Karta Praw Podstawowych Unii Europejskiej: „Art. 13. *Wolność sztuki i nauki: Sztuka i badania naukowe są wolne od ograniczeń. Wolność akademicka jest szanowana*” (wyróż. moje).

Ustawa z dnia 20 lipca 2018 r. – w preambule Prawa o szkolnictwie wyższym i nauce czytamy, że: „obowiązkiem władzy publicznej jest tworzenie optymalnych warunków dla wolności badań naukowych i twórczości artystycznej, wolności nauczania oraz autonomii społeczności akademickiej”.

Czegóż więcej trzeba? I tak polskie ustawodawstwo dotyczące szkolnictwa wyższego i nauki jest przeregulowane, niestabilne (vide kolejne wersje, coraz bardziej mętne, rozporządzenia w sprawie ewaluacji jakości działalności naukowej czy bardzo kontrowersyjna ministerialna lista wydawców monografii naukowych), a każda nowa ustawa, każde nowe rozporządzenie dotyczące funkcjonowania szkolnictwa wyższego i systemu awansów naukowych (stopnie naukowe i tytuł naukowy) nie mają charakteru projakosciowego. Dużo można o tym pisać. Państwo przyznaje sobie coraz więcej praw. Minister może powołać/odwołać, minister musi zatwierdzić, minister musi się zgodzić, minister może przyznać itp.

Tak ważna – i to nie tylko dla środowiska akademickiego – ustawa, jaką jest Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce, powinna być napisana precyzyjnym językiem. Nie powinna, przez niejasność sformułowań i błędów (i nie są to pojedyncze, techniczne li tylko usterki), wprowadzać chaosu interpretacyjnego. Termin „nauka” występujący w tytule ustawy zobowiązuje. Nie powinno się w drodze jej nowelizacji otwierać drzwi poglądom dalece odbiegającym od standardów naukowości. Powinna być tak przyjazna, jak na przykład *Wielka Karta Uniwersytetów Europejskich*. Niestety – tak to widzę – próby jej nowelizacji nie bronią nauki.

Prof. Jerzy Marian Brzeziński
Wydział Psychologii i Kognitywistyki UAM
e-mail: brzezuam@amu.edu.pl

Co po Brexicie?

Badacze z Wielkiej Brytanii byli bardzo aktywni w konkursach badawczo-naukowych UE. W 7 Programie Ramowym (2007-2013) pozyskali około 7 mld euro, czyli aż 15% całkowitego przyznanego finansowania. To drugi co do wielkości udział po Niemczech. Z budżetu programu Horyzont 2020 Brytyjczycy pozyskali około 5,9 mld euro (według danych z czerwca 2019 r.), co oznacza 13,5% przyznanego dofinansowania i znów daje drugie miejsce po Niemczech. Tę aktywność wyhamował Brexit.

Krajowy Punkt Kontaktowy PB UE opublikował informację na temat współpracy uczonych z krajów unijnych z nauką brytyjską. Umowa o handlu i współpracy między UE a Wielką Brytanią ogłoszona 24 grudnia 2020 r. nie precyzuje szczegółowo zasad współpracy naukowej, bo te mają podlegać dalszym negocjacjom, jednak wiadomo, że Zjednoczone Królestwo nadal będzie mogło wpłacać składki i uczestniczyć w pięciu programach finansowania UE, w tym w programie badań i innowacji Horyzont Europa na lata 2021-27. Porozumienie kończy niepewność co do kwalifikowalności Wielkiej Brytanii do konkursów UE,

ale zmienia także zasady gry w dostępie do unijnych środków na badania naukowe.

Roczne składki Wielkiej Brytanii do programów UE będą obliczane na podstawie produktu krajowego brutto tego kraju jako udziału w PKB UE (tzw. wkład operacyjny). Składka będzie wynosiła 4% wkładu operacyjnego. Wkład operacyjny może być korygowany w górę lub w dół „retrospektywnie”, w zależności od tego, ile Zjednoczone Królestwo pobiera, a ile wpłaca do puli UE. Deklaracje polityczne towarzyszące traktatowi mówią, że Wielka Brytania nie będzie mogła ubiegać się o granty z funduszu akceleryacyjnego Europejskiej Rady ds. Innowacji. W przeszłości, kiedy kraj spoza UE, taki jak Szwajcaria lub Izrael, przystępował do programów badawczych UE jako członek stowarzyszony, członkostwo to obejmowało cały program.

Oprócz programu Horyzont Europa, Wielka Brytania będzie nadal uczestniczyć w czterech innych programach UE, a mianowicie w programie badań jądrowych Euratom, projekcie ITER mającym na celu zbudowanie pierwszego na świecie systemu syntezy

jądrowej, projekcie monitorowania Ziemi Copernicus oraz nadzorcze satelitarnym UE i usługach „śledzenia” Galileo. W przypadku braku współpracy w dziedzinie obronności Wielka Brytania nie będzie miała dostępu do danych wojskowych zaszyfrowanych za pomocą Galileo.

Wielka Brytania będzie musiała negocjować kolejną umowę z Brukselą, aby przystąpić do każdego z pięciu programów UE. Negocjowanie umowy stowarzyszeniowej dla programu Horyzont Europa prawdopodobnie potrwa kilka miesięcy. Uzyskanie statusu członka stowarzyszonego najwyższego szczebla w programie Horyzont Europa oznacza, że brytyjscy naukowcy będą mogli koordynować projekty. Jeśli do czasu ogłoszenia pierwszych konkursów grantowych w HE nie dojdzie do porozumienia z Wielką Brytanią, Komisja Europejska może nadal tymczasowo zakwalifikować Zjednoczone Królestwo do programu.

Rządowi Wielkiej Brytanii zależało na jakiejś formie zabezpieczenia, w razie gdyby brytyjscy naukowcy pozyskali niższy niż oczekiwano udział finansowania z programu HE. Zdecydowano zatem, że obie strony mogą jednostronnie zakończyć udział Wielkiej Brytanii w programie Horyzont Europa i innych programach. Londyn może

to zrobić z 45-dniowym wyprzedzeniem, jeśli warunki uczestnictwa znacznie się zmienią, wkład finansowy kraju wzrośnie o 15% lub zostanie wykluczony z więcej niż 10% programu. Również UE może z 45-dniowym wyprzedzeniem zawiesić udział Wielkiej Brytanii, jeśli ta np. nie zapłaci swojego wkładu finansowego. Jeśli UE nie znieśli zawieszenia, a sytuacja nie zostanie rozwiązana po roku, uczestnictwo Wielkiej Brytanii w programie UE zostanie zakończone.

Obywatele brytyjscy utracili prawo do podróżowania, pracy, nauki lub przebywania w UE tak długo, jak chcą. Umowa kończy swobodę przepływu ludności między UK i UE. W przypadku pobytu brytyjskich naukowców w Unii w czasie dłuższym od 90 dni także będą teraz wymagane wizy.

Wielka Brytania nie uczestniczy w unijnym programie wymiany uniwersyteckiej Erasmus+. Rząd w Londynie uważa, że bycie członkiem stowarzyszonym byłoby „zbyt drogie”. Zatem wymiana studencka na dotychczasowych zasadach dobiegła końca. Brytyjczycy planują wprowadzenie programu wymiany pod nazwą Turing Scheme o budżecie 100 milionów funtów rocznie, który rozpocznie się we wrześniu 2021 roku.

Źródło: KPK, Science Business

Zainstalują się w Polsce

Troje polskich naukowców zostało laureatami prestiżowych grantów Europejskiej Organizacji Biologii Molekularnej. Otrzymają po 50 tys. euro rocznie przez okres 3–5 lat na utworzenie własnych laboratoriów.

O EMBO Installation Grants mogą ubiegać się naukowcy z Czech, Polski, Portugalii i Turcji, którzy znajdują się na początkowym etapie kariery badawczej, ale już posiadają znaczący dorobek. W tym roku wyróżniono ośmioro stypendystów, w tym troje Polaków.

Dr hab. Kinga Kamieniarz-Gdula, która w 2018 roku wróciła z Wielkiej Brytanii, gdzie pracowała na Uniwersytecie Oksfordzkim, utworzy swoje laboratorium na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Będzie się zajmować podstawowymi mechanizmami zakończenia procesu transkrypcji genów oraz korelacją pomiędzy zaburzeniami na tym etapie a chorobami człowieka. Za szczególnie istotną w kontekście patologicznym uważa przedwczesną terminację, zwaną też atenuacją transkrypcji, która ma duże znaczenie medyczne, zwłaszcza w przypadku nowotworów. Jej podejście badawcze bazuje na genomice oraz transkryptomice, w połączeniu z biologią molekularną, biochemią i proteomiką.



Dr Piotr Gerlach, postdok w Instytucie Biochemii Maxa Plancka w Monachium, utworzy laboratorium w ramach programu MAB Remedy w nowo powołanym Międzynarodowym Instytucie Mechanizmów i Maszyn Molekularnych PAN. Zamierza wykorzystać swoje doświadczenie w biologii strukturalnej (krytalografia i mikroskopia krioelektronowa) i skupić się na mechanizmach infekcji RNA wirusów, zwłaszcza na bezpośrednich interakcjach białek wiru-



sowych z białkami gospodarza. Identyfikacja i dokładna molekularna charakteryzacja takich wewnątrzkomórkowych oddziaływań wirus-gospodarz może zostać wykorzystana przy projektowaniu nowych leków antywirusowych.

Z kolei **dr Michał Wandel**, ubiegłoroczny laureat Polskich Powrotów NAWA (pracował w MRC Laboratory of Molecular Biology w Cambridge), zostanie kierownikiem laboratorium w Instytucie Biochemii i Biofizyki PAN w Warszawie. Będzie badał wewnątrzkomórkowe mechanizmy odporności przeciwdrobnoustrojowej. Planuje m.in. zbadać stan antypatogenny wywołany przez cytokiny, aktywowane w celu przeciwdziałania infekcjom bakteryjnym. Jego zespół przyjrzy się też antybakteryjnym i przeciwgrzybiczym mechanizmom obronnym odporności wrodzonej. Wyniki prac pozwolą na opracowanie nowych środków terapeutycznych skierowanych przeciwko patogennym mikroorganizmom, w tym trudnym do leczenia szczepom lekoopornym. Ponadto zrozumienie mechanizmów molekularnych inicjujących procesy prozapalne może przełożyć się na optymalizację leczenia chorób zapaalnych.



EMBO Installation Grants mają przyczynić się do zwiększania poziomu internacjonalizacji na europejskich uczelniach oraz mobilności kadry akademickiej. Ich formuła zachęca młodych naukowców do zakładania laboratoriów w państwach, których mniej rozwinięta infrastruktura badawcza uniemożliwia skuteczne konkurowanie z ośrodkami naukowymi o rozwiniętym zapleczu finansowym. Od 2006 roku EMBO przyznała już 120 Installation Grants, z czego 28 dla polskich naukowców. EMBO to międzynarodowa organizacja zrzeszająca ponad 1800 wybitnych badaczy zajmujących się biologią molekularną.

Mariusz Karwowski

Ambitny cel w Horyzoncie Europa

Dr Zygmunt Krasieński, były dyrektor Krajowego Punktu Kontaktowego PB UE (2014-2020), podsumowuje starania o zwiększenie udziału polskich podmiotów naukowych i gospodarczych w europejskich programach ramowych.

Od 36 lat Unia Europejska realizuje programy ramowe, których celem jest finansowanie badań naukowych i innowacji na rzecz rozwiązywania kluczowych problemów ważnych z punktu widzenia polityki, gospodarki i społeczeństwa europejskiego. Właśnie dobiega końca ósmy program ramowy Horyzont 2020 (2014-2020) z budżetem około 77 mld euro. Chociaż udział Polski w pozyskiwaniu środków z tego programu jest nadal poniżej oczekiwań (1,23%), warto odnotować, że pozyskaliśmy dotychczas w tym programie o ponad 270 milionów euro więcej niż w całym poprzednim 7. Programie Ramowym (2007-2013). To skok z 441 mln euro do 713 mln euro. Cieszy również fakt, że o połowę – do 850 – zwiększyła się liczba polskich organizacji, które skorzystały z unijnego budżetu na badania i innowacje. To dowód na to, że nasze wnioski są coraz lepszej jakości. Tym samym utrzymaliśmy 15 pozycję wśród krajów UE.

Jeden z największych sukcesów w programie H2020 odnieśliśmy w ostatnim konkursie Teaming for Excellence. Jego celem jest tworzenie międzynarodowych centrów badawczo-innowacyjnych. Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie, Instytut Technologii Materiałów Elektronicznych i Narodowe Centrum Badań Jądrowych, jako koordynatorzy projektów, pozyskały niemal jedną czwartą całego budżetu konkursowego (45 z 195 mln euro).

Horyzont 2020 to europejska „liga mistrzów” badań i innowacji, a należy pamiętać, że w European Innovation Scoreboard plasujemy się wciąż na 24 miejscu. Największą skutecznością w sięganiu po środki H2020 wykazały się małe i średnie przedsiębiorstwa oraz instytuty naukowe i badawcze. Cały czas wyzwaniem jest niskie zainteresowanie naszych naukowców aplikowaniem o granty ERC i do konkursów Marii Skłodowskiej-Curie oraz niski udział w dofinansowaniu dla polskich uczelni w H2020. Pomimo wyraźnego wzrostu zaangażowania uczelni, w strukturze polskiego dofinansowania ich udział wciąż wynosi raptem 27% (w całym H2020 udział uczelni z ponad 160 krajów przekracza 39%). Warto podkreślić, że możemy jeszcze powalczyć o projekty na rzecz neutralności klimatycznej. Obecnie jesteśmy w trakcie ostatniego i zarazem największego budżetowo (1 miliard euro) w programie Horyzont 2020 konkursu o nazwie „Zielony ład”. Termin składania wniosków upływa 26 stycznia 2021 r.

W styczniu 2021 r. rusza nowy program ramowy Horyzont Europa, powiązany z perspektywą finansową 2021-27 i budżetem w wysokości około 90 mld euro na badania i innowacje, w tym na walkę z Covid-19. To nowa szansa i możliwości dla Polski. Zwiększenie uczestnictwa w programach ramowych jest trudnym procesem, który sukcesywnie realizujemy i w który od lat zaangażowani są polscy interesariusze. Wypracowaliśmy ze środowiskiem konkretne rekomendacje i je wdrażamy. Dotyczą one usprawnie-

nia tego co „nie działało” na poziomie KE, poziomie kraju i poziomie naszych organizacji.

Pierwsza grupa rekomendacji dotyczy zasad uczestnictwa w H2020 i otwarcia na nowe kraje istniejących sieci współpracy. Programy ramowe były szyte na miarę dla tzw. starej Unii i nie mają instrumentów zapewniających wykorzystanie pełnego potencjału intelektualnego Europejskiej Przestrzeni Badawczej, a z drugiej strony, wyrównywania poziomów innowacyjności regionów UE. Po raz pierwszy skutecznie wybrzmiało polskie stanowisko w tej sprawie i w Horyzoncie Europa wdrażane będzie dodatkowe kryterium selekcji dla najlepiej ocenionych projektów oparte na zasadzie zróżnicowania geograficznego. Udało się też wpłynąć na zmianę zasad wynagradzania, które wreszcie są korzystne dla uczestników z Polski.

Druga grupa rekomendacji dotyczy działań krajowych na rzecz umiędzynarodowienia i zachęt dla naukowców do składania dobrych wniosków (np. nowe kryteria oceny działalności badawczej, programy: IDUB, Granty na granty, Premia na Horyzoncie, czy wreszcie wsparcie sieci KPK), zachęt dla przedsiębiorców do inwestowania w B+R i wykorzystania synergii z programami krajowymi. Kluczowe są: podniesienie rangi polskiej nauki poprzez wzrost nakładów na personel i promocję polskich osiągnięć, komplementarność i harmonizacja zasad programów krajowych z HE oraz wsparcie jednostek, które przechodzą progi punktowe w ocenie wniosków, ale nie dostają dofinansowania (SoE). No i wreszcie – lobbowanie polskich projektów w Brukseli, zaangażowanie w nowych partnerstwach europejskich i wsparcie zaangażowania w sieciach i platformach europejskich, konferencjach i międzynarodowych spotkaniach brokerskich.

Trzecia grupa rekomendacji odnosi się do polskich instytucji. Chodzi w tym wypadku o: wyznaczenie jasnych celów strategicznych i priorytetowych obszarów badawczych – tam gdzie istnieje potencjał do konkurowania, wdrożenie w polskich instytucjach nowych regulaminów wynagradzania, pozwalających na zastosowanie reguł wynegocjowanych i wprowadzonych w H2020, a także systemów motywacyjnych, zapewnienie profesjonalnego wsparcia administracyjnego dla zespołów naukowych oraz dobre wykorzystanie doświadczenia i wiedzy polskich recenzentów oceniających wnioski w H2020. Podjęte od 2014 r. działania dają już efekty, ale ogromna praca przed nami, aby zrealizować cel, jakim jest udział Polski w programie Horyzont Europa na poziomie 3%.

(Obecnie dr Zygmunt Krasieński jest doradcą strategicznym dyrektora Narodowego Centrum Badań i Rozwoju ds. współpracy z jednostkami naukowo-badawczymi.)

Studenckie życie kulturalne

Analiza stanu kultury studenckiej była przedmiotem ogólnopolskiego badania, w którym wzięły 1633 osoby. Projekt sfinansowano z grantu Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Za 150 tys. zł przeprowadzono pogłębione wywiady, badania ankietowe, przeanalizowano wideoblogi w serwisie YouTube. Badania realizowało Narodowe Centrum Kultury we współpracy z Chatką Żaka UMCS w Lublinie.

Jako najpopularniejsze formy kontaktu z kulturą studenci wskazywali koncerty, festyny i festiwale (46,2%), a więc wydarzenia powszechnie dostępne, oparte na uczestnictwie zbiorowym. Ale w odpowiedziach pojawiały się także inicjatywy bardziej ambitne, wymagające wyższych kompetencji kulturowych, jak np. spektakle teatralne (13,5%) czy wernisaże i wystawy sztuki (9,1%). Wśród wymienianych przez żaków form obcowania z kulturą nie brakowało również nieformalnych sposobów wspólnego spędzania czasu, typu „domówki”, imprezy towarzyskie, gry planszowe bądź komputerowe czy po prostu wspólne wyjście do miasta. – Pokazuje to, jak ważnym aspektem kultury studenckiej jest tworzenie relacji dających poczucie wspólnej tożsamości i budowanie więzi grupowych – interpretują badacze.

Najczęściej studenci są uczestnikami wydarzeń organizowanych przez komercyjne kluby, choć wielu z nich korzysta też z oferty instytucji miejskich i akademickich. Z przeprowadzonych badań wynika, że dość sprawnie orientują się w wachlarzu oferowanych propozycji, choć co czwarty ma problem z dostępem do takich informacji. O wydarzeniach dowiadują się głównie z mediów społecznościowych, ale zwracają uwagę także na tradycyjne plakaty i ulotki. Nie bez znaczenia są wiadomości przekazywane bezpośrednio przez znajomych.

Co nimi kieruje przy podejmowaniu decyzji o uczestnictwie w wydarzeniu? Obok potrzeby rozrywki (43,7%), oderwania się od codzienności (35,2%) i doświadczania nowych doznań (30,7%), studenci wymieniali także rozwój osobisty (41,9%) oraz chęć poszerzania własnych horyzontów (36%). Część poszukuje intensywnych doznań, które chcą przeżywać ze znajomymi (30,7%).

Nie zawsze udaje się wziąć udział w tym czy innym wydarzeniu. Główna przeszkoda to brak czasu wynikający z obciążenia nauką bądź pracą zawodową (43%). Jak to u studentów bywa, również często z życia kulturalnego wyklucza... pusty portfel (41%). Spora część tłumaczyła się tym, że nie ma z kim pójść (38%).

Autorzy badania sondowali także twórczą aktywność studentów. Jak wynika z raportu, wśród obszarów najczęściej eksplorowanych przez żaków są film, taniec i śpiew. Nieco mniej zajmują się sztukami plastycznymi, teatrem lub grą na instrumencie. W podejmowaniu takich działań przeważają kształcący się na kierunkach humanistycznych i artystycznych. Choć popularnością cieszą się formy twórczości realizowane indywidualnie, to duży odsetek młodych podejmuje działa w różnego typu instytucjach i organizacjach. Przy czym miejscem, w którym mogą oddać się swoim pasjom, są częściej instytucje pozaakademickie.

Studenci wydają na kulturę średnio 150 zł miesięcznie. Jednak aż połowa ankietowanych przyznała, że ich budżet na te cele jest o połowę

mniej. Różnica między studentami pochodzącymi ze wsi a miastowymi to 50 zł na korzyść tych drugich. Wielu korzysta też z oferty bezpłatnej, choć – jak zauważają badacze – dostęp do niej nie jest w stanie aktywizować osób, które nie biorą udziału w wydarzeniach kulturalnych. Wielu przy wyborze konkretnej imprezy kieruje się także studenckimi zniżkami.

Większość pozytywnie ocenia ofertę kulturalną w swoim mieście. Pytani o oczekiwania najczęściej mówili o jej poszerzeniu i zwiększeniu różnorodności, szczególnie koncertów i imprez muzycznych. Zależy im także na warsztatach o tematyce kulturalnej oraz spotkaniach z twórcami kultury. W propozycjach podkreślano także potrzebę wprowadzenia zniżek oraz rozszerzenia oferty darmowych wydarzeń. Zwrócono uwagę na potrzebę lepszej promocji inicjatyw kulturalnych.

Autorzy raportu podkreślają kulturotwórczą rolę, jaką w ramach tzw. trzeciej misji mają do wypełnienia uniwersytety. „Byłoby korzystne, gdyby ośrodki kultury studenckiej nie ograniczały się do własnej uczelni, a kierowały swoją działalność do wszystkich studentów w mieście, integrując społeczność żaków” – czytamy w rekomendacjach stworzonych na podstawie wyników badań.

Ciekawą ideą jest zwiększenie udziału akademickich instytucji kultury w procesie kształcenia poprzez współpracę z wydziałami i poszczególnymi kierunkami studiów. Dobrze byłoby zmienić prawo, tak aby akademickie instytucje kultury mogły pozyskiwać środki na działalność z różnych źródeł. Obecnie są one wykluczone z progra-



mów grantowych Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego z powodu działania w strukturach uczelni. Nie mogą jednak sięgać po środki z Ministerstwa Edukacji i Nauki, bo ich działalność nie ma charakteru naukowego. Koło się zamyka...

W badaniach wyraźnie wybrzmiała też potrzeba integracji i budowania sieci współpracy pomiędzy akademickimi instytucjami kultury. „Umożliwi to wymianę wiedzy, wzajemną inspirację oraz skuteczniejsze działania na polu wspierania współczesnej kultury studenckiej” – przekonują autorzy.

Temu ostatniemu celowi ma służyć zainaugurowane w ubiegłym roku z inicjatywy UMCS Forum Kultury Studenckiej (pisałmy o tym w FA 7-8/2020), na zlecenie którego przeprowadzono badania.

Mariusz Karwowski

Modni naukowcy 2019

Kontynuując podjętą w poprzednim numerze „Forum Akademickiego” analizę opracowanych przez J.P.A. Ioannidis, K.W. Boyacka i J. Baasa wykazów autorów o najwyższych złożonych indeksach cytowań (indeks c), tym razem omówię dane z tabeli S7, która bazuje na cytowaniach wyłącznie z roku 2019. Po podstawowe informacje o tych wykazach i objaśnienia używanych przeze mnie terminów odsyłam do wspomnianego tekstu *Nasi wśród najlepszych... i co to znaczy* (FA 12/2020).

Do tabeli S7 trafili wszyscy autorzy (spośród blisko 8 milionów z dorobkiem co najmniej 5 prac indeksowanych w bazie Scopus), których indeks c (z uwzględnieniem autocytowań lub bez nich) mieści się w górnych 2% w jednej ze 176 poddyscyplin. Jest ich ponad 160 tysięcy (161 441), czyli o 1758 (1,1%) więcej niż w tabeli S6. Spośród nich 774 ma polską afiliację, co oznacza, że jest ich o 48 (6,6%) więcej niżli w S6 (patrz tabela).

Mniej niż pół procenta (0,48%) autorów w tabeli S7 ma polską afiliację (w tabeli S6 udział ten wynosi 0,45%), w dwóch (to o trzy mniej niż w S6!) dyscyplinach – filozofii i teologii oraz naukach o zdrowiu (Public Health & Health Services) – nie mamy żadnego przedstawiciela, a najmocniej reprezentowani jesteśmy w sztukach wizualnych i performatywnych (1,2%), chemii (1,13%) oraz fizyce i astronomii (0,98%). O specyficznej sytuacji sztuk wizualnych i performatywnych pisałem poprzednio, teraz – w tabeli S7 – odnotujmy znacząco wyższy (o 18 osób, z 0,42% do 0,77%) niż w tabeli S6 udział naukowców z polską afiliacją w dyscyplinie rolnictwo, rybołówstwo i leśnictwo. Zaistnienie w dwóch dyscyplinach, w których nie jesteśmy reprezentowani w S6, zawdzięczamy jedynie trzem osobom: Marcie Dynel z Uni-

wersytetu Łódzkiego (dyscyplina Communication & Textual Studies, pierwsza poddyscyplina Languages & Linguistics; pierwsza indeksowana w bazie Scopus publikacja z roku 2007) oraz Ewie Domańskiej z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza i Mikołajowi Sołtykowski z Uniwersytetu Warszawskiego (oboje dyscyplina Historical Studies, pierwsza poddyscyplina History; pierwsze indeksowane publikacje odpowiednio z 1998 i 2007). Warto nadmienić, że na podstawie samej tabeli S7, gdzie przy nazwisku Sołtysek pojawia się jedynie określenie „Institute of History”, nie można ustalić, jaką instytucję reprezentował w roku 2019 ostatni z trójki wymienionych naukowców.

Najwyższe indeksy c (bez autocytowań 5,398738, z autocytowaniami 5,484745) posiada chiński uczyony z Georgia Institute of Technology Zhong Lin Wang (dyscyplina Enabling & Strategic Technologies, pierwsza poddyscyplina Nanoscience & Nanotechnology). Użył dzięki 1 754 pracom opublikowanym w latach 1960–2019, z których 1 437 było cytowanych w roku 2019 łącznie 36 096 razy w 12 106 różnych pracach. Jego (jednoroczny) indeks Hirscha to 83, a udział autocytowań wynosi 16,69%. Dodajmy, że najczęściej (67 118 razy) w roku 2019 cytowane były prace Douglasa G. Altmana z Uniwersytetu Oksfordzkiego (dyscyplina Clinical Medicine, pierwsza poddyscyplina General & Internal Medicine) – pod tym względem Wang jest czternasty, a najwyższy indeks Hirscha, należący do laureata 2013 Breakthrough Prize in Life Sciences, amerykańskiego genetyka z doktoratem z matematyki Erica S. Landera z MIT (dyscyplina Biomedical Research, pierwsza poddyscyplina Developmental Biology), to 99 (tu Wang jest dziesiąty). Podwójny lider tabeli S6 Michael Grätzel w tabeli S7 zajmuje miejsca odpowiednio 3 i 2, z kolei Wang w S6 jest 5 i 3.

Podstawowe dane liczbowe z rozbiem na poszczególne dyscypliny (dwie ostatnie kolumny pochodzą ode mnie – KC)

Nazwa dyscypliny	Liczba przypisanych do dyscypliny autorów (z dorobkiem co najmniej 5 prac)	Liczba autorów w bazie – tabeli S7 – reprezentujących dyscyplinę	Odsetek autorów w danej dyscyplinie znajdujących się w tej bazie	Liczba autorów z polską afiliacją	Odsetek autorów z polską afiliacją wśród wszystkich z danej dyscypliny, uwzględnionych w bazie
Visual & Performing Arts	4 461	83	0,0186	1	0,012
Philosophy & Theology	18 248	342	0,0187	0	0
Communication & Textual Studies	30 960	677	0,0219	1	0,0015
Historical Studies	31 430	665	0,0212	2	0,003
Built Environment & Design	39 900	892	0,0224	2	0,0022
Psychology & Cognitive Sciences	92 096	4 027	0,0437	5	0,0012
Mathematics & Statistics	93 025	2 155	0,0232	16	0,0074
Economics & Business	136 314	5 334	0,0391	4	0,0007
Public Health & Health Services	141 800	2 994	0,0211	0	0
Social Sciences	146 807	4 275	0,0291	5	0,0012
Earth & Environmental Sciences	243 349	6 602	0,0271	20	0,003
Agriculture, Fisheries & Forestry	252 428	5 055	0,02	39	0,0077
Biology	273 562	7 123	0,026	26	0,0037
Information & Communication Technologies	502 009	9 982	0,0199	52	0,0052
Chemistry	519 208	11 054	0,0213	125	0,0113
Enabling & Strategic Technologies	578 090	13 410	0,0232	90	0,0067
Engineering	580 155	12 778	0,022	103	0,0081
Biomedical Research	598 414	13 101	0,0219	23	0,0018
Physics & Astronomy	637 468	14 656	0,023	143	0,0098
Unassigned	936 344	349	0,0004	0	0
Clinical Medicine	2 068 536	45 887	0,0222	117	0,0025
TOTAL	7 924 604	161 441	0,0204	774	0,0048

Do tabeli S7 z (jednorocznym) indeksem Hirscha wynoszącym 1 trafiło 6 (w przypadku uwzględniania autocytowań) i 17 (indeks bez autocytowań) osób. Szczególnie ciekawy jest tu przypadek amerykańskiego naukowca Mariona M. Bradforda (od jego nazwiska pochodzi nazwa znanej studentom metody oznaczania stężenia białka), którego 3 prace cytowane były w roku 2019 łącznie 9 905 razy w 9 905 różnych pracach, co dało mu indeksy c wynoszące odpowiednio 3,886895 i 3,880131, a w efekcie bardzo wysokie miejsca 2 993 i 3 365 w tabeli S7 (w S6 uplasował się na miejscach 3 292 i 4 067).

Indeks c bez autocytowań powyżej 5 posiada 19 naukowców, a z autocytowaniami 21. Z kolei najniższe indeksy u osób z tabeli S7 to w pierwszym przypadku 0,40066 (łącznie 10 osób w tym zestawieniu ma wynik poniżej 1), a w drugim – 1,533105 (285 osób ma ten indeks niższy niż 2). Co ciekawe, w pierwszej z nich 4 osoby są przypisane do dyscypliny Physics & Astronomy, a 3 do Engineering (w tym lider tej klasyfikacji Zhiwei Zhang z Uniwersytetu Stanu Ohio, z pierwszą poddyscypliną Electrical & Electronic Engineering), natomiast wśród 285 osób drugiej grupy są reprezentanci przede wszystkim Historical Studies (114 osób), Communication & Textual Studies (86), Visual & Performing Arts (30) i Philosophy & Theology (26), przy czym 14 pierwszych miejsc zajmują osoby, których pierwszą poddyscypliną jest Art Practice, History & Theory. W obu grupach o najniższych indeksach jest po jednej osobie z polską afiliacją.

Dwustu czterdziestu (240) autorom wystarczyło mniej niż 5 lat od daty publikacji pierwszej pracy, aby trafić do bazy S7, a 12 spośród nich jedynie 2 lata. W tym pierwszym gronie są 3 osoby z polską afiliacją: mający najkrótszy wśród nich staż publikacyjny (od 2017 roku) Mohammad Malikan z Politechniki Gdańskiej (dyscyplina Engineering, pierwsza poddyscyplina Mechanical Engineering & Transports), Piotr Gąsior z Uniwersytetu Jagiellońskiego (dyscyplina Biology, pierwsza poddyscyplina Zoology) i wspomniana już w poprzednim artykule Magdalena Tutak.

Autorem z polską afiliacją o najwyższych obu indeksach c (wynoszącymi odpowiednio 4,145379 i 4,126902, co daje mu miejsca odpowiednio 1103 i 1296) jest, tak jak w przypadku bazy S6, Zdzisław Pawlak. Jego 49 prac było cytowanych w roku 2019 łącznie 1 698 razy w 1 252 różnych pracach, a jego jednoroczny (za 2019) indeks Hirscha to 15. W poddyscyplinie Artificial Intelligence & Image Processing powyższe indeksy dały pozycje odpowiednio 63 i 68. Indeks c (bez autocytowań lub z nimi) powyżej 4 ma jeszcze tylko Elżbieta Frąckowiak, zajmująca dwa miejsca 32 w poddyscyplinie Energy, którą reprezentuje 186 014 autorów. Wyraźnie najwyższe indeksy Hirscha (bez autocytowań 52 i 57 wraz z nimi) i liczby cytowań (23 626 cytowania i 17 125 tekstów, w których jest cytowany) wśród naukowców z polską afiliacją ma jednak rektor Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu Piotr Ponikowski, który w poddyscyplinie Cardiovascular System & Hematology uplasował się na miejscach 78 i 73.

Czterdziestu (40) uczonych z polską afiliacją plasuje się w pierwszych setkach swoich pierwszych poddyscyplin utworzonych na podstawie indeksu c bez autocytowań, w przypadku indeksu z autocytowaniami jest ich 44. To zdecydowanie więcej niż w bazie S6, gdzie jest ich odpowiednio 21 i 26. W obu pierwszych dziesiątkach znajdują się: Harald Walach z Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu (miejsca 3 i 2 w poddyscyplinie Complementary & Alternative Medicine, uwzględniającej 9 518 autorów), Antoni Rogalski z Wojskowej Akademii Technicznej (dwa trzecie miejsca w poddyscyplinie Optoelectronics & Photonics, reprezentowanej przez zdecydowanie więcej, bo 99 488 autorów) i Barbara Kirshenblatt-Gimblett (miejsca 5 i 6 w poddyscyplinie Drama & Theater uwzględniającej 789 autorów; o problemach z jej afiliacją wspominałem w FA 12/2020), a Paweł Jałoszyński z Uniwersytetu Wrocławskiego jest odpowiednio 47 i 4 (w poddyscyplinie Zoology, reprezentowanej przez 13 250 autorów).

Spśród 176 poddyscyplin jesteśmy obecni jedynie w 96, w tym w 29 figuruje co najmniej 10 naukowców z polską afiliacją. Najliczniej jesteśmy reprezentowani w: Applied Physics (41 osób; co stanowi 0,85% w poddyscyplinie), Artificial Intelligence & Image Processing (39; 0,85%), Analytical Chemistry (34; 1,83%), Nuclear & Particle Physics (33; 1,37%) i Optoelectronics & Photonics (31; 1,42%). Z kolei najmocniej pod względem udziału w poddyscyplinie reprezentowani jesteśmy w: Drama & Theater (6,67%), Anatomy & Morphology (4,72%), Environmental & Occupational Health (3,37%), Legal & Forensic Medicine (2,73%) i Mining & Metallurgy (1,98%). Poprzednia piątka, tzn. najliczniej reprezentowane poddyscypliny, zajmują w tej klasyfikacji odpowiednio miejsca 33, 30, 7, 15 i 14.

W tabeli S7 najliczniej reprezentowane są następujące polskie uczelnie: Uniwersytet Jagielloński – 49 osób (w tym 16 przypisanych do Collegium Medicum), Uniwersytet Warszawski – 43 (w tym 3 przypisane do CeNT, 2 do Instytutu Informatyki i 2 do CNBCh), Akademia Górniczo-Hutnicza – 38, Politechnika Warszawska – 34, Politechnika Wroclawska – 30, Politechnika Gdańska – 26, Politechnika Poznańska – 26, Uniwersytet im. Adama Mickiewicza – 23, Politechnika Łódzka – 21, Politechnika Śląska – 19.

Pozostałe uczelnie badawcze (z powyższej dziesiątki taki status ma 7 uczelni) – Uniwersytet Wrocławski, Uniwersytet Mikołaja Kopernika i Gdański Uniwersytet Medyczny – reprezentowane są odpowiednio przez 17, 16 i 7 naukowców. Najliczniejszą reprezentację posiada jednak także w S7 Polska Akademia Nauk, której nazwa pojawia się przy nazwiskach 96 autorów (w tabeli S6 było ich jednak sporo więcej, bo 141). Warto odnotować, że w tabeli S6 kolejność uniwersytetów z Warszawy i Krakowa jest odwrotna niż w S7.

Natomiast najwięcej liderów (wśród osób z polską afiliacją) w poddyscyplinach mają: Polska Akademia Nauk – 10, Politechnika Gdańska – 6 oraz Akademia Górniczo-Hutnicza, Uniwersytet im. Adama Mickiewicza i Uniwersytet Warszawski – po 5.

Krzysztof Ciepliński, Akademia Górniczo-Hutnicza

Prenumerata „Forum Akademickiego” w 2021 r.

Szanowni Państwo, Drodzy Czytelnicy i Sympatycy „Forum Akademickiego”, Serdecznie zapraszamy do prenumeraty „Forum Akademickiego” w 2021 roku.

Roczna prenumerata dla instytucji będzie kosztowała 230 zł; prenumerata numerów 1-6: 120 zł, a 7-12: 110 zł.

Prenumeratorom indywidualnym oferujemy specjalną bonifikatę, w związku z czym koszt prenumeraty wyniesie 166 za cały rok i 86 zł za pół roku.

Redakcja



Z Pigoniówki w świat

Dom rodzinny prof. Stanisława Pigonia to niezwykle istotny punkt odniesienia dla jego wspomnień *Z Komborni w świat*. W roku 1942, kiedy Pigoń pisał swe wspomnienia, wieś tradycyjna miała się względnie dobrze. Podkrośnieńska Kombornia wciąż jeszcze zabudowana była chałupami drewnianymi, w większości krytymi słomą. Jednak z upływem ośmiu dekad zmieniło się w tej wsi niemal wszystko, zatem ominięcie Pigoniówki przez powojenne procesy modernizacyjne uznać należy za bardzo szczęśliwe zrzządzenie losu.

Początków zagrody zlokalizowanej w eksponowanym terenie północno-wschodniej Komborni upatrywać należy w połowie wieku XIX, kiedy nieznanymi z imienia rymarz – pradziadek Profesora – został uwłaszczony kawałkiem parcelowanego folwarku Urbańskich. Drewniany dom, jaki wtedy zbudował, nakryty był czterospadowym, słomianym dachem, zaś w sensie etnograficznym stanowił on szerokofrontową, dwutraktową chałupę zrębową, węglowaną na obłap, z racji rozplanowania wnętrza określaną w okolicznych wsiach jako tkacką. Wiązało się to ściśle z ludowym rzemiosłem praktykowanym w Komborni od czasów lokacji, wymagającym osobnej izby dla jednego lub kilku warsztatów tkackich. To dobrze oświetlone okna wnętrza, zwane *warstatem*, mieściło się w szczycie domu, za amfiladową izbą z półkurnym piecem. Tkactwem trudnił się syn właściciela – Józef, dziadek po kądzieli Stanisława Pigo-

nia. Po Józefie gospodarkę objęła córka Katarzyna (1860–1946), która wyszła za Jana Pigonia (1851–1927).

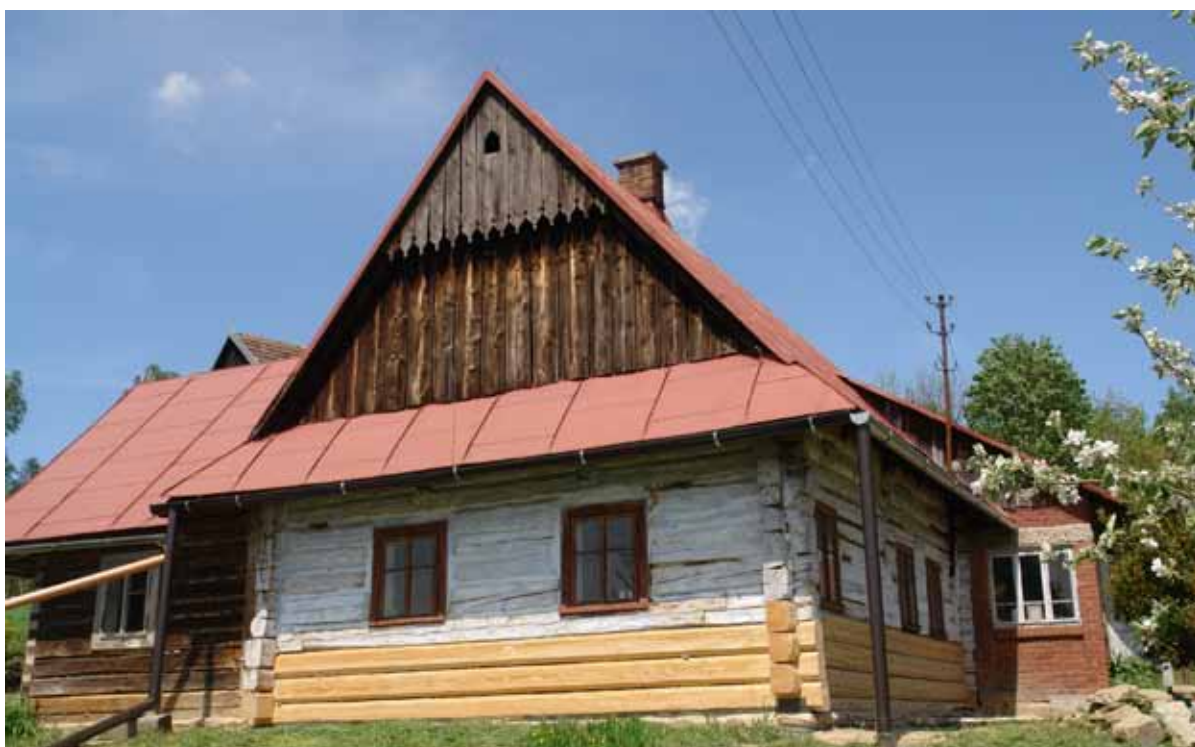
Jan i Katarzyna – rodzice prof. Pigonia – rozpoczęli wspólne gospodarowanie w domu, który od tej pory można nazywać Pigoniówką. Katarzyna, w chwilach wolnych od zwyczajowych zajęć gospodyni, lubiła oddawać się lekturze książek religijnych oraz przedzeniu lnianych lub konopnych nici. Jan, wykonujący tradycyjnie męskie prace w gospodarstwie, realizował się jako ślusarz i kowal-samouk, w czym osiągnął bardzo wysoki stopień biegłości, albo też zimą – jako stolarz. Pigoniowie doczekali się dziewiątki dzieci: Albiny, Stanisława (ur. 27 września 1885), Feliksa, Karoliny, Ignacego i Anieli, a dalszych troje zmarło w niemowlęctwie.

Po rodzicach prof. Pigonia w jego domu rodzinnym gospodarowała młodsza siostra Karolina, po niej zaś dalsi krewni, po śmierci których, w roku 2004, Pigoniówka opustoszała. Wprawdzie wyjątkowość, związki biograficzne i wartość zabytkowa tego domu dawały nikłą nadzieję na zachowanie chałupy Pigoniów, ale decyzje takie wiązać musiały się ze znacznymi nakładami finansowymi, a ponadto wymagały starannego namysłu co do nowej funkcji zabytku. Próby podejmowane na miejscu przez samorząd nie przyniosły efektów, na szczęście w 2010 roku zagrodę kupiła Państwowa Wyższa Szkoła Zawodowa w Krośnie nosząca imię uczonego. Otworzyło to nowe perspektywy dla Pigoniówki,



Stanisław Pigoń w oknie swej pracowni, dobudowanej do zrębu chałupy w 1928 roku (1953)

Źródło: Archiwum RPU w Krośnie



Widok ogólny domu rodzinnego Stanisława Pigonia od południa (maj 2020)

Fot. T. Kopakiewicz

pozwoili na podjcie trwajcych wycznie prac zabezpieczajcych i renowacyjno-konserwatorskich. Ich celem jest adaptacja chaupy in situ na Dom Pamięci Profesora, a zarazem skromne muzeum podkarpackiej kultury ludowej. Intencj wladz Karpackiej Państwowej

Uczelni w Krošnie jest równiez odtworzenie małaarealowego gospodarstwa rolnego z endemicznj rošlinnošci j tradycyjnymi uprawami typowymi dla tej częci Podkarpacia.

Tadeusz Łopatkiewicz

Opowieść tkana przędziwem pamięci Stanisława Pigionia

Pamiętnik *Z Komborni w Őwiat*, spisany przez prof. Stanisława Pigionia w okupowanym przez Niemców Krakowie, doczekał się sześciu wydań w latach 1946–2019. Niniejsze wydanie (2019 r.), ukazujące się po 35 latach od poprzedniego, zostało przygotowane w Państwowej Wyższej Szkole Zawodowej w Krošnie noszącej od 2012 r. imię autora. Otwiera ono serię wydawniczą Bibliotheca Pigioniana zaplanowaną na jubileusz 20-lecia uczelni. W trosce o najwyższy poziom naukowego opracowania pamiętnika zadanie to powierzono prof. Czesławowi Klakowi, wybitnemu badaczowi życia i twórczości S. Pigionia. Autor opracowania zdecydował się poszerzyć tom o inne teksty krakowskiego literaturoznawcy o charakterze pamiętnikarsko-wspomnieniowym, tj. *Nad Stochodem* oraz *Wspominki z obozu Sachsenhausen*. Dzięki temu w jednym tomie otrzymujemy zapis wspomnień Pigionia od spędzonego w Komborni dzieciństwa, poprzez naukę w jasielskim gimnazjum, aż po realistyczny opis gehenny profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego aresztowanych 6 listopada 1939 r. i wywiezionych, w wyniku przeprowadzonej przez Niemców Sonderaktion Krakau, do obozu koncentracyjnego. Czas pokrył pyłem niepamięci tamte wydarzenia. Ze względu na ich kulturowe znaczenie oraz wyjątkowj postać patrona krošnieńskiej uczelni publicznej przywracamy je do czytelniczego obiegu.

Geneza zainteresowań postaci j twórczošci Stanisława Pigionia jest związana z działalnošci w Krošnie dwóch instytucji kształcenia wyższego: Kolegium Nauczycielskiego (od 1992 do 2001 r.) i Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej (od 1999 r.). Rozpocznajły one aktywność dydaktyczną i naukowj od kształcenia nauczycieli języka polskiego, języków obcych, pedagogiki i wychowania fizycznego. Obie instytucje obrały za patrona urodzonego w pobliskiej Komborni prof. Stanisława Pigionia. Uroczystość nadania imienia Kolegium Nauczycielskiemu odbyła się 4 listopada 1994 r. w czasie obrad konferencji naukowej *Inteligencja południowo-wschodnich ziem polskich*. Okolicznošciowy wykład wygłosił prof. Franciszek Ziejka, wówczas prorektor UJ, uczeń i wnikliwy badacz biografii uczonego, dociekajjcy fenomenowi jego osobowości i próbujjcy odpowiedzieć na pytanie *Jakie czynniki wpłynęły na to, że ten chłopiec z podkarpackiej wsi osiągnął w swoim życiu prawdziwe szczyty wielkošci?* Odpowiedzi ukazujj wybitnego badacza literatury i kultury polskiej, żołnierza i oficera na frontach pierwszej wojny Őwiatowej i wojny polsko-bolszewickiej, wychowawcę, nauczyciela i opiekuna młodzieży studenckiej, profesora uniwersytetów w Poznaniu, Wilnie i Krakowie, kuratora Bratniej Pomocy Studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego, a nade wszystko niezłomny autorytet moralny.

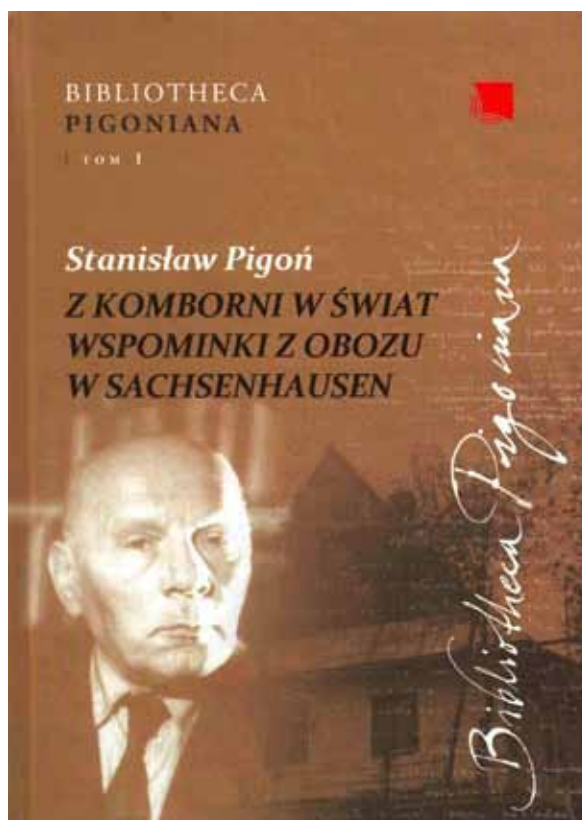
W działalnošć PWSZ wpisano liczne Pigioniana. W 2006 r. budynkowi dawnego kolegium jezuickiego, który jest siedzibj Instytutu Humanistycznego, nadano imię Collegium Pigionianum. Wyjątkowym wydarzeniem było kupno przez uczelnię domu rodzinnego S. Pigionia w Komborni. Po zakończczeniu remontu pomiešci on izbę pamięci uczonego z licznymi zachowanymi po nim pamiętkami, ekspozycje

zbiorów etnograficznych i ošrodek kształcenia praktycznego. Uczelniane wydawnictwa, poza serię Bibliotheca Pigioniana, obejmujj: *Małe ojczyzny Stanisława Pigionia* autorstwa F. Ziejki (Krosno 2006), *Tata Pigoń. Kartka z dziejów tajnego uniwersytetu w Krakowie* (wstępn J.S. Gruchała, Krosno 2008), a takżę wydawany od 2018 r. rocznik naukowy „Studia Pigioniana” (red. naczn Grzegorz Przebinda).

Pigioniove „wyjście z Komborni w Őwiat” dokonuje się na głębkim fundamencie lokalnej kultury i ścisłym, a nawet apologetycznym, utożsamianiu się z jej wartościami. I jeśli nawet uznamy, że komborski Őwiat w pamiętniku był idealizowany, warto przypominać, że nasza indywidualna i społeczna codziennošć miešci się w dwóch perspektywach: skąd przychodzimy? i dokąd zmierzamy? Patron krošnieńskiej uczelni przypomina o tym jednoznacznie i kategorycznie – bez znaków zapytania.

Wyrażamy nadzieję, że czytelnicy po lekturze obecnego wydania *Z Komborni w Őwiat* podzielj opinię autora wstępn: „Czy te «kartki wyblakły do znaku»? Pigoń miał nadzieję, że nie. Czytelnicza i historycznoliteracka recepcja Komborni zdaje się potwierdzać jedno z pierwszych spostrzeżeń krytycznych, że dzieło to należę do najwybitniejszych osiągnięć memuarystyki polskiej”.

Franciszek Tereszkiwicz



Rozmowa z dr. hab. Przemysławem Czarnkiem, prof. KUL, ministrem edukacji i nauki

Nie chcemy odkładać ewaluacji

Największą bolączką jest to, że na dotychczasowych etapach reformy szkolnictwa wyższego i nauki zbyt mało dostrzegaliśmy różnic między naukami humanistycznymi i ścisłymi. Jednak one powinny być traktowane odmiennie, także pod względem oceny, punktacji czasopism i wydawnictw oraz standardów umiędzynarodowienia publikacji. Mam wrażenie, że w wielu miejscach postawiliśmy blokady rozwoju tych obszarów wiedzy w Polsce.

Jak by pan uzasadnił połączenie działów administracji rządowej: edukacja oraz szkolnictwo wyższe i nauka?

Dzięki połączeniu tych działów w jednym ministerstwie pewne rzeczy można i trzeba będzie zrobić inaczej i lepiej. Działy te obejmują pełny cykl edukacji: od szkoły podstawowej do studiów wyższych, a nawet doktoratu. Pod tym względem nie różnimy się teraz od wielu innych krajów, w których wszystkie szczeble edukacji podlegają jednemu ministrowi. Jest to krok w dobrym kierunku.

Co trzeba zrobić lepiej?

Choćby kształcenie nauczycieli. Z jednej strony zainteresowane nim było żywotnie dotychczasowe Ministerstwo Edukacji Narodowej, odpowiedzialne za kształcenie powszechne – podstawowe i ponadpodstawowe, ale kompetencje w tym zakresie miało Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego, które podejmowało decyzje kto, w jaki sposób i ilu nauczycieli będzie kształcił. Już tylko ta płaszczyzna wspólna pokazuje, że to połączenie było słuszne, że ma sens. Racjonalne zaplanowanie i przeprowadzenie procesu kształcenia nowej kadry pedagogicznej jest jednym z kluczowych zadań państwa.

Kilka lat temu odbyła się dyskusja na temat kształcenia nauczycieli i podjęto decyzje dotyczące tej sprawy, tj. że nauczycieli mogą kształcić tylko uczelnie akademickie z odpowiednimi profilami nauczania i uprawnieniami do nadawania stopni naukowych. Czy zostaną one zweryfikowane i jak?

Wydaje mi się, że za mocno ograniczono prawo do kształcenia nauczycieli, zwłaszcza tych od nauczania początkowego. Dlatego poprosiłem o analizę i diagnozę sytuacji. Czekam na dane na ten temat. Analiza dotyczy perspektywy przyszłości zawodu nauczycielskiego w okresie pięciu i dziesięciu lat. Dopiero na jej podstawie będzie można podjąć decyzje co do sposobów i miejsc kształcenia nauczycieli. Chcemy uniknąć sytuacji, z jaką borykają się nasi zachodni sąsiedzi, np. w Niemczech – jak mnie informują eksperci –

tylko w jednym landzie wschodnim brakuje 2,5 tys. nauczycieli. Już teraz widzimy pewne braki w kadrze nauczycielskiej, np. w zachodniej Polsce mamy za mało nauczycieli wychowania przedszkolnego czy edukacji specjalnej. A to tylko wstęp do problemów, które mogą się pojawić, jeśli nie dokonamy korekty procesu kształcenia nauczycieli. Mamy już pewne obrazy niedostatku nauczycieli przedmiotów ścisłych. Średnia wieku nauczycieli matematyki, fizyki i chemii jest bardzo wysoka. To powód, żeby ze środowiskiem nauczycielskim, związkami zawodowymi i przedstawicielami szkół wyższych rozpocząć poważną dyskusję o wypracowaniu zmian w modelu kształcenia nauczycieli. W ten sposób odpowiemy na problemy, które się w Polsce w tym obszarze ujawniają.

Jak pan sobie wyobraża takie duże ministerstwo ulokowane w dwóch miejscach?

Lokalizacja nie jest żadnym problemem. W Urzędzie Wojewódzkim miałem ponad ośmiuset pracowników w czterech miastach, zatem wiem, że skuteczne zarządzanie dużymi zespołami jest możliwe.

A gdzie pan będzie urzędował?

Zależnie od podejmowanych danego dnia zadań. I na Szucho, i na Hożej jest gabinet ministra. Spotkania kierownictwa resortu robimy naprzemiennie w obu lokalizacjach. Przejazd między tymi budynkami zajmuje pięć do siedmiu minut.

Czy wpadł pan na pomysły, żeby skontaktować się z ostatnim ministrem edukacji i szkolnictwa wyższego, który miał w pięty oba te działy administracji rządowej, profesorem Michałem Seweryńskim?

Będę miał na to jeszcze czas. W tej chwili skupiam się na bieżących, najpilniejszych sprawach. Spotkanie z senatorem Seweryńskim, o które będę zabiegał, z pewnością przyniesie dobre owoce.



Jak ocenia pan przeniesienie nadzoru nad NCBR i Siecią Łukasiewicz do Ministerstwa Rozwoju?

Nie widzę w tym problemu. Tym ministerstwem kieruje doktor Jarosław Gowin, który był przez kilka lat ministrem nauki i dobrze rozumie jej potrzeby. Na dodatek zna on też problemy innowacyjności, a to głównie jej, a także rozwojowi gospodarczemu, służą obie wzmiankowane instytucje. Zatem umieszczenie ich właśnie w Ministerstwie Rozwoju ma uzasadnienie merytoryczne. Oczywiście wolałbym, żeby one były u mnie, ale takie są rozstrzygnięcia polityczne. Ja je w pełni akceptuję.

Do NCBR przeszedł Krajowy Punkt Kontaktowy Programów Ramowych Unii Europejskiej, a ten służy głównie nauce.

Tu również nie widzę problemu. Szefem resortu jest premier Gowin, z którym jestem w tych sprawach w kontakcie i dobrej współpracy.

Zapowiedział pan naprawę sytuacji polskiej humanistyki. Jakie problemy dostrzega pan w tym obszarze? Widzę taki kontekst: humanistyka w Polsce jest wyjątkowo dobrze finansowana. Nie tylko ma udział w grantach NCN, ale dodatkowo jako jedyna ma specjalny własny program finansowania badań; kadra nauk humanistycznych i społecznych jest wyjątkowo liczna, podobnie większość studentów kształci się właśnie na tych kierunkach.

Od lat formuję wniosek, a teraz jako minister edukacji i nauki szczególnie go podkreślam: mamy wielki potencjał naukowy w naukach humanistycznych, społecznych i teologicznych, ale nie jest on należycie wykorzystany. Trzeba ten potencjał uwolnić. Na KUL-u, z którego się wywodzę, mamy najlepszą w Europie teologię, znakomitą filozofię, świetne nauki prawne, dobrą historię, ale pieniądze, które na te zagadnienia przeznaczamy, nie są najlepiej ukierunkowane, a czasami także zbyt małe. Największą bolączką jest to, że na dotychczasowych etapach reformy szkolnictwa wyższego i nauki zbyt mało dostrzegaliśmy różnic między naukami humanistycznymi i ścisłymi. Jednak one powinny być traktowane odmiennie, także pod względem oceny, punktacji czasopism i wydaw-

Dr hab. **Przemysław Czarnek**, prof. KUL (ur. w 1977) ukończył studia prawnicze na Wydziale Prawa, Prawa Kanonicznego i Administracji Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II. Doktoryzował się na podstawie pracy *Zasady państwa prawnego i sprawiedliwości społecznej w praktyce ustrojowej III Rzeczypospolitej Polskiej*, a habilitował na podstawie dorobku i rozprawy *Wolność gospodarcza*. Pierwszy filar społecznej gospodarki rynkowej. Specjalizuje się w prawie konstytucyjnym. Jako wojewoda lubelski (2015-19) był zaangażowany we wdrażanie reformy strukturalnej szkół na terenie województwa oraz uczestniczył w debacie nad kształtem reformy edukacji. W 2019 roku uzyskał mandat posła na Sejm RP IX kadencji, zdobywając ponad 87 tys. głosów. Od 19 października 2020 roku jest ministrem edukacji i nauki.

nictw oraz standardów umiędzynarodowienia publikacji. Mam wrażenie, że w wielu miejscach postawiliśmy blokady rozwoju tych obszarów wiedzy w Polsce. Nauki teologiczne są w Polsce na naprawdę wybitnie wysokim poziomie, mamy znakomite wydziały teologiczne, choćby wspomniany KUL-owski – największy i najlepszy w Europie Środkowo-Wschodniej, ale już punktacja krajowych wydawnictw teologicznych jest niska. Nasi teologowie szukają zatem możliwości publikowania za granicą w obcych językach. Tylko komu to służy? Polscy czytelnicy, do których mogłyby być adresowane wyniki badań naukowych: duszpasterskich, pastoralnych i innych, mogą mieć problem z dotarciem do tych prac; nie tylko z powodów językowych, ale z braku powszechnej dostępności zagranicznych czasopism naukowych. Komu zatem służy takie umiędzynarodowienie? Ono może być rozumiane jako popularyzowanie wyników polskiej nauki na świecie, ale w pierwszej kolejności wyniki naszych prac powinny służyć naszemu społeczeństwu. Trochę inaczej to wygląda w naukach ścisłych. Tam umiędzynarodowienie – publikowanie w języku angielskim – jest na przyzwoitym poziomie i jest naturalne, bo konteksty regionalne czy narodowe tych badań nie mają takiego znaczenia. Mamy mnóstwo wybitnych naukowców humanistów, wielu studentów, programy wsparcia dla nauk humanistycznych – czyli ogromny potencjał, który nie jest do końca wykorzystany.

Czy koncepcja unarodowienia humanistyki, którą podczas kongresu Polska Wielki Projekt przedstawiła dr Magdalena Gawin, wiceminister kultury, jest sprzeczna z potrzebą umiędzynarodowienia nauki, czy to są dwie strony tego samego medalu?

Nie ma żadnej sprzeczności między postulatem ministra Gawin a umiędzynarodowieniem. Trzeba tylko zwrócić uwagę na to, czemu nauka, a nawet konkretne badania, czyli projekty naukowe, służą. Do kogo w pierwszej kolejności mają być adresowane polskie prace naukowe, prowadzone przez polskich badaczy w polskich uczelniach za pieniądze polskich podatników? Moim zdaniem, powinny być skierowane w pierwszej kolejności do polskich odbiorców. Myślę tu w szczególności o humanistyce i naukach społecznych oraz teologii. Jeśli mówimy o unarodowieniu nauk humanistycznych, to chodzi nam o to, że nauka nie żyje sama dla siebie, naukowcy nie żyją sami dla siebie, ale mają swoimi kompetencjami i wynikami badań służyć społeczeństwu i państwu, które ich prace finansuje. Chodzi o przesunięcie akcentów. Publikuj swoje wyniki w językach obcych, dostaniesz za to dodatkowe punkty w ocenie, ale musisz opublikować je także w języku polskim, bo społeczeństwu polskiemu są one potrzebne. Szczególną sytuację mamy też w naukach prawnych. Prawo to nie jest biologia czy medycyna, gdzie wyniki są tak samo ważne i przydatne do zastosowania na całym świecie. My, prawnicy, prowadzimy badania w konkretnym otoczeniu prawnym i w pierwszym rzędzie dla konkretnego – polskiego systemu prawnego. Trzeba umiędzynarodawiać nasze wyniki, chwalić się naszymi osiągnięciami w zakresie nauk prawnych, ale w pierwszej kolejności służyć one mają tu i teraz Polsce i polskiemu społeczeństwu. To nie kłóci się z umiędzynarodowieniem, nie neguję potrzeby umiędzynarodowienia. Chcę jednak wskazać na potrzebę drobnego, ale ważnego przesunięcia akcentów.

Niedawno przyznał pan dofinansowanie na tłumaczenie na język angielski Powszechnej encyklopedii filozofii, wydanej przez Polskie Towarzystwo Tomasa z Akwinu. Mam wątpliwość, czy sam przekład wystarczy. Mieliśmy w przeszłości programy tłumaczeniowe, których rezultaty, najdelikatniej mówiąc, nie budziły zachwyty.

Odpowiem w taki sposób. Uczestniczyłem niedawno w pogrzebie redaktora naczelnego tej encyklopedii, ks. prof. Andrzeja Maryniarczyka. Miałem zaszczyt wręczyć rodzinie ks. profesora Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski, przyznany przez prezydenta RP właśnie za to wybitne dzieło. *Powszechna encyklopedia filozofii* jest dobrym przykładem przybliżającym zrozumienie problemu unarodowienia i umiędzynarodowienia. Gdyby była ona napisana w języku angielskim, musielibyśmy znaleźć pieniądze na jej przekład na język polski, co byłoby absurdalne. Absurdy są widoczne w naukach humanistycznych właśnie wskutek niewłaściwej liczby punktów przyznanych czasopismom i wydawnictwom z tego obszaru. Encyklopedia filozofii to wielkie dzieło ponad ośmiuset autorów, w przeważającej większości polskich. To jedyne takie dzieło w Polsce i jedno z siedmiu na świecie. Zabrakło jednak promocji dzieła w samej Polsce, a już ogromnym problemem jest jego promocja poza krajem. Właśnie temu ma służyć decyzja ministra nauki. Samo tłumaczenie jest podstawą do tego, by tę pracę promować na świecie. Pokażemy w ten sposób wybitny dorobek polskich naukowców.

Ma pan pomysł na wydanie tego dzieła za granicą?

Bardzo liczę tu na kreatywność władz Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, którego subwencję zwiększyłem właśnie z myślą o tym celu.

Od dziesięciu lat działa Narodowy Program Rozwoju Humanistyki, a od 2016 r. koncentruje się na finansowaniu badań i prac edytorskich – mam wrażenie niedocenianego, także w punktowaniu, obszaru prac humanistycznych. Co pan sądzi o tym programie i jakie ma plany względem niego?

Jest zbyt słaby zarówno pod względem jakościowym, jak i finansowym. Mamy do zrobienia w humanistyce wiele rzeczy ważnych dla państwa polskiego. Mamy na to pomysły i środki oraz potencjał kadrowy. Chcemy ten program rozwijać, ale i reformować. Zespół doradczy pod kierunkiem prof. Waldemara Parucha wypracował pewne wnioski. Spotykam się też z Komitetem Kryzysowym Humanistyki Polskiej, bo chcemy wysłuchać różnych stron, także centro-lewicowej, aby z potencjału humanistycznego wydobyć jak najwięcej.

Czy to znaczy, że ten program będzie lepiej finansowany?

Na pewno może być lepiej wykorzystany i lepiej finansowany.

Jak pan patrzy na działania edytorskie? Za tego typu badania, zwykle zespołowe, wieloletnie, dostaje się znacznie mniej punktów niż za monografię.

Jest wiele takich obszarów, w których dostaje się punkty za „nic”, np. są punkty za zdobywanie grantów. A przecież granty to po prostu pieniądze na badania naukowe. Punkty powinny być za wyniki badań, a nie za to, że ktoś zdobywa na własne badania pieniądze i podejmuje się rozpoczęcia tych badań. Punktacja wyników prac naukowych niekiedy stoi na głowie i w najbliższym czasie będziemy ją korygować.

Czy to oznacza także poprawę punktowania prac nad wydaniami krytycznymi dorobku naszej kultury: literackiego, muzycznego i innych jego form?

Możemy się spodziewać urealnienia punktacji w wielu obszarach.

Jak pan ocenia reformę nauki, która jest wdrażana od 2018 r.?

Nie mam wątpliwości, że reforma była konieczna, bo poruszyła pewne skostniałe struktury w naszej nauce i szkolnictwie wyższym. Szkoda, że nie objęła Polskiej Akademii Nauk, bo ona też wymaga zmian. Postulaty dotyczące korekty tej reformy i wskazujące jej mankamenty płyną i z lewicy, i z prawicy. Pewne braki są naturalne i nieuchronne wobec skali tej reformy. Dlatego zespół prof. Parucha pracuje nad kilkoma obszarami problemowymi. Jednym z ważniejszych jest ewaluacja. Trzeba przećwiczyć pewne obawy co do jej skutków, które słusznie mają różne środowiska w różnych częściach kraju. Kolejny ważny obszar, częściowo powiązany z ewaluacją, to kariera naukowa. Myślimy o pewnych korektach dotyczących awansów naukowych, ale nie będzie ona polegała na likwidacji jakiegokolwiek stopnia naukowego. Mamy doktorat, habilitację i profesurę, ale dojście do tych szczebli awansu ma pewne mankamenty, na które zwraca też uwagę Rada Doskonałości Naukowej.

Na wieść o nowelizacji ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce w postaci tzw. pakietu wolnościowego, pojawiły się dość liczne głosy stwierdzające, że obecne prawo wystarczająco zabezpiecza wolność na uniwersytetach. Proszę podać uzasadnienie tego pakietu zmian, które pan zaproponował.

Czy słyszał pan o postępowaniach dyscyplinarnych wobec aktywistów lewicowych z uniwersytetów na wnioski osób o poglądach konserwatywnych? Zapewne nie. Za to z pewnością słyszał pan o postępowaniach wobec kadry o poglądach konserwatywnych, np. o postępowaniu w stosunku do profesora Aleksandra Nalaskowskiego z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu czy profesora Ewy Budzyńskiej z Uniwersytetu

Śląskiego. Otóż strona lewicowo-liberalna nadużywa prawa do atakowania innych za poglądy. Strona prawicowa tego nie robi. Krytykujemy poglądy, podajemy argumenty, ale już kontrargumentów nie otrzymujemy. Zastępują je postępowania dyscyplinarne za wyrażanie, często po prostu zdroworozsądkowych, opinii. To powoduje sytuację, że wielu woli się nie wypowiadać, niż mieć problem z postępowaniem dyscyplinarnym, być poddanym ostracyzmowi i czytać w prasie, że uniwersytet przeciwstawia się takim poglądom. W ten sposób debata uniwersytecka jest istotnie uboższa. Pakiet Wolności Akademickiej jest niczym więcej, jak tylko wypełnieniem gwarancji konstytucyjnych swobodnego wyrażania przekonań światopoglądowych, religijnych i filozoficznych w granicach obowiązującego prawa także przez naukowców.

Uważa pan, że gwarancje zawarte w konstytucji są niewystarczające?

A czy uważa pan, że np. konstytucyjne gwarancje prawa do sądu, do świadczeń zdrowotnych finansowanych ze środków publicznych są wystarczające? Przecież tworzymy odpowiednie prawo, które ich realizację szczegółowo opisuje. Tak samo jest w przypadku pakietu wolnościowego. On uszczegóławia pewne normy konstytucyjne, gdyż one same w swej podstawowej postaci okazały się niewystarczające. Zarzut, że wystarczy konstytucja, mógłby być formułowany pod adresem wszystkich ustaw. Konstytucja jest na szczycie hierarchii naszego prawa, a my tą nowelizacją gwarancje konstytucyjne wypełniamy w obszarze szkolnictwa wyższego i nauki.

Jakie są pana plany odnośnie do Regionalnej Inicjatywy Doskonałości?

To jest wsparcie dla uczelni regionalnych, ale nie chcę wspierać uczelni regionalnych, lecz dać równe szanse wszystkim uczelniom: i tym z Rzeszowa, Białegostoku, i Kielc oraz warszawskim czy poznańskim. Nie sądzę, żebyśmy z jakiegokolwiek powodu musieli stawiać na uczelnie wrocławskie czy krakowskie kosztem lubelskich czy zielonogórskich. Ośrodki akademickie będą się znakomicie rozwijały wtedy, gdy będą działały na zasadzie sprawiedliwej konkurencji. Naukowcy z Białegostoku wcale nie są gorsi od tych z Warszawy.

Jednak mamy przykład, że uczelnia z niedużego, regionalnego miasta osiągnęła wybitną pozycję naukową. Myślę o toruńskim Uniwersytecie Mikołaja Kopernika.

Oczywiście. W praktyce jednak naukowiec z Rzeszowa czy Lublina musi się o wiele mocniej przebijać do światowej elity

niż ten z Warszawy czy Krakowa. Nie rozumiem, dlaczego tak ma być. Stawianie na sztandarowe uniwersytety niczemu nie służy. Wspinaniu się po drabinie punktacji i rankingów służy przede wszystkim równa konkurencja wszystkich ośrodków akademickich. W Polsce do tego będziemy zmierzać, także przy pomocy zmodyfikowanej Regionalnej Inicjatywy Doskonałości.

Przewiduje pan wzmocnienie finansowe tego programu?

Przed wszystkim chcę wzmocnić równą konkurencję placówek akademickich bez względu na to, czy są w Szczecinie, czy Krakowie. Potem się okaże, w jakiej formie i zakresie potrzebne są RID-y.

A co z programem IDUB?

Podobnie rzecz się ma z IDUB-em – na razie analizujemy sytuację.

W bardzo wielu uczelniach zwycięzcami ostatnich wyborów rektorskich zostali studenci. Bez ich głosów – 20 procent wszystkich, zwykle oddawanych solidarnie, blokiem, na jednego kandydata – wygranie wyborów rektorskich nie jest możliwe. Czy to pozytywne zjawisko i dobre rozwiązanie?

Odpowiem na to pytanie pośrednio: uczelnie służą ocenie studentów, a nie odwrotnie. Uczelnie są po to, aby kształcić studentów i oceniać ich postępy w nauce. Wszystko inne ma być podporządkowane temu celowi. Jeśli coś temu nie służy, to niepotrzebnie zostało wprowadzone do systemu szkolnictwa wyższego.

Proszę o doprecyzowanie zamierzeń ministerstwa odnośnie do najbliższej ewaluacji. Jej zasady wciąż nie są do końca znane, mamy dwa okresy oceny inaczej punktowane, już raz jej termin odłożono. Co będzie dalej?

Wypracowywane są konkretne rekomendacje, które przynosimy na język prawniczy do projektu rozporządzenia. Po pierwsze należy wyjaśnić zasady ewaluacji, bo w wielu miejscach dla wielu osób są nieczytelne. Chcemy, aby były bardziej klarowne. W tym momencie mogę zapewnić uczelnie, zwłaszcza te mniejsze, w regionalnych ośrodkach akademickich, że nie osiągną ich negatywne konsekwencje faktu, że zasady ewaluacyjne wprowadzane są w trakcie gry, czyli w trakcie okresu, który będzie oceniany. Nie kwestionuję samych zasad, poza tym, że muszą być bardziej czytelne. Nie chcemy też odkładać już dłużej ewaluacji.

Rozmawiał Piotr Kieraciński

W najbliższym numerze „Forum Akademickiego”

Badania naukowe związane z lasem, jego ochroną i gospodarką leśną

Na czym powinna polegać gospodarka leśna w Polsce?

Jakie są koncepcje ochrony lasu i jego bioróżnorodności?

Jak wykorzystuje się polskie lasy do redukcji emisji CO₂, jaką rolę pełnią w rozwoju gospodarczym terenów wiejskich?

O implementacji wyników badań naukowych do praktyki leśnej, ich wpływie na politykę leśną państwa oraz wyczerpywaniu się dotychczasowych paradygmatów wiedzy leśnej piszą dla nas: Wojciech Grodzki, Roman Jaszczak, Piotr Łakomy, Anna Orczewska, Janusz Szmyt i Jerzy Szwagrzyk.

Wojna kulturowa?

Dziękuję, nie biorę...

Może to pora na powrót do pryncypiów i ustalenia reguł konfliktu? Co do czego się zgadzamy? Co rzeczywiście leży u podstaw idei Uniwersytetu? Mówiąc wprost: jaka jest jego specyficzna kultura? Być może w miejsce wojny kulturowej w środowisku akademickim potrzebujemy obecnie skupienia uwagi na aspektach definiujących samą kulturę Uniwersytetu?

Przedstawiciele nauk społecznych proszeni przez dziennikarzy o rozstrzygające komentarze bardzo rzadko mają komfort udzielenia zupełnie jednoznacznej odpowiedzi w tych czy innych kwestiach. Pytanie o potrzebę wojny kulturowej w środowisku akademickim nie należy jednak do tej kategorii, a odpowiedź tu krótka i zdecydowana: nie. A dlaczego nie? W tym miejscu można przytoczyć zarówno psychologiczne, jak i społeczne argumenty.

Porządkująca metafora czy ryzykowna rama poznawcza?

Jedno z ćwiczeń wykorzystywanych podczas treningów kreatywnego myślenia polega na motywowaniu ludzi do poszukiwania sensu w zbitkach słów mających na pierwszy rzut oka niewiele ze sobą wspólnego. Zbitkach takich, jak choćby „poduszka muzyczna” czy „termometr odpowiedzialności”. Z początku zdezorientowani, po chwili uczestnicy zaczynają tworzyć kolejne pomysły na rozszyfrowanie znaczenia proponowanego terminu, a niedługo później idzie im to już zwykle tak sprawnie, jakby analizowane połączenie słów istniało od dawna. Patrząc na ten twórczy proces z boku, można zauważyć, że rozwinięte interpretacje wymagają sięgnięcia po dodatkowe pojęcia należące do tej samej sieci semantycznej. A zatem „poduszkę muzyczną” można ujmować jako jeden z elementów „pościeli sztuki”, a w ramach działania „termometru odpowiedzialności” poszukiwać punktów przechodzenia odpowiedzialności w stan „wrzenia” czy „skraplania”.

Podobnej sytuacji można spodziewać się podczas rozważań dotyczących potrzeby prowadzenia w środowisku akademickim wojny kulturowej. Bez względu na to, czy o „wojnie” myśli się w kategoriach dosłownych, czy też metaforycznych, pojęcie to z góry podpowiada nam określone ramy interpretacyjne sytuacji, czyli swego rodzaju filtr widzenia otaczającej rzeczywistości. Ludzie dookoła stają się „sojusznikami” lub „wrogami”, poszczególne interakcje zaczynają być określane jako „bitwy”, których celem jest „atak” lub „obrona”, a ostatecznym celem działania staje się „zwycięstwo” własne i doprowadzenie do „klęski strony przeciwnej”.

Wprowadzenie nomenklatury wojennej do określania sposobu prowadzenia dyskusji lub rozwiązywania konfliktu ma konsekwencje. Z jednej strony upraszcza i dokładnie dookreśla sytuację. To, co wcześniej było niejednoznaczne, w subiektywnym poczuciu staje się nagle przewidywalne i zrozumiałe. Dotychczas jedynie „wyczuwane podskórnie” podziały we własnym środowisku stają się bardziej dosłowne, zaś zakres środków możliwych do użycia w konfrontacji z przedstawicielami „odmiennej” opcji właściwie sam się narzuca. Z drugiej strony przyjęta rama interpretacyjna sama może tworzyć rzeczywistość podziału i konfliktu. „Tej wojny nie można przegrać”. „Bój to będzie ostatni”, „Trzeba wyjść z twarzą z potyczki”, „Z tarczą albo na tarczy”, „Nie wolno cofnąć się ani na krok” – uruchomione mechanizmy wroziej interpretacji niejako samoistnie wymuszają coraz bardziej wyrazistą retorykę, graniczącą nieraz z agresją. Arlin Benjamin i Brad Bushman pokazali, że wykryty w latach sześćdziesiątych tzw. efekt broni współcześnie nie tylko nie traci na sile, ale – przy zwiększającym się prawdopodobieństwie ekspozycji ludzi na widok pistoletu, karabinu czy broni białej – nadal aktywizuje gniewne myśli i motywuje do wzrostu zachowań agresywnych.

Mówi się, że pojawiający się na początku filmu rewolwer niechybnie wypali w którejś z późniejszych scen. Podobnie wprowadzenie etykiety „wojna” na określenie pojawiającego się konfliktu z dużym prawdopodobieństwem może zaowocować, także w środowisku akademickim, zjawiskami psychologicznymi, społecznymi i kulturowymi, które można określić jako „szkody wojenne”. Będą zatem pobici i ranni, w zbiorowej pamięci przetrwają wspomnienia o wojennych zbrodniach, resentymenty, emocje zbiorowe... Bertjan Doosje i współpracownicy pod koniec lat dziewięćdziesiątych opisali koncepcję poczucia winy wynikającego z utożsamienia się z grupą, która popełniła wykroczenia. W kolejnych dekadach psychologowie społeczni pokazali, że w podobny sposób odczuwany może być wstyd, ale i poczucie krzywdy czy żal. Przy silnej identyfikacji ze stronami konfliktu przetrwanie reminiscencji linii frontu w postaci emocji grupowych jest bardzo prawdopodobne. J. Christopher Cohrs i Sina Ibler pokazali, że poczucie realnego

lub symbolicznego zagrożenia, które przypisywane jest działaniom innych osób, bywa najsilniejszym paliwem podziałów i autorytarnej identyfikacji się z „własną frakcją”. Udział emocji w procesach zniekształconego postrzegania międzygrupowego prowadzi w dalszej kolejności do aktywnych lub pasywnych prób szkolenia „obcym”, w tym do dehumanizowania i dyskryminacji. W tym miejscu można spytać, czy emocje wyzwolone w przestrzeni akademickiej poprzez wprowadzenie do niej „wojennej” perspektywy pozwolą realizować zadania i cele społeczności akademickiej?

Między podziałem a poczuciem jedności...

O tym, jak łatwo do świata interakcji społecznych wprowadzić podział, świadczą choćby klasyczne badania Henriego Tajfela dotyczące kształtowania się poczucia przynależności grupowej. Wykazały one, że nawet bardzo losowe kryteria dające ludziom podstawy odróżniania „swoich” od „obcych” prowadzą do faworyzowania tych, których spostrzega się jako członków własnej grupy. Inne badania dotyczące mechanizmów spontanicznego kształtowania się grup na podstawie abstrakcyjnych kryteriów pokazały, że w podobny sposób pojawiać mogą się również kierowane pod adresem „obcych” uprzedzenia. Mina Cikara i współpracownicy wykazali natomiast, że sytuacja takiego podziału utrudnia przyjmowanie perspektywy i empatyzowanie z członkami „obcej” grupy, a nawet wywołuje paradoksalne efekty empatii, takie jak radość odczuwana z porażek obcych i ból w świetle ich sukcesów.

Próby wyjaśnienia wspomnianej łatwości w generowaniu podziałów podejmowane są między innymi na gruncie psychologii ewolucyjnej. Zdaniem Marka van Vugta i Justina H. Parka naszemu myśleniu tak łatwo wskakiwać na koalicyjno-odróżniające tory ze względu na wynikające z historii ludzkiego gatunku tendencje do spostrzegania rzeczywistości społecznej w kategoriach plemiennych. W różnych kontekstach życia codziennego tendencje te mogą okazywać się adaptacyjne, podobnie jak adaptacyjne mogą być myślenie heurystyczne czy różnego typu zniekształcenia poznawcze, także posiadające ewolucyjne korzenie. W tym kontekście rozwijana w swej nowożytnej postaci idea Uniwersytetu zdaje się być przedsięwzięciem podejmowanym pomimo – a może nawet wbrew – typowo ludzkim tendencjom spostrzegania

Brys. Sławomir Mela



świata, również w jego społecznym aspekcie. W uniwersytecie dąży się do poszukiwania prawdy, pomnażania wiedzy oraz kreowania warunków sprzyjających swobodnemu dialogowi i wymianie myśli. Dąży się również do zwiększania otwartości i ułatwiania asymilacji wszystkich tych, którzy mogą pozytywnie wpływać na realizowanie wymienionych wcześniej, podstawowych celów tej instytucji. W kontekście takim słabo sprawda się mentalność plemienna, dążąca do kreowania łatwych, dychotomicznych podziałów, kurczowo skupiająca się na obronie interesów wąskiej grupy i z nieufnością patrząca na to, co odmienne lub po prostu nieznanne. W akademicką wojnę kulturową zaproszenie mentalności plemienną jest zaś wręcz programowo wpisane...

Kreacje wrogów

Opozycja retoryki wojennej i indukowanej przez nią wrogości wobec tych, którzy mają odmienny pogląd na tę czy inną sprawę, wobec idei Uniwersytetu jednoczącego zróżnicowane dyskursy i perspektywy sugeruje, że mobilizacja sił powinna nastąpić na innym froncie. Kim lub czym jest rzeczywisty „wróg” w tym boju? Czy jest nim ta lub inna grupa nacisku, frakcja polityczna, instytucja publiczna lub religijna wraz z jej

zatwardziały, nieempatycznymi i zuchwałymi postawami? Wydaje się, że faktycznymi wrogami wszystkich uczestników sporu są tak naprawdę sztywność poznawcza, zbyt pospieszne przywiązywanie się do narracji mówiącej o konflikcie wartości oraz zamykanie się w uproszczeniach rodzących uprzedzenia.

Arie Kruglansky i inni badacze tak zwanego domknięcia poznania wskazali rolę potrzeby poznawczego domknięcia jako strategii selekcjonowania informacji w procesie wydawania sądów i podejmowania zachowań. Jej skutkiem nader często jest rozwijanie uprzedzeniowych struktur wyjaśniania rzeczywistości. Czasem jest to działanie skuteczne, na przykład gdy nie można czekać na rozstrzygnięcie i należy podjąć szybką decyzję. Ale czy zwykła presja czasowa jest trafnym kontekstem rozwoju sporu w obrębie instytucji uniwersytetu, dotąd opartej raczej na mechanizmach procesualności i systematycznego zmierzania do postulowanych celów?

Rozglądanie się za „wrogami”, lepiej zacząć więc od poszukiwania wewnętrznych, umysłowych „partyzantów”, którymi są uproszczenia, odrzucanie możliwości myślenia metaparyadygmatycznego i systemowego czy też sprowadzanie złożonych konfliktów wartości i etyk do dosadnie brzmiących kilkuwyrazowych syntez. Na syntezy przychodzi czas, jeśli w ogóle przychodzi, po dyskursie. Rozpoczynanie od syntez już wstępnie oddala od siebie uczestników dyskusji, podczas gdy stabilnym, sprawdzonym rozwiązaniem, zwłaszcza w strukturach Uniwersytetu, jest spór oparty na przyjętych regułach. Rogger Fisher i William Ury już kilka dekad temu pokazywali rolę negocjacji opartych na zasadach i ich wyższość w odniesieniu do negocjacji siłowych. Może to pora na powrót do pryncypiów i ustalenia reguł konfliktu? Co do czego się zgadzamy? Co rzeczywicie leży u podstaw idei Uniwersytetu? Mówiąc wprost: jaka jest jego specyficzna kultura? Być może w miejsce wojny kulturowej w środowisku akademickim potrzebujemy obecnie skupienia uwagi na aspektach definiujących samą kulturę Uniwersytetu? To wyzwanie o wiele poważniejsze, bo wymaga nazywania i opisywania zjawisk, a nie tylko płynięcia z ich prądem. Dostrzeżenie złożoności i konsekwencji partykularnych rozstrzygnięć, a nie tylko operowania na kazusach. Choć i one nie mogą być lekceważone. Szerzej, pogodzenia nomotetyki z idiografią. To zwłaszcza w naukach społecznych spore wyzwanie.

Modelowanie na polu walki?

Albert Bandura, jeden z najśłynniejszych psychologów społecznych, ujawnił w swoich procedurach badawczych rolę modelowania jako jednej z najistotniejszych technik społecznego uczenia się. Jeśli ludzie Uniwersytetu mają nadal potencjał wzorów do naśladowania – a warto w tym miejscu dodać, że w rankingach zaufania społecznego raportowanych przez CBOS profesor uniwersytetu zajmował zwykle jedno z najwyższych miejsc – warto się zastanowić, w jakim konkretnie aspekcie naśladowanie to miałyby się odbywać. To rozumiałe, że nie chodzi tu po prostu o treść przekonań, bo członkowie społeczności akademickiej mają zróżnicowane poglądy, w tym te o charakterze etycznym czy światopoglądowym.

Naśladować można jednak etos prowadzenia dysputy oraz wzorce umiarkowania i ostrożności wynikające ze świadomości postawy naukowca i ograniczeń stosowanych metod obserwowania i opisywania otaczającej rzeczywistości. Troška o kulturę Uniwersytetu może się więc przejawiać w wyrażaniu potrzeby dodefiniowania postaw tej instytucji względem sporów o charakterze etycznym. Chodzi tutaj między innymi o aspekt niemożności wydawania z pozycji wyłącznie naukowych dyrektyw o charakterze normatywnym, o umiejętność dostrzegania i respektowania ograniczeń swojego dyskursu oraz o perspektywę uzgodnień dyskursu naukowego z innymi

dyskursami, między innymi religijnymi, prawnymi czy obyczajowymi. W istocie to także troska o zainteresowanie funkcjonującym w obrębie Uniwersytetu człowiekiem i złożonym światem jego indywidualnych doświadczeń, o którym wiemy, że jest pełen ambiwalencji i złudzeń na temat własnych procesów psychicznych.

„Ale to już było...”

Jest jeszcze jeden powód, dla którego nie warto patrzeć z entuzjazmem na możliwość wybuchu wojny kulturowej w obrębie środowiska akademickiego. Jest nim ostentacyjna wręcz i niepozostawiająca żadnych nadziei wtórność oczekiwań związanych z tego rodzaju konfliktami, połączona z podobnie wtórną ich płonnością. Wbrew temu, co obwieszczają przewidywania zawarte w dziełach romantyzmu, strofach rewolucyjnych pieśni czy też millenarystycznych prorocत्वach, takich jak choćby to wyrażone w pochodzącym z ostatniej dekady XX wieku tytule dzieła *Koniec historii*, doświadczenie pokazuje, że na końcu nawet najbardziej radykalnych konfliktów nie ma wcale złotego wieku stabilizacji, pokoju i konsensusu. Jest za to szara rzeczywistość, w której odnajdywać się muszą weterani konfliktów, nierzadko zmuszeni do poszukiwania modus vivendi z tymi, którzy przetrwali po drugiej stronie barykady.

W opublikowanym w 1929 roku wierszu zatytułowanym *Do prostego człowieka* Julian Tuwim przestrzegał, że faktyczne racje stojące za wywoływanymi konfliktami mogą być inne, niż te oficjalnie przedstawiane. Podobnie mogłoby być w przypadku „wojny kulturowej” prowadzonej w obrębie Uniwersytetu. Jak wskazuje Małgorzata Budyta-Budzyńska w swoim podręczniku na temat socjologii narodu i konfliktów etnicznych, źródła wewnętrznych sporów wynikają nie tylko z tak oczywistych przyczyn jak poczucie zagrożenia czy walka o symbole. Niekiedy stoją za nimi zachwiania zbiorowej tożsamości, dążenie do zmian systemowych, wyraźne różnice pomiędzy statusem członków danej społeczności, a nawet rzecz tak prozaiczna jak interes tej czy innej grupy, której łatwiej jest aktywizować zbiorowy potencjał z użyciem szumnych haseł. Zamiast więc na wstępie nazywać dowolny konflikt „wojną”, warto zacząć od „nazwania konfliktu”, czyli dokładniejszego doprecyzowania kwestii, których może on dotyczyć. Schemat mówiący, że „bohaterowie rodzą się na wojnie” zastępuje tu perspektywa dziecka z baśni Andersena, które jako pierwsze odważyło się powiedzieć prawdę na temat pewnego królewskiego stroju.

Na koniec warto jeszcze dodać, że dla tych, którym marzy się radykalny konflikt w obrębie społeczności akademickiej, od dawna nie było chyba lepszych warunków do działania niż obecnie. Wszak w rzeczywistości pandemicznej izolacji, w których rzadkością stały się kontakty twarzą w twarz, łatwiej rozwijać się bardziej skrajnemu, zdehumanizowanemu wizerunkowi ideologicznego adwersarza. Słabiej słyszalna może być również empatia skłaniająca do spostrzegania rzeczywistości w perspektywie innych ludzi, a przez to również utrudniająca ich krzywdzenie. Jak pokazuje Naomi Klein w książce *Doktryna szoku*, społeczności znajdujące się w stanie gwałtownych przemian są bardziej podatne na wprowadzanie zmian, na które członkowie tych społeczności nie zgodziliby się zapewne w innej sytuacji. Autorka pokazuje również, że przywracanie równowagi po takim szoku to długi i skomplikowany proces, w którym na nowo określane są sens takich pojęć, jak na przykład zaufanie, otwartość czy nadzieja. To również stanowi koszt położony na szali prowadzonego konfliktu. Także i tego osadzonego w akademickim otoczeniu.

Dr Łukasz Jach i dr Marcin Moroni są psychologami pracującymi w Instytucie Psychologii Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.

Adam Skowron, Janusz Sytnik-Czterwartyński

O problemie wojny kulturowej – filozoficznie

Wojna kulturowa przemocą utożsamia człowieka z jakąś postawą. W konsekwencji obok kompetencji naukowych istotną staje się tożsamość światopoglądowa czy polityczna. Profesjonalizm ustępuje tu miejscu dyletancztwu, co maskowane jest widocznym zaangażowaniem w wojnę kulturową.

Wojna przynosi śmierć. Jest bezkompromisowa, dąży do rozwiązań rozstrzygających. Jej naczelnym zawołaniem jest hasło: my albo oni. Wojna ma zawsze charakter totalny, angażuje wszelkie możliwe środki. I nie ma tu znaczenia, czy jest wojną o podłożu militarnym, psychologicznym czy duchowym. Nie ma też znaczenia, czy areną jej zmagania jest przestrzeń polityczna, gospodarcza czy kulturowa. W każdym z tych przypadków chodzi o zniszczenie przeciwnika, o jego ostateczne unicestwienie.

A jednak każdy konflikt, obok oczywistego aspektu destrukcyjnego, posiada również pewien potencjał twórczy. Zjawisko to można dostrzec nawet na przykładzie II wojny światowej, która z jednej strony przyniosła tragedię milionów ofiar, ale z drugiej rozwój nauki i techniki (zważmy, że np. wyniesienie człowieka na księżyc było pokłosiem prac nad balistyką, zorientowanych na działania wojenne). Z jednej strony wojna ta przyniosła upadek moralności, ale z drugiej heroizm i poczucie wspólnoty, w stopniu niespotykanym w czasach pokoju.

Dzieje się tak z dwóch powodów. Po pierwsze, konieczność przeciwstawienia się złu zmusza człowieka do osobistego zaangażowania, poszukiwania rozwiązań niekonwencjonalnych, skłania go do opowiedzenia się po jednej ze stron (przytoczyć tu można słowa irlandzkiego XVIII-wiecznego filozofa Edmunda Burke'a, który stwierdził, iż „aby zło zatriumfowało, wystarczy, by dobry człowiek niczego nie robił”). Po drugie, dopiero sytuacja graniczna (a podkreślmy, że wedle Jaspersa jedną z takich sytuacji jest walka) pokazuje prawdę o człowieku i jego kondycji moralnej, ujawniając zarówno jego słabości, jak i realną siłę.

Walka na puste pojęcia

Twórczy wymiar sytuacji granicznej polega więc na tym, że w obliczu konfliktu definiujemy siebie na nowo, utożsamiamy się z wartościami i ideałami, które do tej pory – by tak rzec – jedynie w nas drzemały. W kontekście tzw. wojny kulturowej ów twórczy aspekt ma swoje źródło we wspomnianej konieczności opowiedzenia się po jednej ze stron. I tak, wśród ludzi młodych powstaje szereg inicjatyw, organizacji, ruchów ideowych – zarówno po jednej, jak i drugiej stronie – przy czym

ogólna retoryka tych ruchów sprowadza się do stwierdzenia: działaj z nami, gdyż jesteś jednym z nas. Często ma to charakter spontaniczny, np. niektóre grupy formują się tylko ze względu na jakieś konkretne wydarzenie (np. manifestacja/kontrmanifestacja). Świadczy to, że część młodych ludzi bardziej skoncentrowana jest na samej aktywności, choćby w postaci protestu, niż tylko na budowie struktur danej grupy.

Wydawałoby się więc, że dzisiejsza wojna kulturowa ma oblicze ideowe, że chodzi w niej o coś więcej niż tylko o praktyczną zmianę definicji człowieka. Tak jednak nie jest. To, co moglibyśmy określić mianem idei, co ma pewien wymiar metafizyczny, jest tu bowiem fałszem. W dzisiejszej wojnie kulturowej chodzi bowiem wyłącznie o prymat instytucjonalny, prymat, który zniszczy znany nam dotychczas moralny punkt odniesienia i przyniesie nowy, a także doprowadzi do zmiany definicji niektórych wartości (prawda, szczęście, sprawiedliwość, człowiek). Zaangażowane w tę walkę zostały puste pojęcia, które – pozorując ideowe zaangażowanie – wkraczają bezpardonowo w naszą świadomość i ją okupują.

Piewcy tych pojęć wykrzykują je, by zyskać poklask mocą głosu. Prawdziwe idee nie potrzebują jednak siły głosu. Realne recepty na życie są poszukiwane, a nie upychane za pomocą wyrafinowanych narzędzi. Cała współczesna quasi-ideowa doktryna sprowadza się bowiem do blichtru mającego ideowy pozór. Niczego tam więcej nie ma.

Dzieje się tak dlatego, że ciężar budowy nowych humanistycznych idei został przeniesiony z filozofii na literaturoznawstwo. To ono jest odpowiedzialne za kurs dzisiejszej humanistyki, kreując serię nowych pojęć. Środowisko to tworzy jednak puste idee, będąc kompetentnym wszak jedynie do budowy fikcji. Literatura ze swej natury od zawsze zajmuje się tworzeniem nierealnych zdarzeń (jest to sedno i cel jej istnienia), nadając wytworom swej fantazji pozory realności. Tym samym humanistyka odeszła dziś od naczelnego postulatu Arystotelesa, zgodnie z którym nauka ma po prostu opisywać i wyjaśniać świat, a skupiła się na wymyślaniu tego świata na nowo, tworząc jego fantazyjne opisy, nie do końca przejmując się prawdą. W tej konwencji wszystko jest relatywne, wszystko, nawet sama rzeczywistość.

Prawda wojny kulturowej

Należy też zadać pytanie o kompetencje literaturoznawców co do kwestii społecznych, wszak np. aktor grający rolę królów nie zdobywa kompetencji władcy, a jedynie sceniczne środki wyrazu. Tak skonfigurowana humanistyka stała się tylko pozorem filozoficznej głębi. Co więcej, stawia ona na ideowe samoograniczenie. Podobnie jak niektórzy średniowieczni

zakonni myśliciele, którzy głosili wizję świata wyłącznie w granicach koncepcji Tomasza z Akwinu, tak i dzisiejsze ideologie nie są w stanie wyjść poza paradygmat Karola Marksa i Friedricha Nietzche. Środowiska ordynujące te ideologie nigdy nie wypracowały też mechanizmów kontroli ani metodologii badawczej, co właściwie zwalnia z dalszej krytyki ich myśli.



Rys. Sławomir Makal

Jakie płyną z tego konsekwencje? W wojnie kulturowej nie chodzi o precyzyjne definiowanie pojęć na podstawie stanu faktycznego (jak czyni nauka), lecz o działania podejmowane dzięki kryteriom subiektywnym, takim jak światopogląd czy przekonania. Prawda wojny kulturowej nie jest więc prawdą klasyczną (wedle której prawda to zgodność myśli z rzeczywistością), lecz ma charakter sofistyczny, konwencjonalistyczny. Innymi słowy: prawda jest wynikiem pewnych ustaleń, swobodnych uzgodnień i nie musi pokrywać się z rzeczywistością. Nietrudno zauważyć, że takie pojęcie prawdy dalekie jest od ideału postulowanego przez naukę.

Można więc przypuszczać, że wojna kulturowa ma negatywny wpływ na środowisko akademickie, zarówno w kontekście rozwoju nauki, jak i relacji międzyludzkich. Mnożące się podziały, coraz ostrzejsza retoryka, a także upolitycznianie uniwersytetów kolidują z wielowiekowymi tradycjami, według których uniwersytet jest miejscem dla każdego, kto poszukuje wiedzy. Myśl tę wyrażono zresztą w słowach pieśni *Gaudeamus igitur*, gdzie w jednej ze strof śpiewa się: „niech żyje każdy członek [naszej społeczności], niech żyją wszyscy członkowie, niech kwitną”. Niestety wojna kulturowa z pewnością nie prowadzi do rozkwitu czegokolwiek.

Źródeł tego można się doszukać w sporze czysto naukowym, sporze o koncepcję bytu. Byt – naczelne pojęcie filozofii – jest pojęciem trudnym. Chcąc zdefiniować go na podstawie dowolnego przedmiotu, musielibyśmy wprawdzie wyabstrahować zeń jego wszelkie własności, wszystko, co go określa, nawet jego tożsamość. Nie ma znaczenia, czy analizie poddamy krzesło, czy może kota, gdyż w obu przypadkach to, co pozostanie po redukcji cech i tożsamości, będzie już tylko bytem jako takim. Zakwestionował to Georg Wilhelm Hegel, który powiedział wprost, iż skutek operacji myślowej – polegającej na pozbawianiu danej rzeczy jej wszelkich określników, a wreszcie jej tożsamości – nic nie pozostanie. Na tej podstawie Hegel wysuwa kardynalny wniosek: byt nie różni się niczym od niebytu, a w konsekwencji prawda niczym nie różni się od fałszu, dobro od zła, zaś piękno od brzydoty. Stąd już prosta droga do relatywizmu i młodohęglizmu (nazywanego lewicą postheglowską, której głównymi przedstawicielami są Ludwig Feuerbach, Max Stirner i Karol Marks).

Początek inżynierii społecznej

Jest jeszcze drugie źródło dzisiejszej wojny kulturowej, wiążące poprzez tzw. szkołę frankfurcką, z jej ideą teorii krytycznej na czele. Fundamentalnym założeniem tej teorii jest zmienność własności. Płyne stąd wniosek, że każda rzecz może podlegać różnej ocenie, w zależności od aktualnego kontekstu. Odnosząc to do kwestii społecznych, przedstawiciele szkoły frankfurckiej, głównie Max Horkheimer, doszli ostatecznie do przekonania, że fakty nie posiadają stałych cech, w tym moralnych, a jedynie pewien kontekst społeczny. Kontekst ten jest zaś niemożliwy do zrozumienia na podstawie badań jednokierunkowych i wymaga multidyscyplinarności. Podobny wniosek płynie z założeń tzw. dialektyki negatywnej – koncepcji wypracowanej przez Theodora Adorno, bliskiego przyjaciela i współpracownika Horkheimera. Zgodnie z tą koncepcją nie jest możliwe uzyskanie syntezy – heglowska i fichteńska triada teza-antyteza-synteza została tu zastąpiona przez wysoce konfliktową relację tezy i antytezy. Ów pesymistyczny wniosek, jakoby nigdy nie można było dotrzeć do syntezy, odbiera zaś nadzieję na porozumienie. Ostatecznie szkoła frankfurcka wprowadziła przekonanie o relatywnym wymiarze własności nie tylko w odniesieniu do poszczególnych rzeczy, ale również tworzących na ich podstawie faktów.

Relatywny ten, który w przypadku lewicy postheglowskiej można by nazwać relatywizmem jednostkowym, zaś w przy-

padku szkoły frankfurckiej relatywizmem uniwersalnym, łączy próbą przewyższenia wspomnianej już wcześniej klasycznej teorii prawdy. Ten sposób rozumienia rzeczywistości znalazł grunt w filozofii materialistycznej, kiedy to uznano, że skoro wszystko jest relatywne, to jednocześnie wszystko podlega jedynie jednostkowej ocenie. Nie ma prawd uniwersalnych. Nic nie jest dane raz na zawsze.

Równolegle trwał proces wdzierania się materializmu na pole zarezerwowane dotychczas dla metafizyki. W efekcie tego dekonstrukcji uległy definicje pojęć stricte idealistycznych, np. pojęcie państwa, które zastąpiono definicją fizykalistyczną. Wedle niej państwo to po prostu fizyczny ogół jego obywateli. Co więcej, obywatelstwo, niczym twór atomowy, wyklucza podzielność: można wszak mieć dwa obywatelstwa, ale nie obywatelstwo częściowe. Stąd pomysł, by wszystko, co istnieje, przepisać na język naturalistyczny, w którym człowiek jest atomem, a wszystkie jego zjawiska, w tym mentalne, pochodzą wprost z fizyki. Jest to faktyczny początek inżynierii społecznej.

Prawda o wojnie kulturowej

Oprócz oczywistego aspektu aksjologicznego wojna kulturowa posiada więc również wymiar ontologiczny. Nie tylko określa, co jest wartością, a co antywartością, czy też jak rozumieć dobro i zło – równie istotna jest tu próba określenia, kim jesteś. Wiąże się to z niezwykle wysokim poziomem ocenności uczestników tej wojny, jak i skłonnością do stereotypizowania danego światopoglądu. Wojna kulturowa przemocą utożsamia człowieka z jakąś postawą. Tym samym poparcie tej czy innej partii politycznej pociąga za sobą natychmiastowe „zaszklawianie”. W konsekwencji, obok kompetencji naukowych, istotna staje się tożsamość światopoglądowa czy polityczna. Profesjonalizm ustępuje tu miejsca dyletanctwu, co maskowane jest widocznym zaangażowaniem w wojnę kulturową.

Jaka jest więc prawda o dzisiejszej wojnie kulturowej? Czy prócz destrukcyjnego charakteru posiada ona również pewien potencjał twórczy? Czy jest czasem granicznym, wymagającym bezwzględного opowiedzenia się po jednej ze stron? Czy przyczynia się do ustalenia obiektywnej prawdy o człowieku, czy bada jego kondycję moralną? Czy wreszcie jest to walka o nową tożsamość, o nowe wartości i ideały?

Dziś trudno odpowiedzieć jednoznacznie na większość powyższych pytań. Wojna kulturowa jest bowiem dynamicznym procesem, który stale przybiera nową formę. Zmienia się jej oblicze, zmieniają się też jej środki oraz cele. Dziś ma także zupełnie inną postać w porównaniu np. do rewolty studenckiej z roku 1968. Co więcej, zmieniają się jej uczestnicy, zmieniają się autorytety – wszak koncepcje Maxa Horkheimera, Jeana-Paula Sartre’a czy Herberta Marcusego zostały zmodyfikowane i dostosowane do realiów XXI wieku. Część elementów tej wojny pozostała jednak nienaruszona, szczególnie jej totalitarność i predylekcja do polaryzowania społeczeństwa. Biorąc zaś pod uwagę dotychczasowe skutki wojny kulturowej, można z całym przekonaniem stwierdzić, że jest to zjawisko destrukcyjne. Nie tylko nie przyczynia się do rozwoju nauki, lecz w niektórych przypadkach odpowiada za jej regres. W nauce nie może być bowiem miejsca na podziały ani na polityczną poprawność. W tej kwestii najbliższe jej do stanowiska Arystotelesa – cel nauki powinien być upatrywany w opisie i wyjaśnianiu świata, nie zaś w jego interpretacji i ocenie.

Mgr Adam Skowron, filozof, Centrum Medyczne Kształcenia Podyplomowego w Warszawie

Dr hab. Janusz Sytnik-Czetwertyński, prof. UKW, filozof, Instytut Filozofii Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy

Kulturkampf na polskim uniwersytecie

Jeśli wojna – to i ofiary. Ktoś inny odpowie: Jeśli ofiary – to i sprawcy. A atmosfera uniwersytecka gęstnieje, zwłaszcza na niektórych uczelniach i wydziałach, wśród których przodują wydziały prawa. Trudno, by odbyła się tam rada wydziału bez nowej politycznej czy ideologicznej uchwały.

Na zadane przez redakcję „Forum Akademickiego” pytanie: „Czy polskim uniwersytetom potrzebna jest wojna kulturowa?” odpowiedź narzuca się sama niemal automatycznie. Żadna wojna, w tym kulturowa, nie jest potrzebna uniwersytetom i to jakimkolwiek, nie tylko polskim. Żadna wojna nie jest bowiem potrzebna nikomu, choć zawsze znajdzie się ktoś, komu wydaje się, że jest ona potrzebna właśnie jemu i uparcie, zwykle z sukcesem, do niej dąży. Każda wojna ma przy tym to do siebie, że łatwiej ją wywołać niż zakończyć.

Spór jest wpisany w istotę uniwersytetu. Wojna jest zaprzeczeniem tej istoty. Spór uniwersytecki ma cel, ten sam dla wszystkich jego uczestników. To dyskusja o tym, gdzie leży prawda, kto jest bliższy jej odkrycia w danej dziedzinie, przy rozwiązywaniu konkretnego problemu badawczego. W tym sensie wszyscy uczestnicy tego sporu reprezentują tę samą stronę – stronę poszukiwaczy prawdy, zza której wyłania się i dobro, i piękno, które można napisać też wielkimi literami, choć taka pisownia stanowić może wdzięczne pole do kolejnego sporu uniwersyteckiego. Spory wygrywa się słowem, wojny – pięścią.

Ten, kto na uniwersytecie używał wobec swego adwersarza pięści zamiast słowa, czasami wygrywał wojnę, lecz nigdy nie akademicki spór. Mógł zniszczyć przeciwnika, ale nie przekonać do swych racji, o ile takie w ogóle miał. Pięść może mieć zresztą także pozór słowa. Jeśli profesor zwyczajny zacznie określać swego adwersarza z uniwersytetu mianem „kanalii”, „zera”, „miernoty” czy innej „świni” (przytoczone słownictwo nie ma charakteru abstrakcyjnego przykładu), to „profesor” z niego niejako automatycznie ulatuje. Pozostaje jedynie „zwyczajny”... Zdrowe środowisko akademickie dawniej jednoznacznie oceniało taką jednostkę, której ring bokserski pomylił się z debatą oksfordzką, i odsyłało go do narożnika.

Zdobycie uniwersytetu

Czy tak się jednak będzie działo, gdy wojna przetacza się wszędzie wokół uniwersytetu i gdy jest to wojna totalna, nie tylko kulturowa czy polityczna, lecz już wręcz cywilizacyjna? Żyjemy przecież w czasie trwającej wojny, czę-

ściowo nawet wypowiedzianej („To jest wojna”), choć nietypowej, nieznannej wcześniej wojny hybrydowej. Dla niej uniwersytet nie jest samotną wyspą otoczoną falochronem autonomii oddzielającym ją od wojującego świata, ale bardzo ważnym punktem strategicznym, który trzeba zdobyć wszelkimi metodami w rewolucyjnym marszu przez instytucje. To dlatego niedawne żądanie otwarcia bram jednego z warszawskich uniwersytetów dla szarpiących się z policją na ulicy zadymiarzy stało się symbolem dążeń tego środowiska. Zdobycie uniwersytetu, podporządkowanie go swoim celom, wprzęgnięcie w maszynę totalnej politycznej wojny domowej i totalnej światowej wojny cywilizacyjnej, wykorzystanie jako nowej kuźni kadr niosących dalej rewolucyjny ogień pałacy stare „konserwatywne” porządku i obyczaje, normy etyczne i obyczajowe – oto cel taktyczny, podporządkowany celom strategicznym. W tej optyce uniwersytet ze sprawczego podmiotu świata myśli staje się jedynie jednym z przedmiotów w walce podczas wojny. Tak było w analogicznych czasach poprzednich rewolucji – francuskiej i bolszewickiej.

„Cywilizacja to metoda życia zbiorowego” – pisał przed laty polski uczony Feliks Koneczny. Życie zbiorowe zakłada istnienie jakiejś wspólnej metody bycia ze sobą, współistnienia, a zatem i pewnego minimum wspólnych wartości, zasad, norm. Zniszczenie tego, co do niedawna wydawało się wspólne, oznacza właśnie zniszczenie cywilizacji, w której funkcjonowaliśmy od setek lat na rzecz czegoś nowego, co dla niektórych wydaje się światłem Jutrzenki, dla innych gromem z jasnego nieba, który niesie ze sobą jedynie zniszczenie. Dziś świat wartości stał się dramatycznie rozdarty. Nie da się znaleźć wspólnego mianownika np. dla jednej idei praw człowieka, skoro wyraża się ją jednocześnie w twierdzeniu o prawie każdego człowieka do życia i prawie każdej kobiety do aborcji. Żyjemy rzeczywiście w czasie „zderzenia cywilizacji”, tyle że wcale nie „zachodniej” z „muzułmańską”, jak chciał to widzieć autor tego określenia, ale już raczej „cywilizacji życia” z „cywilizacją śmierci”, jak to określił profesor Karol Wojtyła.

Zły pieniąż wypiera dobry

Chodzi przy tym nie tylko o kwestie zasadnicze. Spory można bowiem prowadzić bez widoków na ich rozstrzygnięcie czy sformułowanie wspólnego stanowiska. Ważne jest także, jak się je prowadzi, bo „styl to człowiek”. A styl człowieka uniwersytetu, czy to profesora, czy studenta, rzutować będzie na całą instytucję, która od wieków należała do najbardziej szanowanych, bo i była jedną z najbardziej szacownych. Cóż się z nią dzieje? Zapewne to samo, co ze wszystkimi innymi „kotwicami” naszego życia społecznego, funkcjami i zawodami zaufania publicznego. Nasz rodzimy uniwersytecki uczoney odpowiada na to pytanie prawem, nazwanym potem od jego imienia, które lakonicznie stwierdza: „Zły pieniąż wypiera dobry”.

Dziś polski uniwersytet podąża złą drogą wielu zachodnich uczelni, które – zwłaszcza w dziedzinie nauk humanistycznych – prawdę i swobodną dyskusję o niej wołały podporządkować płynącym z zewnątrz dyktatom, z dyktatem (wymślanej, ale przecież praktykowanej) tzw. poprawności politycznej na czele. Zamiast być tym, kim powinien być, w myśl złożonej przysięgi doktorskiej, polski profesor coraz częściej woli się „nie wychylać”, nie oponować wobec kolejnych akcji coraz lepiej zorganizowanych grup polityczno-ideologicznych komandosów obierających za cel kolejne, odosobnione, niepokorne jednostki społeczności akademickiej, które dokonały własnych wyborów na swej życiowej drodze. Metoda: „zlokalizować, wyalienować, osaczyć, zaszczyć, zniszczyć” okazuje się działać skutecznie nie tylko wobec wytypowanych przedstawicieli społeczności akademickiej, którzy uznani zostali za wrogów politycznych lub ideologicznych, ale poprzez swoisty „efekt mrożący” także wobec innych. I o to właśnie chodzi. Niejedno mieliby do powiedzenia na ten temat tacy uniwersyteccy profesorowie jak przedsta-

wiciele nauk prawnych: Lech Morawski, Henryk Cioch, Bogusław Banaszak czy Grzegorz Jędrejek. Niestety, nic już nam nie opowiedzą o tym, jak w zorganizowany sposób ich łżono, publicznie obrażano, a nawet zakłócano przebieg jubileuszu czterdziestolecia pracy naukowej (co spotkało profesora Banaszaka na krótko przed śmiercią na zawał serca). Ktoś powie: Jeśli wojna – to i ofiary. Ktoś inny odpowie: Jeśli ofiary – to i sprawy. A atmosfera uniwersytecka gęstnieje, zwłaszcza na niektórych uczelniach i niektórych wydziałach, wśród których przodują wydziały prawa. Trudno, by odbyła się tam rada wydziału bez nowej politycznej czy ideologicznej uchwały, stanowiska czy oświadczenia, w którym (zwykle ta sama) grupa aktywistów „w trosce” o coś uważa za swój obowiązek kogoś zaatakować i potępić, by następnego dnia mogła o tym napisać określona gazeta. Przypomina to coraz bardziej działalność polityków w Sejmie, co nie dziwi, zważywszy, że część aktywistów uniwersyteckich jest działaczami politycznymi lub partyjnymi i przymierza się do kariery stricte politycznej, o czym świadczy ich kandydowanie (nie zawsze z powodzeniem) w wyborach.

A reszta? Ma nadzieję, że to minie samo, jak dziecięca choroba; że znów będzie można spokojnie zajmować się nauką, bez wikłania się w parapolityczne awantury, a tymczasem lepiej się nie wychylać, bo można samemu zostać zaatakowanym, a przynajmniej stracić intratny grant czy nie załatwić sprawy ważnej dla swojej kariery uczelnianej.

Uniwersytecki „lud” z pewnością nie pragnie wojny na uniwersytecie, ale nie jest też zdolny jej zatrzymać. Niczego dobrego nam to nie wróży.

Dr hab. Jan Majchrowski, prof. UW, prawnik i politolog, Katedra Filozofii Prawa i Nauki o Państwie Uniwersytetu Warszawskiego



Uniwersytet i spór o mądrość

Specyfika współczesnej kultury w aspekcie uprzywilejowanego w niej rozumienia siebie oraz nawiązywanych przez człowieka relacji przekłada się również na naturę uniwersyteckich sporów o to co dobre, czyli o mądrość. Bazą pojęciową dla nich stają się kategorie wolności czy jednostkowych uprawnień, natomiast marginalizowane są treści kryjące się za takimi terminami jak powinność, odpowiedzialność, rezygnacja, umiar.

W ideę uniwersytetu wpisane jest dążenie do prawdy – dążenie leżące u podstaw ludzkiej aktywności dużo wcześniej zanim pierwsze uniwersytety pojawiły się na mapie świata. W owym dążeniu warto wyróżnić jednak dwa etapy: najpierw zdobywania wiedzy, a następnie poszukiwania mądrości. Mimo że niekiedy próbuje się sprowadzać mądrość do wiedzy jako poznania w sposób pełny i trwały, to – jak przekonuje Jacques Maritain w swoim studium na temat relacji między nauką i mądrością – trudno nie dostrzec różnicy między tymi dwoma rodzajami poznania. Szczególnie łatwo ją uchwycić, śledząc historię myśli starożytnej, określanej przez Maritaina jako rywalizacja mądrości. W konkluzji z przeprowadzonych analiz francuski filozof stwierdza: „Starożytność jednak ani przez chwilę nie myślała, że wiedza, że nauki szczegółowe mogłyby pretendować do przewagi nad mądrością i wchodzić z nią w konflikt” (*Nauka i mądrość*). Nie chodzi tu oczywiście o przeciwstawianie wiedzy i mądrości, ale o stwierdzenie, że mądrość zakłada wiedzę, ale wiedza nie wyczerpuje mądrości. Można posiadać wiedzę i wciąż stać pod bramą królestwa mądrości.

Dostrzegalne w przestrzeni publicznej zarówno spór o to, jaki kształt ma zostać nadany współczesnej rzeczywistości społeczno-kulturowej, jak i polaryzacja stanowisk w obrębie owego sporu, określane niekiedy wojną kulturową, coraz mocniej obecne są również w murach uniwersytetów. Przeniesienie niniejszego sporu na poziom akademicki jest z dwóch względów zrozumiałe. Po pierwsze, dotyczy on tego, jak porządkować coraz większą wiedzę, by stała się fundamentem mądrości, także tej praktycznej, czyli roztropności, znajdującej wyraz w podejmowanych na co dzień decyzjach. Uniwersytet nie może ignorować tego zadania. Po drugie, członkowie społeczności akademickiej, mimo że zajmują się zdobywaniem i porządkowaniem wiedzy, co jest źródłem ich prestiżu, nie posiadają monopolu na mądrość. Innymi słowy – odnosząc się do analiz Józefa Marii Bocheńskiego – posia-



rys. Sławomir Mękal

dają wiedzę i w konsekwencji autorytet w dyscyplinie, którą się zajmują, ale nie należy stąd wyprowadzać wniosku, że ich wiedza ujmuje całość rzeczywistości, a tym samym nie posiadają umiejętności uporządkowania w spójną całość wiedzy różnych dyscyplin. Stwierdzenie to nie jest próbą obniżenia prestiżu akademików, tylko właściwego pozycjonowania ich kompetencji, niekiedy – zwłaszcza w potocznych sądach – przecenianych. Uniwersytet zawsze więc pozostanie przestrzenią poszukiwań i sporu.

Bardziej zastanawiająca niż sam spór jest polaryzacja stanowisk w jego obrębie. Polaryzacja stanowisk, która w odniesieniu do poszczególnych uczestników sporu przekłada się na lokowanie własnych poglądów po którejś ze stron barykady, zawsze rodzi niebezpieczeństwo zagubienia prawdy na rzecz wybranej opcji światopoglądowej, czyli niebezpieczeństwo hołdowania ideologii, bez względu na to, czy jest to ideologia religijna, czy ateistyczna, konserwatywna czy liberalna. Czy z takim zjawiskiem mamy do czynienia współcześnie na uniwersytetach? A jeżeli tak, to jakie są jego uwarunkowania? Aby odpowiedzieć na te pytania, warto jednak uwolnić się od balastu terminu „wojna kulturowa” i z dystansu spojrzeć na współczesne spory.

Uniwersytet i kryzys duchowości

Pierre Hadot, charakteryzując filozofię starożytną, wysuwa tezę, że należy ją rozumieć jako ćwiczenie duchowe. Owo ćwiczenie jest rozumiane przez autora jako „równoważne przekształcaniu świata i metamorfozie osobowości. Słowo

«duchowy» pozwala je pojmować jako dzieło nie tylko myśli, lecz także całej psychiki jednostki, a nade wszystko ukazuje właściwe wymiary tych ćwiczeń; dzięki nim jednostka zostaje wzniesiona do życia Ducha obiektywnego, czyli przenosi się w wymiar Całości”. W filozofii starożytnej nie chodzi zatem o zdobycie wiedzy dotyczącej wąskiego aspektu rzeczywistości, ale o uczenie się sztuki życia, o konwersję „ze stanu życia nieautentycznego, przyćmionego nieświadomością, nękanego troską, do stanu życia autentycznego, w którym człowiek osiąga samoświadomość, precyzuje widzenie świata, wewnętrzny spokój i wolność” (*Ćwiczenia duchowe i filozofia starożytna*).

Przyglądając się współczesnym uniwersytetom, nietrudno dostrzec, że poszukiwanie duchowej harmonii znalazło się na marginesie zainteresowań jednostek tworzących tę rzeczywistość. Alan Bloom w pracy opublikowanej w Polsce pod tytułem *Umysł zamknięty* zdiagnozował to zjawisko w odniesieniu do amerykańskich uniwersytetów lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Przyglądając się kształceniu uniwersyteckiemu na przestrzeni lat swojej pracy akademickiej, doszedł do wniosku, że wszechstronna edukacja, odnosząca się do wszystkich aspektów życia osobistego i społecznego jednostki i czyniąca z absolwenta uniwersytetu elitę społeczną, zastąpiona została kształceniem zawodowym w wąskim obszarze wiedzy; kształceniem pozwalającym wprawdzie na skuteczne funkcjonowanie na rynku pracy, ale nieprzygotowującym do analizy problemów społeczno-kulturowych na poziomie dużo wyższym niż w przypadku osób niepodlegających edukacji akademickiej. Stwierdzenie to jest równoznaczne ze wskazaniem, że studia przestały być czynnikiem kształtującym duchowość jednostki.

Podobne tezy wysuwane są od dłuższego czasu – najpierw w odniesieniu do edukacji szkolnej, a następnie edukacji akademickiej w Polsce – podczas kolejnych zjazdów Polskiego Towarzystwa Pedagogicznego. W ramach podejmowanych tam dyskusji dostrzega się konsekwencje zdominowania myśli wychowawczej przez dyskurs neoliberalny, podporządkowujący edukację interesom sfery społeczno-gospodarczej. Diagnozują te procesy chociażby Eugenia Potulicka czy Tadeusz Ślawek. Granica między kształceniem ogólnym i przygotowaniem zawodowym jest cały czas coraz bardziej przesuwana na niekorzyść tego pierwszego. Myśl historyczna, filozoficzna i przedmioty wprowadzające w teorię danej dyscypliny są redukowane na rzecz zapoznania z wiedzą proceduralną, umożliwiającą funkcjonowanie w roli eksperta w sferze społeczno-gospodarczej. W konsekwencji, mimo że współczesny student dysponuje coraz bardziej szczegółową wiedzą, na drogę ćwiczeń duchowych wkraczać nie próbuje – nie próbuje pytać o mądrość, która wyłonić może się w zmundnej refleksji nad pytaniami na pierwszy rzut oka nieistotnymi. Punkty orientacyjne w jego życiu wyznaczone są przez kilka kluczowych kategorii, których pogłębione rozumienia w gruncie rzeczy nie posiada.

Jakie znaczenie ma występowanie zasygnalizowanych tutaj procesów dla kształtowania przebiegu toczonych w uniwersytecie sporów o kształt sfery społeczno-kulturowej, a więc sporów o mądrość w tym obszarze? Nieprzygotowanie studentów do uczestnictwa w wyrafinowanej dyspacie, w której chodzi o odsłanianie kolejnych perspektyw, by coraz pełniej widzieć otaczającą człowieka rzeczywistość, a uzyskaną wiedzę wykorzystać do formowania własnej duchowości, prowadzi do postrzegania owych dysput jako bezsensownych.



Zamiast sporu na argumenty, dyskusji, w które zaangażowani są przedstawiciele różnych stanowisk, prób zrozumienia i podważenia założeń i argumentacji przeciwnika, bardziej skuteczne wydaje się „przekonywanie” słuchacza za pomocą prostych komunikatów, odwołujących się do powszechnie cenionych kategorii, takich jak wolność, prawa (interpretowane w kluczu indywidualistycznym, a więc nie jako źródło powinności wobec innego człowieka), przy okazji dyskredytując przeciwnika, przypisując mu fundamentalizm czy brak tolerancji. O wielu ważnych sprawach obecnie się nie dyskutuje, co nie znaczy, że na ich temat nie istnieje żaden przekaz – jawny lub ukryty.

Uniwersytet i piramida potrzeb

Próbując zrozumieć procesy zachodzące we współczesnym uniwersytecie, warto zwrócić także uwagę na kierunek przemian sposobu układania przez dzisiejszego człowieka relacji z innymi ludźmi. Indywidualizm, o którym tak głośno, nie implikuje nienawiązywania kontaktów i niebudowania relacji, ale oznacza budowanie specyficznych relacji, dla których fundamentem jest interes wchodzących w nie jednostek. Moralność tego typu relacji, w których drugi człowiek jest de facto traktowany jako środek do zaspokojenia własnych potrzeb, ma zostać zagwarantowana dzięki, po pierwsze, przyzwoleniu owego człowieka na takie traktowanie, a po drugie dzięki respektowaniu zasady wzajemności. Tworzone w ten sposób relacje, opisywane przez Andrzeja Szahaja jako wspólnotowość konstruktywistyczna, posiadają przygodny charakter – tworzące je jednostki zakładają, że ich formuła może zostać w jakiejś perspektywie czasowej wyczerpana. W gruncie rzeczy nie biorą odpowiedzialności za drugiego człowieka, starają się czerpać z „tu” i „teraz” jak najwięcej dobra dla siebie, ofiarowując – na zasadzie wzajemności – także drugiej stronie relacji coś od siebie.

Kluczowa dla procesów zachodzących we współczesnym uniwersytecie jest kategoria warunkująca sposób postrzegania relacji międzyludzkich przez pokolenie tworzące społeczność uniwersytecką – kategoria potrzeb, z którą dojrzewający człowiek styka się na praktycznie każdym etapie edukacji. Nawet jeżeli zadaniem teorii hierarchii potrzeb, przedstawianej w formie piramidy, w zamysłu jej autora Abrahama Maslowa, nie jest tłumaczenie wszystkich decyzji podejmowanych przez jednostkę, to niewątpliwie w potocznym odbiorze owa teoria urasta do roli klucza interpretacyjnego dla funkcjonowania ludzkiej psychiki. W gruncie rzeczy jest to kategoria egoistyczna, która nawet dbanie o dobro innego człowieka (choćby własnego dziecka) postrzega jako potrzebę, np. potrzebę samorealizacji. Interpretując rzeczywistość, jak również własne w niej miejsce i rolę do odegrania z wykorzystaniem kategorii potrzeb, jednostka przyjmuje w odniesieniu do tej rzeczywistości postawę biorcy i w konsekwencji tak pragnie ową rzeczywistość zorganizować, aby możliwe było jak najpełniejsze owoych potrzeb zaspokojenie. Ograniczenia tych możliwości są z kolei rozumiane jako zagrożenia dla własnego rozwoju i szczęścia.

W myślenie młodego człowieka, uporządkowane według klucza potrzeb, trudno wpleść takie pojęcia jak „powinność” czy „odpowiedzialność”. Jacek Woroniecki, formułując swoją etykę wychowawczą, wiele miejsca poświęcił sprawiedliwości, w tym jednemu z jej rodzajów – sprawiedliwości współdzielczej. Punktem odniesienia dla niej jest dobro doświadczane przez danego człowieka ze strony grupy społecznej, której jest członkiem – dobro, z którego skorzystanie staje się źródłem powinności działania na rzecz dobra owej grupy. Typowym przykładem sprawiedliwości współdzielczej jest praca

na rzecz tej grupy społecznej, która wcześniej zadbała o utrzymanie i wychowanie danej jednostki, a także złożyła się na jej wykształcenie. Interesujące jest niezrozumienie idei sprawiedliwości współdzielczej, ujawniające się w tym, że edukacja, aż do szkoły wyższej, traktowana jest jednostronnie – jako przedmiot uprawnienia, natomiast niedostrzegalnym jest jej drugi aspekt, zgodny z którym edukacja jest źródłem moralnej powinności w odniesieniu do tych ludzi, którzy ową edukację sfinansowali.

Margaret Scotford Archer, socjolog rozwijająca teorię morfogenezy, w swoich analizach wykorzystuje interesującą i nieobciążoną takim ładunkiem egoizmu kategorię troski. Wskazuje tym samym, że nie wszystkie działania konkretnego człowieka uwarunkowane są zaspokajaniem własnych potrzeb. Bywają przecież decyzje trudne, w ramach których jednostka rezygnuje z własnego dobra, ponieważ w jej przestrzeni życiowej znajdują się osoby, o których dobro jest zatroskana – najbliższe: rodzice, współmałżonkowie, dzieci, ale i dalsze, nawet nieznanome, których przypadkowe spotkanie zaowocowało – dzięki odkryciu ich słabości i bezbronności – poczuciem powinności zadbania o ich dobro.

Na fundamentie kategorii troski zupełnie inaczej niż na bazie kategorii potrzeby można rozwinąć temat powołania. O ile w odwołaniu do potrzeb powołanie będzie rozumiane jako rodzaj osobistego pragnienia, z którym łączona jest samorealizacja, to kategoria troski wyznacza bardziej obiektywne rozumienie powołania. W tym drugim przypadku powołanie jest wypadkową z jednej strony losu, przypadkowych spotkań, życia w konkretnym miejscu i konkretnym czasie, a z drugiej strony podjęcia wyzwania, jakie rodzą się w tych konkretnych okolicznościach, zgody na zmaganie się z tym, co w otaczającym jednostkę świecie niedoskonałe i możliwe do poprawy. Odwołanie się do kategorii potrzeb sprawia, że studia stają się środkiem na drodze kariery zawodowej i fundamentem osobistego sukcesu, nie są jednak rozumiane jako etap na drodze życiowego powołania, którego istotą jest uczestnictwo w dążeniu do dobra wspólnego i którego źródłem jest troska o dobro otaczających danego człowieka osób.

Specyfika współczesnej kultury w aspekcie uprzywilejowanego w niej rozumienia siebie oraz nawiązywanych przez człowieka relacji przekłada się również na naturę uniwersyteckich sporów o to co dobre, czyli o mądrość. Bazą pojęciową dla nich stają się kategorie wolności czy jednostkowych uprawnień, natomiast marginalizowane są treści kryjące się za takimi terminami jak powinność, odpowiedzialność, rezygnacja, umiar. Ich dowartościowanie oznaczałoby w gruncie rzeczy przyznanie, że poszukując mądrości, należy pytać o rozwiązania trudne, w pierwszym momencie niezrozumiałe, wymagające poświęceń, nieprzynoszące popularności.

Jak w przyszłości wyglądać będą uniwersyteckie spory o mądrość? W jakiej formie będą się toczyły? Czy reprezentanci różnych stanowisk siądą do wspólnego stołu i podejmą próbę rozumienia tego, co nie da się sprowadzić do prostych kategorii wypisywanych na plakatach i zamieszczanych w awatarach? Trudno przewidzieć. Rzeczywistość rządzi się jednak swoimi prawami, a poszukiwanie mądrości ma na celu nabycie umiejętności takiego obchodzenia się z nią, aby osiągnąć szczęście. Próba ignorowania wymagań, jakie mądrość stawia swoim adeptom, zamiast szczęścia może przynieść rozczarowanie.

Dr hab. Jarosław Horowski, prof. UMK, Katedra Teorii Wychowania, Instytut Nauk Pedagogicznych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu

Grażyna Halkiewicz-Sojak

Wojna kulturowa a destrukcja uniwersyteckiej polonistyki

Dorobek badawczy środowiska polonistycznego od strony zestawień bibliograficznych wygląda całkiem dobrze. Pojawiło się sporo wartościowych monografii, do łask wróciło badanie źródeł, edytorstwo naukowe i krytyka genetyczna, zakończyły się lub trwają prace nad pełnymi edycjami krytycznymi pisarzy z historycznoliterackiego kanonu. Z drugiej jednak strony istnieją tematy „grantonośne”, które mają zdjąć z polonistyki odium dyscypliny etnocentrycznej. Za pomocą imitacji modnych metodologii, np. radykalnej krytyki feministycznej, lustruje się zgodność poglądów dawnych pisarzy z założeniami poprawności politycznej.

Pojęcie wojny kulturowej wprowadził do debaty publicznej amerykański socjolog James Davison Hunter w książce *Culture Wars: The Struggle to Define America* (New York 1991). Za historyczny model takiej „wojny” uznał niemiecki projekt Kulturkampfu, przygotowany przez kanclerza Otto von Bismarcka i realizowany pod jego auspicjami w ostatnich dekadach XIX wieku. Polem walki w państwie pruskim była przede wszystkim edukacja i gospodarka, ale konflikt bardzo szybko przerodził się w starcie kulturowe i religijne protestantów z katolikami oraz w spór o zasady moralne, które powinny regulować życie społeczne. To wtedy rodził się niemiecki model autorytarnego państwa prawa. Hunter, przywołując ten fragment europejskiej historii, nie odnosi się do polskiego kontekstu. Chodzi mu bowiem jedynie o wskazanie wyjściowego modelu współczesnej wojny kulturowej, przypomnienie jego struktury i dynamiki jako tła dla analizy współczesnego konfliktu w Stanach Zjednoczonych.

Nie znaczący to jednak, że nie powinniśmy o tym okresie pamiętać w Polsce. Tymczasem jest to temat konsekwentnie wypierany ze świadomości zbiorowej. Z lektur szkolnych i uniwersyteckich zniknęły takie pozycje, jak *Placówka* Bolesława Prusa, nowela Henryka Sienkiewicza *Z pamiętnika polskiego nauczyciela* czy wiersz Marii Konopnickiej o buncie szkolnym we Wrześni, a nawet *Stara baśń* Józefa I. Krąszewskiego. W kanonicznych tekstach literackich, które są jeszcze w żywym obiegu, ślad tamtego zmagania o polskość wybrzmiewa jeszcze w *Rocie* Konopnickiej, ale bez historycznego kontekstu staje się coraz mniej czytelny. Nawet świetny serial sprzed lat czterdziestu, *Najdłuższa wojna nowoczesnej*

Europy (reż. Jerzy Sztwiertna; scenariusz: Stefan Bratkowski), nie doczekał się przypomnienia w programach głównych kanałów telewizyjnych. A szkoda, bo po pierwsze, tamta zamierzona wojna kulturowa była nie tylko konfliktem wewnętrznonieemieckim, lecz także projektem germanizacji zaboru pruskiego i walką z polskością na różnych polach: kulturowym, religijnym, ekonomicznym. Po drugie – antykatolickie i antypolskie argumenty, które wtedy padały, przypominają te stosowane we współczesnych polemikach.

Czy, idąc tropem Huntera, należy w czasach Bismarcka upatrywać początku wojen kulturowych w naszym kręgu cywilizacyjnym? Niekoniecznie. Na pytanie, kiedy się one zaczęły, nie sposób udzielić jednoznacznej odpowiedzi; każdy ich wariant będzie uzależniony od tego, jaką perspektywę chronologiczną przyjmujemy. Jeżeli najszerzą, to trzeba uznać, że początkiem konfliktów było odejście od teocentrycznego obrazu świata i początek zmian prowadzących do dominacji antropocentryzmu. Jeżeli natomiast interesuje nas ostatnia odsłona tej wojny, to jej początku należy upatrywać w rewolucję obyczajową i kulturową w Europie Zachodniej i Ameryce Północnej z końca lat sześćdziesiątych XX wieku. Istnieje pewien związek między obydwoma perspektywami, więc przyjrzyć się najpierw kilku aspektom tej rozleglejszej.

Własne miejsce i poczucie tożsamości

Pierwsze znaki wojny kulturowej można odnaleźć w okresie renesansu, a wyraźnym tego symptomem jest uwolnienie polityczności od kryterium moralnego, mocno zmanifestowane w *Księżciu* Nicolo Machiavellego (*Il Principe* 1513; wyd. 1532)

– syntetycznie ujęte w maksymie: „cel uświęca środki”. Jeszcze przez ponad dwa stulecia od tamtego czasu obydwa obrazy świata współistniały. Starcie reformacji z kontrreformacją nie przesądziło o zwycięstwie którejkolwiek ze stron. Dopiero schyłek oświecenia, francuska rewolucja 1789 roku i to, co nadeszło po niej – terror, ludobójstwo w Wandei, opanowanie porewolucyjnego chaosu przez Napoleona Bonaparte oraz jego rządy, nowy kodeks i podboje – zmieniło sytuację polityczną i kulturową. Zdetronizowano Boga, uznając, że to człowiek jest panem historii, kreatorem praw i zasad moralnych, a umowy społeczne zapewnią lepszy ład świata niż model christianitas. Wiek XIX był wielostronną reakcją na ten stan rzeczy i zaczął się od anty-oświeceniowego zwrotu w kulturze europejskiej. Wrażliwym seismografem wstrząsów i zmian jest literatura. Spójrzmy pobieżnie na wojnę kulturową z kształtowanego przez nią punktu widzenia.

Szeroko rozumiana kultura europejska, której ważny nurt stanowi literatura i filozofia, wyrosła z mądrości izraelskiej, rzymskiej, greckiej i chrześcijańskiej, a jej aksjologiczną ramę długo wyznaczały dwie triady: platońskich transcendentaliów (Piękno, Dobro, Prawda) oraz chrześcijańskich cnót teologicznych (Wiara, Nadzieja, Miłość). Wprawdzie poszczególne wartości bywały w różnych okresach rozmaicie rozumiane, niekiedy kontestowane i w każdym czasie naruszane, ale wyznaczana przez nie podstawa aksjologiczna długo stanowiła mocny fundament teocentrycznego obrazu świata i chrześcijańskiej antropologii. Literatura dawała temu wyraz: w *Boskiej komedii* Dantego – syntezie średniowiecznej wizji zaświatów, w łacińskiej poezji średniowiecza i w kształtujących się literaturach narodowych (w średniowiecznych misteriach i moralitetach, w dramatach Pedra Calderona, w XVII-wiecznej barokowej poezji mistycznej – hiszpańskiej, angielskiej, polskiej...). Człowiek miał tutaj swoje ustalone miejsce w łańcuchu bytów i w hierarchii społecznej, co ograniczało jego indywidualne wybory, ale zapewniało stabilne poczucie tożsamości. Rozpoznawał siebie jako dwoiste cielesno-duchowe istnienie z wyraźnym prymatem duchowości.

Od czasów renesansu obraz ten stopniowo ulegał erozji i został zastąpiony perspektywą antropocentryczną (C.S. Lewis, *Odrzucony obraz*, polska edycja 1986), powiązaną z ideą postępu i wiarą w nieograniczone możliwości rozumu, które pozwolą w przyszłości wyeliminować lub znacznie osłabić wszelkie odmiany cierpienia i poszerzyć obszar wolności. Realizację tych oczekiwań zapowiadały dzieła Woltera, Diderota i całego kręgu „encyklopedystów”, przygotowujące grunt pod francuską rewolucję 1789 roku. Po rewolucji, konfrontującej historiozoficzny projekt z próbą jego realizacji, ta wizja się załamała, ale nie wygasła, dając początek kolejnym próbom konceptualnego doskonalenia jej idei, sprawdzanej później w paśmie kolejnych dziejowych wstrząsów.

Trwałość romantycznego paradygmatu

Każda literatura narodowa ma w swojej historii taki okres, w którym zawarła kwintesencję historycznych doświadczeń i utrwaliła obraz duchowego wymiaru spajającego kulturową wspólnotę. Jest to zwykle epoka wyróżniająca się obecnością dzieł wybitnych i oryginalnych. W Italii taką epoką był renesans, we Francji – klasycyzm, w Hiszpanii – barok „złotego” wieku XVII, w Polsce – romantyzm. Z perspektywy historii literatury widać, że to w tych epokach powstały dzieła, które stały się kanonem kultury i źródłem symboli identyfikujących wspólnotę.

Romantycy – zbuntowane dzieci oświecenia – chcieli dokonać niemożliwego: przywrócić spójność i bogactwo obrazu świata dzięki połączeniu perspektywy teocentrycznej z antro-

pocentryczną. Dlatego z jednej strony znajdziemy w literaturze tego okresu apoteozę wolności i indywidualizmu, z drugiej – gloryfikację wspólnoty narodowej i religijnej, powrót do duchowości chrześcijańskiej, ale także fascynację wierzeniami wcześniejszymi, których ślady przetrwały w kulturze ludowej. Bohater i podmiot literacki jest sytuowany „na między dwóch niezgodnych światów” nie tylko w wymiarze historyczności i wieczności, ale również na przecięciu odmiennych formuł europejskości: chrześcijańskiej i postooświeceniowej. Najważniejszy dla romantyków był duchowy wymiar człowieka wewnętrznego, który wychyla się ku nieskończoności. Ujawniała się tutaj tęsknota za holistycznym poznaniem, ale stopniowo narastało zrozumienie, że taki epistemologiczny maksymalizm wymaga wyjścia poza czas ograniczony rytmem życia zdeterminowanego przez biologię i historię. Tego rodzaju poznawcze aspiracje mogła zaspokoić jedynie mistyczna iluminacja – doświadczenie wewnętrzne, które bywa udziałem mistyków i proroków.

Obok romantycznego profetyzmu przepływa przez XIX-wieczną kulturę także inny nurt – z coraz bardziej wysublimowanym realizmem i coraz głębszymi analizami świata społecznego, który znajduje wyraz przede wszystkim w powieści i kształtuje zróżnicowane odmiany tego gatunku literackiego. Oprócz prawdy, wartości związanej ze wspomnianymi aspiracjami poznawczymi, za niezwykle istotną, a niekiedy nadrzędną wartość polscy romantycy uznali wolność, zarówno w wymiarze indywidualnym, jak i narodowym. Mocno akcentował to Adam Mickiewicz w paryskich wykładach *O literaturze słowiańskiej*, wskazując wolność jako podstawę „polskiego systemu” aksjologicznego. Apoteoza wolności nie wykluczała jednak konfliktu między jej realizacjami w wymiarze indywidualnym i wspólnotowym; w dziełach polskich romantyków jest to częsty temat, zarówno w tych utworach, które można zaliczyć do nurtu egzystencjalnej medytacji, jak i tych, które należą do „pieśni tyrtejskiej”, związanej z walką o niepodległość. Romantyczny paradygmat, z jego ideą wolności i mesjanistyczną historiozofią, wciąż powraca w polskiej kulturze, chociaż od ćwierć wieku jest odsyłany do lamusa (M. Janion, *Zmierzch paradygmatu*, 1996). Jego trwałość jest jednym z istotnych powodów wojny kulturowej w Polsce.

Od Norwida do Różewicza

Romantyzm europejski charakteryzuje współistnienie równoważnych wizji człowieka i świata, niekiedy wykluczających się wzajemnie, co otworzyło przestrzeń dla ideowego i estetycznego pluralizmu. Oprócz zalet miało to jednak tę wadę, że żadna z aksjologicznych podstaw nie porządkowała już przestrzeni kultury w całości. Poeci szybko dostrzegli kryjące się w tej sytuacji pułapki. Zauważyli kryzys sztuki, stającej się stopniowo towarem i coraz słabiej realizującej zadanie utrwalania i przekazywania wartości. Charles Baudelaire w *Kwiatach zła* szukał śladów zdegradowanego piękna, ujawniającego się nieoczekiwanie tu i ówdzie w monstrualnej przestrzeni dziewiętnastowiecznej metropolii. Cyprian Norwid w elegii *Na zgon poezji* konstatował, że oto poezja umiera na ciężką chorobę, która się zowie „pieniądz i bruliony”, a upatrywał przyczyny jej śmierci także w zastąpieniu idei piękną estetyką silnej ekspresji i powierzchownego blichtru (C. Norwid, *Piękno – czasu*). „Powab i grzmot” to jakości estetyczne korespondujące z demonicznymi źródłami kultury. Ich akceptację przyniosła myśl Fryderyka Nietzschego, kreująca nadczłowieka obdarzonego sprawczą wolą nocy, ale oddzielającego Piękno i Wolność od Dobra i Prawdy.

Wiek XX odziedziczył ten aksjologiczny kryzys z rozbieżnymi koncepcjami człowieka, które coraz bardziej przechylały się w stronę biegunka cielesności, kwestionowały istnie-

nie duchowości i obiektywny status wartości, transcendentny wobec ludzkiej woli. Co bardziej przenikliwi myśliciele dostrzegali w tej sytuacji symptomy schyłku kultury Zachodu. Nurt pesymizmu i historiozoficznego katastrofizmu gwałtownie narastał po I wojnie światowej, co znakomicie ilustruje ożywiona dyskusja po publikacji książki Oswalda Spenglera *Zmierzch Zachodu* (1914; wyd. 1918-1922). Przyptyw katastrofizmu nastąpił ponownie w latach poprzedzających II wojnę światową i później – kilka lat po jej zakończeniu. W polskiej poezji powojennej ten ostatni katastroficzny akord znalazł oryginalny wyraz w twórczości Tadeusza Różewicza, który i w dramatach i w poemacie *Spadanie* pisał o zaniku elementów wertrykalnych w życiu człowieka współczesnego i tym samym – o usunięciu moralnej miary czynów; także probierza upadku

w postaci metaforycznego „dna”. Było to poetyckie uchwycenie procesu, który eksplodował w 1968 roku i dał początek trwającej wojnie kulturowej.

Patrząc na nią od środka, trudno ocenić, jakie jej stadium rozgrywa się obecnie. Wydaje się, że na Zachodzie – dogasające, bo środowiska lewicowo-liberalne już u schyłku XX wieku przechyliły szalę zwycięstwa na swoją stronę. Jako inicjujące tę wojnę w imię poszerzanej do granic absurdu emancypacji i „wolności od...” mogą skierować swoją energię w stronę „zacyfanych” sąsiadów z Europy Środkowej i Wschodniej.

Polonistyka obiektem destrukcji

Wspomniany na wstępie Hunter wyróżnił w swojej książce pięć pól konfliktu wojny kulturowej: walkę o zmianę modelu

MĘŻCZYZNA VS. MENSZCZYZNA



**PONIEWAŻ ...
SĄ LUDZIE I
LUDZISKA**

rodziny, o edukację, o hegemonię w mediach i sztuce, o prymat w stanowieniu prawa i reguł wyborczych. Skupię się jedynie na małym wycinku tego rozległego „poła bitwy”, na fragmencie związanym z edukacją – uniwersyteckiej polonistyce. Ten kierunek studiów ma piękną kartę podtrzymywania i przekazywania symbolicznych kodów kultury narodowej w najtrudniejszych momentach. Prowadzone z narażeniem życia tajne komplety polonistyczne w okresie niemieckiej okupacji w Warszawie i Krakowie, krakowski Teatr Rapsodyczny – to tylko najbardziej dobitne przykłady. Na odradzających się po 1945 roku uniwersytetach filologia polska była często głównym kierunkiem wydziałów humanistycznych. W okresie stalinowskim część profesorów i doktorów niezgadających się na wprowadzenie doktryny marksistowskiej do swoich badań i wykładów była zwalniana, szykanowana, wysyłana na przymusowe urlopy. Na mojej macierzystej toruńskiej uczelni dotknęło to Konrada Górskiego, Irenę Sławińską, Czesława Zgorzelskiego, Artura Hutnikiewicza, a wymieniam tylko polonistów. Niektórzy z nich po 1956 powrócili do pracy na UMK, inni znaleźli miejsce w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim.

To historyczne tło przywołuję dla uwypuklenia paradoksu. Mogłoby się wydawać, że po 1989 roku, po zniesieniu cenzuralnych ograniczeń, nastał dobry czas dla polonistyki. Tymczasem od lat dziewięćdziesiątych stała się ona obiektem powolnej, ale systematycznej destrukcji. Najpierw w publicystyce pojawiły się rozproszone głosy, jaki to mało atrakcyjny kierunek. Potem reforma edukacyjna ministra Mirosława Handkego ograniczyła i kanon literacki, i zakres nauczania języka polskiego w gimnazjum i liceum. Apogeum pokazywania profesji polonisty w krzywym zwierciadle w kulturze popularnej przyniósł film Marka Koterskiego z Markiem Kondratem w roli Adasia Miauczyńskiego – sfrustrowanego polonisty i nieudacznika – film nagradzany i obsypywany pochwałami w głównym nurcie krytyki filmowej, mimo kompozycyjnych i warsztatowych mielizn dzieła.

W takim klimacie odbył się w Krakowie, we wrześniu 2004 roku, Zjazd Polonistów pod znamiennej nazwą „Polonistyka w przebudowie”. Wielu referentów podjęło tam istotne tematy wiążące się ze specjalnościami z filologicznego kanonu: z historią literatury, jej teorią, językoznawstwem synchronicznym i diachronicznym. Pojawiły się interesujące koncepcje wprowadzenia do procesu dydaktycznego nowych specjalności: edytorstwa i komparatystyki oraz propozycje modernizacji metod nauczania. Obok wybrzmiewały już jednak głosy nacechowane ideologicznie: jak przezwyciężyć polonocentryzm na polonistyce (?), jak odnaleźć się w kręgu lansowanej na Zachodzie wielokulturowości, jak rewidować kanon, by dostosować go do reguł poprawności politycznej. Nie były one jeszcze wówczas dominujące i zostały zrównoważone troską o to, by wprowadzając zmiany, zachować tożsamość polonistyki i nie rezygnować z pokazywania aksjologicznego wymiaru literatury. Te ostatnie kwestie podnosili np. profesorowie: Bożena Chrzęstowska, Stefan Sawicki, Jadwiga Puzyńska, Jerzy Świąch.

Przebudowa zapowiadała się dosyć obiecująco, ale została niebawem zakłócona konsekwencjami wprowadzenia systemu bolońskiego, z obligatoryjnym podziałem studiów polonistycznych na licencjackie i magisterskie oraz wyłączeniem poza strukturę obowiązującego programu specjalności nauczycielskiej. To zdegradowało studia polonistyczne podwójnie: obniżyło ich rangę zarówno jako studiów o profilu akademickim, jak i zawodowym. Pomysły na przetrwanie skutkowały wprowadzaniem doraźnych zmian programowych, często pogłębiających jeszcze kryzys, ale propagowanych odgórnie jako droga do nowoczesności (zwłaszcza po wprowadzeniu reformy minister Barbary Kudryckiej). Na razie bardziej degradowało to

dydaktykę niż badania naukowe, ale wskutek tego zawężyła się możliwość kształcenia na poziomie akademickim, powstał bowiem coraz większy rozdział między kompetencjami studentów a pracą naukową prowadzącą z nimi zajęcia.

Przez ideologiczne okulary

Jeżeli spojrzymy na dorobek badawczy środowiska polonistycznego od strony zestawień bibliograficznych, to wygląda on całkiem dobrze: pojawiło się sporo wartościowych monografii, do łask wróciło badanie źródeł, edytorstwo naukowe i krytyka genetyczna, zakończyły się lub wciąż trwają prace nad pełnymi edycjami krytycznymi pisarzy z historycznoliterackiego kanonu. Ich ciągłość zawdzięczamy determinacji grona pasjonatów, którzy częściej nie otrzymują grantów niż je otrzymują. Ukazują się kolejne tomy serii mających dłuższą lub krótszą tradycję wydawniczą („Biblioteka Narodowa”, „Czarny Romanizm”, „Biblioteka Sarmacka”, „Horyzonty Nowoczesności”, „Biblioteka Pana Cogito”, „Biblioteka SN”...). Z drugiej jednak strony istnieją tematy „grantonośne”, które mają zdjąć z polonistyki odium dyscypliny etnocentrycznej. Za pomocą imitacji modnych metodologii, np. radykalnej krytyki feministycznej, lustruje się zgodność poglądów dawnych pisarzy z założeniami poprawności politycznej. Promowane są metody badawcze przenoszone na grunt polskich badań bez refleksji nad ich adekwatnością wobec cech polskiego piśmiennictwa. Niektórzy pisarze są przemilczani, mimo ich rangi w polskiej historii literatury. Przykładem tej ostatniej tendencji była marginalizacja w 2018 roku obchodów 50 rocznicy śmierci Zofii Kossak-Szczuckiej, która nawet ze snobistycznego punktu widzenia powinna zostać zauważona, bo liczbą przekładów swoich powieści pisarka może konkurować jedynie z Henrykiem Sienkiewiczem i Stanisławem Lemem. Te dwie zaszykalizowane wyżej strony medalu to symptomy kulturowych potyczek, które osłabiają współpracę środowiska i prowadzą nie tylko do jego podziału, lecz także do postrzegania dziedzictwa literackiego przez ideologiczne okulary zakłócające jasność widzenia.

Chronologicznie ostatnim krokiem w degradacji akademickiej polonistyki są regulacje wynikające z reformy ministra Jarosława Gowina. Filologia polska od początku swojego istnienia łączyła i integrowała wiedzę o literaturze i języku. Na mocy arbitralnej biurokratycznej decyzji te dwie dziedziny zostały odseparowane: literaturoznawstwo zostało połączone z literaturoznawstwem z zakresu filologii obcych, nauka o języku – podobnie. W ten sposób filologia narodowa została w Polsce rozczłonkowana i sprowadzona do rangi filologii obcych. Dodatkowo zasady ewaluacji związane z punktacją czasopism nie dają filologii polskiej żadnych szans w konkurencji z filologiami obcymi. Otwartość na współpracę międzynarodową w przypadku takiego kierunku, jak polonistyka, powinna raczej polegać na przyciąganiu badaczy z zagranicy, których interesuje polska kultura czy historia do naszych ośrodków akademickich, stanowiących naturalne centra badawcze w odniesieniu do tej akurat problematyki i tworzenia wspólnych zespołów badawczych, a nie na anihilacji owych centrów.

Akademicka polonistyka jest raczej w ruinie niż w przebudowie, a ruiny bywają rezultatem wojen. Nie wiem, w jakim stopniu ten stan rzeczy jest rezultatem wojny kulturowej, ale intuicja i obserwacja podpowiadają, że w znacznym. Nadzieja w tym, że ruinę można odbudować, jeżeli jest nam potrzebne takie miejsce, w którym jeszcze chcemy i umiemy podtrzymać pamięć o polskiej kulturze literackiej i zasobach ciągle ubożającego języka.

Prof. dr hab. Grażyna Halkiewicz-Sojak, Katedra Edytorstwa i Literatury Polskiej, Instytut Literaturoznawstwa Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu

Marlena Siwiak, Marian Siwiak

Wyścig na dno

Jeśli dostrzeżemy, że używany w ocenie pracy badawczej indeks cytowań jest niczym innym jak indeksem popularności konkretnej pracy, badacza czy ośrodka naukowego, oczywiste się stanie, że wpływy z badań naukowych, a co za tym idzie samo być albo nie być naukowca, są uzależnione w głównej mierze od... popularności.

Pierwszym kryterium naukowości jest mocna zasada racjonalności, czyli zasada racjonalnego uznawania przekonań. Stwierdza ona, że stopień przekonania, z jakim głoszony jest dany pogląd (twierdzenie, hipoteza, prawo, teoria), powinien odpowiadać stopniowi jego uzasadnienia. Stopień przekonania nie powinien być większy od stopnia uzasadnienia, gdyż inaczej popada się w dogmatyzm. Nie powinien też być mniejszy, gdyż wtedy wpada się w przesadny sceptycyzm (za Wikipedią). Tymczasem we współczesnej debacie naukowej stopień przekonania wynika w głównej mierze z popularności: badacza, ośrodka badawczego, wreszcie samego twierdzenia.

Trudno nie ulec wrażeniu, że środowisko naukowe traci mandat do wyjaśniania rzeczywistości, zaś wakat na opuszczonym przez naukowców stanowisku autorytetów zajmują wszelkiej maści szarlatani i głosiciele teorii spiskowych. Czy oznacza to, że społeczeństwo odrzuca wartość metody naukowej per se?

Wolny rynek popularności

Problem leżący u źródła kryzysu wiarygodności nauki nie jest zjawiskiem specyficznym i wyjątkowym dla środowiska naukowego. Przeciwnie. Jest to problem, który zakorzenił się głęboko w społeczeństwie i wskutek postępującej globalizacji odciska coraz większe piętno na licznych jego płaszczyznach, m.in. w sztuce i polityce.

W przypadku tych dwóch dziedzin łatwo wskazać przyczynę postępującej degeneracji. Jest nią pogoń za popularnością, a co za tym idzie – zyskiem. W sztuce wpływy z działalności twórczej (biletów, francyz itp.) są pochodną popularności. W przypadku polityki wpływy z dotacji partyjnych, zajmowanych stanowisk także zależą od wyrażonej w wyborach popularności. Jeśli dostrzeżemy, że w tej sytuacji popularność staje się walutą, której obrót nie podlega żadnym regulacjom, czyli tak naprawdę mamy do czynienia z wolnym rynkiem popularności, łatwo zrozumieć kolejną przyczynę problemów. Otóż niekontrolowany wolny rynek działający na dostatecznie dużą skalę zdaje się nieodmiennie prowadzić do dominacji oligopoli, które zaczynają kontrolować gros kapitału. Tak jak pieniądź rodzi pieniądź, popularność rodzi popularność. Jednocześnie terminy te są praktycznie wymienne, bo równie prawdziwe są twierdzenia, że pieniądź rodzi popularność, a popularność – pieniądź.

Zorientowany na popularność wolnorynkowy sposób kształtowania sztuki i polityki nie oznacza automatycznej utraty jako-

ści produktu. Niemniej owa jakość z rangi wartości nadrzędnej spada natychmiast do kategorii zmiennych, którymi można manipulować w celu maksymalizacji zysku. A gdy zysk staje się wartością nadrzędną, sztuka degraduje do popkultury, a polityka – do populizmu, zaś ci, dla których wciąż liczy się przede wszystkim jakość produktu, wypierani są do nisz przez zorientowanych na popularność konkurentów.

Zarówno w sztuce, jak i polityce problem ten został już dawno dostrzeżony i chyba nikt dziś nie wierzy, że: jeśli coś jest popularne, to musi być wartościowe, a jeśli coś jest wartościowe, to musi stać się popularne.

W końcu liczne są przypadki polityków wygrywających wybory, choć lekceważących dobro ogółu, oraz wykreowanych przez specjalistów od marketingu gwiazd, których poziom artystyczny pozostawia wiele do życzenia. Z drugiej strony znani są politycy, którzy mimo umiejętności i szczerzej troski o społeczeństwo pozostają w cieniu, oraz wysokiej klasy artyści nieodnoszący sukcesu komercyjnego.

Naukowa lista przebojów

Czy podobne zjawiska występują w przypadku nauki? Jeśli dostrzeżemy, że używany w ocenie pracy badawczej indeks cytowań jest niczym innym jak indeksem popularności konkretnej pracy, badacza czy ośrodka naukowego, oczywiste się stanie, że wpływy z badań naukowych (grantów, dotacji statutowych itp.), a co za tym idzie samo być albo nie być naukowca, są uzależnione w głównej mierze od... popularności. Ponadto okaże się, że w przeciwieństwie do sztuki i polityki, gdzie popkultura i populizm stanowią znane, choć trudne do pokonania zagrożenia dla wartości wyższych (jakości), nauka wciąż zdaje się być ślepa na fakt, że dwóm wyszczególnionym wyżej twierdzeniom o popularności równoważne są następujące przekonania: jeśli coś ma wysoki indeks cytowań, musi być wartościowe, a jeśli coś jest wartościowe, musi zyskać wysoki indeks cytowań, i że przekonania te, podobnie jak wcześniejsze twierdzenia, są fałszywe. Grantodawcy, komisje naukowe, wreszcie sami badacze wciąż mierzą jakość pracy naukowej pozycją publikującego ją czasopisma na liście filadelfijskiej. Liście, której kolejność zależy od liczby cytowań i tyle mówi o naukowej rzetelności, co kolejność utworów na liście przebojów o ich poziomie artystycznym albo kolejność w rankingu wyborczym o mądrości i uczciwości polityków.

Niewiarygodna popularność vs. niepopularna wiarygodność

Zalew informacji i liczba raportowanych badań wymuszają na naukowcach filtrowanie źródeł. Nawet wyszukiwarki publikacji naukowych implementują oparte na popularności algorytmy decydujące o kolejności wyświetlania wyników. Tym sposobem na krótkiej liście lektur badacza zawsze zostanie kilka czołowych w danej dziedzinie czasopism, na których artykuły będzie się powoływał w swoich pracach (często wierząc w ich wyższą wiarygodność), generując owym czasopismom kolejne cytowania i na zasadzie dodatniego sprzężenia zwrotnego zwiększając ich wiarygodność w oczach innych naukowców.

Periodyki te z kolei, w celu utrzymania wrażenia elitarności oraz hołdując pierwszemu z wymienionych wyżej fałszywych twierdzeń, na swoich łamach większość miejsca poświęca pracom wywodzącym się z prestiżowych, czyli gwarantujących cytawalność ośrodków naukowych. Ośrodki te wykorzystują tak zdobytą popularność do pozyskania większej ilości pieniędzy i zwiększenia wysiłku publikacyjnego obsługiwanego w większości przez wspomniane czołowe czasopisma. Kółko prawie się zamyka. Prawie, bo to nie jest kółko, a spirala. Z każdym obrotem pogłębia się rozwarstwienie w dystrybucji środków na... publikowanie.

Czy za popularnością idzie większa rzetelność naukowa? Choć skwantyfikowanie tej ostatniej nie jest sprawą prostą, podjęto szereg prób odpowiedzi na to pytanie. W celu oceny rzetelności prac naukowych mierzono m.in.: jakość komputerowych modeli cząsteczek, wielkość badanych prób, moc zastosowanych testów statystycznych, poprawność opisu pro-

cedur eksperymentalnych, liczbę błędów w danych źródłowych, liczbę niezgodności między wynikającą z danych a raportowaną w treści publikacji istotnością statystyczną, wreszcie stopniem powtarzalności wyników. W żadnym z tych przypadków prace z wysoko notowanych czasopism nie wykazały większej rzetelności niż publikacje w mniej popularnych periodykach, w wielu przypadkach zaś była ona mniejsza (podsumowanie tych badań oraz odnośniki do źródeł znaleźć można tutaj: <https://www.frontiersin.org/articles/10.3389/fnhum.2018.00037/full>).

Reklama dźwignią popularności

Taki stan rzeczy na pierwszy rzut oka jest bulwersujący, ale nie powinien dziwić. Wszak uznanie indeksu cytowań za miarę naukowej sprawności prowadzi do tego, że jakość pracy badawczej staje się zakładnikiem nieustającej walki o popularność. Skutkiem tego są liczne, mniej i bardziej świadome kompromisy: czy to poprzez gwałcenie (lub przynajmniej molestowanie) metody naukowej i uskutecznianie tzw. wątpliwych praktyk badawczych, czy też poprzez zastępowanie języka naukowego pełnymi przesady i manipulacji komunikatami godnymi reklam. Wszystko to oddala uprawianą w ten sposób naukę od kryteriów naukowości, ze szczególnym uwzględnieniem zdefiniowanej we wstępie mocnej zasady racjonalności.

Dzieje się tak dlatego, że w środowisku silnie konkurującym o przestrzeń publikacyjną renomowanych periodyków (czytaj: czas antenowy największych nadawców) nie ma miejsca na niepewność i wątpliwości. Jest tylko miejsce na odkrycia przełomowe i wybitne, na dodatek zgłaszane ze studzięsięcioprocentową stanowczością. Tylko, że owa stanowczość w wygłaszaniu



twierdzeń, „stanowczość dająca się mierzyć wielkością ryzyka, które w imię tych twierdzeń gotowi jesteśmy wziąć na siebie”, przestała być „proporcjonalna do stopnia ich uzasadnienia”. Zapomina się także, że „im bardziej surowe i bezlitosne były próby, którym dane twierdzenie poddawaliśmy i wobec których się ono ostało, tym bardziej stanowczo wolno nam je przyjmować”. Powyższe cytaty pochodzą od prof. Kazimierza Ajdukiewicza, który w ten oto sposób ponad pół wieku temu formułował mocną zasadę racjonalności – jedno z podstawowych kryteriów naukowości wiedzy, zwracając uwagę, że wysoki status poznawczy nauka zawdzięcza zarówno metodom, jakie stosuje, jak i językowi, jakim się posługuje.

Popularność dźwignią wiarygodności

Coraz częściej mocną zasadę racjonalności wypierają chwyt marketingowe, a także stosowany powszechnie argumentum ad auctoritatem, gdy autorytet mierzony jest popularnością – badacza, ośrodka, czasopisma. Jeśli popularne czasopismo zdecydowało się opublikować badania, znaczy to ponad wszelką wątpliwość, że i metody, i wnioski zawarte w pracy są niepodważalne. Badacze chcący przetestować wyniki prezentowane przez popularny ośrodek w popularnym czasopiśmie stoją przed dwojakim problemem. Po pierwsze, uzyskanie finansowania na sprawdzenie już opublikowanych tez graniczy z niemożliwością. A po drugie, podważający takie tezy raport, jeśli jego twórcy nie pochodzą z ośrodka o co najmniej równej renomie, ma zaledwie szansę, a i to niewielką, pojawić się na łamach niszowego periodyku o nikłym zasięgu, gdzie wiara w drugie z przedstawionych fałszywych przeświadczeń (jeśli coś jest wartościowe,

musi zyskać wysoki indeks cytowań) skaże go na śmierć przez zapomnienie. Taki los czeka zresztą ogromną większość badań opublikowanych na łamach czasopism spoza krótkiej prestiżowej listy. I śmierć ta nastąpi niezależnie od ich jakości. Dlaczego? Ponieważ nauka działa na skalę globalną, a wynikający z tego natłok informacyjny połączony z nieludzkim tempem prac powoduje konieczność filtrowania wiadomości.

Warto jeszcze pokrótce wspomnieć o systemie recenzji publikacji nadsyłanych do czasopism, który w swym założeniu miał dbać o wysoki poziom merytoryczny zamieszczanych na łamach treści. System ten jest bez wątpienia wadliwy, co wykazały przeprowadzone prowokacje, ale to temat na osobny artykuł, podobnie jak szczegółowe omówienie przyczyn takiego stanu rzeczy. W tym miejscu warto jednak wspomnieć o jednej, którą jest wspomniana globalizacja i wynikający z niej zalew informacji, a także wzrost konkurencji i presji. Chcąc dalej wykonywać swój zawód, naukowiec nie może poświęcać zbyt wiele czasu na analizowanie prac swych konkurentów. Musi generować własne wyniki, bo tylko one liczą się w punktacji. Nierzadko idzie więc na skróty, zerkając ukradkiem na nazwisko autora recenzowanej pracy i jego afiliację, licząc, że selekcja pod względem jakości nastąpiła na etapie rekrutacji na stanowisko naukowe w danym ośrodku badawczym. A im bardziej prestiżowy ośrodek, tym owa selekcja była silniejsza, i tym większa jest szansa, że wysłana do recenzji praca wyszła spod pióra dobrego naukowca. Problem w tym, że komisja rekrutacyjna w tym ośrodku też działa pod presją i także idzie na skróty, opierając swoją ocenę na indeksie cytowań aplikanta. Krok za krokiem naiwna nadzieja zabiegającego badacza, że to, co popularne, powinno być bardziej wartościowe, staje się obowiązującym dogmatem całego środowiska naukowego.

Z kolei dalsze ugruntowywanie drugiego błędnego założenia (jeśli coś jest wartościowe, musi zyskać wysoki indeks cytowań) następuje przez samych naukowców z lubością wskazujących jednostkowe przypadki, gdy na łamy popularnych czasopism trafią osoby spoza elitarnego klubu ścisłej czołówki światowych uczelni. Skoro się da, to się da. Tylko że jest to rozumowanie człowieka radośnie dzielącego się wieścią, że jakiś szczęśliwiec wygrał na loterii. Człowieka ślepego na fakt, że prawdziwym zwycięzcą loterii jest zawsze totalizator.

Wyścig na dno

Nauka, podobnie jak sztuka i podobnie jak polityka, stała się wyścigiem o łatwo monetyzowalną popularność. Większość osób zaangażowanych w te ważne obszary działalności społecznej bądź to świadomie i cynicznie, bądź to nieświadomie i naiwnie, bierze udział w wyścigu, który z samej swojej natury jest wyścigiem na dno. Wyścigiem, w którym zwycięzcami są oligopole. Stać je na pokrycie niedostatków drogiej w uzyskaniu jakości grubą warstwą relatywnie taniego, marketingowego blichtru. Różnica jest taka, że środowisko naukowe w swej napędzanej arogancją ignorancji jeszcze nie dostrzegło, że ten pęd odarł produkowaną wiedzę z kryteriów naukowości. Że z punktu widzenia wyposażonego w wiedzę potoczną postronnego obserwatora naukowcy naprawdę stają się równorzędnymi partnerami w dyskusji z wszelkiej maści szarlatanami i głosicielami teorii spiskowych.

Dr Marlena Siwiak, bioinformatyk, doktor biofizyki, pisarka. Pracowała w Instytucie Biochemii i Biofizyki PAN w Warszawie, obecnie pracuje jako badacz danych w Londynie.

Dr Marian Siwiak, bioinformatyk, doktor biofizyki, pionier konsultingu strategicznego dla jednostek badawczych w Polsce, były dyrektor naukowy Applied Research Institute for Prospective Technologies w Wilnie, obecnie badacz danych w Londynie, hobbystycznie pisarz.



Sztuka akademickiego przetrwania

Sposobem na akademickie trwanie i przetrwanie kolejnych okresowych ocen jest trzymanie się zasady: im ciszej siedzisz, tym dłużej jesteś członkiem akademickiej społeczności. Pomocne może w tym być podejmowanie obowiązków zastępczych, takich np. jak udział w akademickich gremiach, radach, komisjach, zespołach opiniodawczych itp.

Życie akademickie posiada uroki, które zachęcają do brania w nim udziału i możliwie długiego w nim pozostawania. Wypowiem się tutaj nie tyle nawet o samych urokach, co o związanych z nimi sposobach przedłużania sobie akademickiego życia przez osoby, których legitymacja do brania w nim udziału może budzić wątpliwości. Tacy ludzie pojawiają się w różnych grupach akademickiej społeczności – od studentów począwszy, a na wiekowych profesorach skończywszy.

Studenci

Studenci stanowią najliczniejszą i stosunkowo najbardziej zróżnicowaną część akademickiej społeczności. Większość z nich studiuje nie tylko formalnie, lecz także w miarę na serio, a przynajmniej demonstruje swoją gotowość do takiego studiowania. Na każdym kierunku studiów można jednak znaleźć mniejszość, która ma na ten temat odrębne zdanie. Przy tym potrafi je wyrazić tak, by nie skrócić zbyt szybko swego akademickiego życia. Przywołam dwa przykłady. Oba wzięte z mojej uczelni. Jestem jednak przekonany, że mają one odpowiedniki również gdzie indziej.

Pierwszy nazwałbym „studiowaniem na dobrodzieja”. Skrajnym przypadkiem było wielokrotne „studiowanie” na różnych kierunkach. Jednak na żadnym student nie brał udziału w zajęciach dydaktycznych i nie przystępował do egzaminów. Natomiast na każdym składał wnioski o zasiłek socjalny i go otrzymywał, bowiem potrafił udokumentować trudną sytuację materialną. Zapewne proceder trwałby dłużej, gdyby nie aroganckie zachowanie wobec jednej z pań w dziekanacie. Sprawilo ono, że studentem zainteresował się prodziekan ds. studenckich i w końcu przerwał wyłudzenie świadczeń. Nie można jednak wykluczyć, że ten sposób przedłużania akademickiego życia delikwent kontynuował na innej uczelni.

Drugi sposób nazwałbym „studiowaniem na wędrowanie” z jednego kierunku na inny. Nie widzę wprawdzie niczego nagannego w tym, że studenci po ukończeniu studiów licencyjnych podejmują magisterskie na kierunku, który z dotychczasowym ma niewiele wspólnego. W końcu każdy ma prawo do korekty zainteresowań i uzyskania kwalifikacji dających większe szanse na rynku pracy. Sprawa zaczyna budzić wątpliwości wówczas, gdy się trochę studiuje na jednym kierunku i trochę na innym, a na żadnym nie uzyskuje odpowiednich kwalifikacji. Jednak nie o kwalifikacje chodzi, lecz o korzystanie z uroków studenckiego życia. W końcu, gdy się wyczerpią możliwości „wędrowania”, specjaliści od przedłużania sobie studiów nie posiadają wprawdzie przygotowania do zawodu, ale za to mają wiele miłych wspomnień z pobytu na uczelni. Interesującą grupę „wędrowników” stanowią studenci, którzy pełnią funkcje w studenckich gremiach samorządowych i parlamentarnych. O nich przynajmniej można powiedzieć, że walczą nie tylko o permanentny dostęp do uroków akademickiego życia, lecz o dalsze pełnienie funkcji, a czasami także o studia doktoranckie.

Akademicy na dorobku

Nie korzystam z określenia typu „młodzi pracownicy naukowcy” (jeszcze niedawno były to osoby, które nie przekroczyły 33 roku życia, a obecnie granicę tę wyznacza 40 rok życia) czy „niesamodzielnymi pracownikami naukowymi” (oznaczało ono osobę przed uzyskaniem stopnia doktora habilitowanego). Problem nie tylko w tym, że w nauce cechami młodości można się wykazywać niezależnie od metryki, a niesamodzielnymi również po uzyskaniu drugiego stopnia naukowego, ale także w tym, że zadaniem pracownika akademickiego jest ciągle doskonalenie kwalifikacji i dokumentowanie ich osiągnięciami nauko-

RUSZ GŁOWĄ



wymi, które mogą być obiektywnie ocenione i docenione przez innych. O to ostatnie często trudniej niż o uzyskanie stopnia czy tytułu. Przekonują o tym m.in. różnego rodzaju sprawozdania pracowników akademickich. Przyznam, że z zadowoleniem przyjąłem zamieszczenie przez władze mojej uczelni (UAM) w zakładce „Uczelnia badawcza” otwartego dostępu do wykazu osiągnięć wszystkich jej pracowników akademickich. Wprawdzie pełniąc funkcję dziekana, również upubliczniałem osiągnięcia pracowników mojego wydziału, jednak robiłem to w łagodniejszej formie. Podawałem jedynie sumę przeliczników punktowych za ich publikacje w danym roku i związane z tym miejsce w wydziałowym rankingu. Tak czy inaczej wychodziło na to, że spora liczba pracowników naukowych mojego wydziału nie opublikowała w danym roku ani jednej pozycji. Jednak to, co ujawniły w ostatnim czasie władze UAM, może stanowić poważne zmartwienie dla tych posiadaczy stopni i stanowisk naukowych, którzy swoim nader oszczędnym wykazem osiągnięć przegrywają nawet z niektórymi doktorantami. Mają oczywiście prawo postawić władzom uczelni pytanie, jak teraz mamy żyć i być akademikami, co powiedzą o nas inni akademicy, a także studenci, którzy dotychczas mogli myśleć, że profesorowi należy się bezwzględny szacunek. Można im oczywiście poradzić, aby w końcu wzięli się do poważnej naukowej roboty. Jednak gdyby chcieli i potrafili, to zapewne dawno już by to zrobili. Pozostaje im zatem sztuka przetrwania, z repertuaru której korzystali dotychczas.

Jednym z bardziej rozpowszechnionych sposobów akademickiego przetrwania jest opowiadanie przełożonym oraz koleżankom i kolegom o swoich poważnych badaniach i przygotowywaniu ważnej publikacji, która ma się ukazać w prestiżowym wydawnictwie. Jeśli ktoś sądzi, że to zbyt proste, aby było skuteczne, to jest w błędzie. Takie opowiadanie zapewniło bowiem długie trwanie na uczelni nie tylko pracownikom etatowym, ale także liczny doktorantom. Co więcej, ich opiekunowie i promotorzy niejednokrotnie dawali temu wiarę i byli przekonani, że trafił się im prawdziwy geniusz. Rozczarowanie wprawdzie w końcu się pojawiało, ale czasami dopiero w odległej przyszłości. Znałem mi się przypadki „geniuszy”, którzy potrafili w ten sposób przedłużyć sobie studia doktoranckie o kilka lat, a mimo to ich przygoda z uczelnią nie zakończyła się rozprawą doktorską. Niejednokrotnie pracownicy naukowci aktywizują swoją działalność badawczą i publikacyjną przed uzyskaniem stopnia doktora habilitowanego (rzecz jasna bez szaleństw). Później niejedno dochodzi do wniosku, że albo już nie trzeba, albo nie warto się wysilać (bo stanowisko profesora uczelnianego całkowicie go satysfakcjonuje) i przechodzi w stan swoistego „spoczynku”. Mogą temu oczywiście towarzyszyć różne uzasadnienia i usprawiedliwienia – począwszy od eksponowania wartości swoich osiągnięć, a skończywszy na deprecjonowaniu osiągnięć tych, którzy zaliczyli już wszystkie progi akademickiego awansu, a mimo to nie zaprzestali naukowej aktywności i publikują ich wyniki. Właściwie nie wiadomo po co (chyba że chcą w ten sposób zrobić komuś przykrość).

Miałem do czynienia z niejednym akademikiem na dorobku, który był przekonany o ponadprzeciętnej wartości swoich nielicznych osiągnięć, a nawet domagał się uznania ze strony innych. Najbardziej skrajny był przypadek osoby, która wprawdzie przez dłuższy czas nie wykazywała udokumentowanej publikacją aktywności naukowej, jednak oczekiwała ode mnie jako dziekana nagrody za osiągnięcia, a gdy jej odmówiłem, zaczęła się obnosić się ze swoją „krzywdą”. Zainteresowała nią władze rektorskie, a także prasę. Mogę sobie wyobrazić, jak wielkie musiało być jej rozczarowanie, gdy dziennikarka ujawniła prawdę.

Trzeba jednak powiedzieć, że takie zachowania są raczej rzadkością. Częściej sposobem na akademickie trwanie i przetrwanie kolejnych okresowych ocen jest trzymanie się zasady: im ciszej siedzisz, tym dłużej jesteś członkiem akademickiej społeczności. Pomocne może w tym być podejmowanie obowiązków zastępczych, takich np. jak udział w akademickich gremiach, radach, komisjach, zespołach opiniodawczych itp.

Zasłużeni akademicy

Ta część społeczności akademickiej nie jest aż tak liczna jak poprzednia. Jest jednak również dosyć mocno zróżnicowana. Znajdują się w niej bowiem m.in. osoby, które wieloletnią pracą akademicką zasłużyły na uznanie nie tylko kolegów i współpracowników, lecz także tych, którzy wprawdzie ich osobiście nie znają, jednak doceniają osiągnięcia badawcze i organizacyjne oraz nawiązywanie kontaktów ze znaczącymi uczonymi. Należą do tej grupy również osoby bez znaczących osiągnięć naukowych, które jednak potrafiły stworzyć innym odpowiednie warunki do pracy badawczej i doczekały się uczniów cieszących się uznaniem. Problem zaczyna się wówczas, gdy ci uczniowie zaczynają zgłaszać aspiracje do przejścia kierowniczych stanowisk, a ich mentorzy nie chcą się pogodzić z faktem, że ich czas minął. Jak poważny może to być problem (i faktycznie nim jest), niech świadczy m.in. fakt, że zasłużeni akademicy potrafią zajmować kierownicze stanowiska aż do emerytury, a nawet dłużej.

Na proste pytanie co w tym złego, nie potrafię udzielić równie prostej odpowiedzi. Nie uważam jednak, że pozostawianie takich osób na etatach w każdym przypadku jedynie obciąża finansowo uczelnię i niczego nie daje po stronie jej zysków. Kwestia ta wymaga jednak uważnego przyjrzenia się każdemu przypadkowi i indywidualnego traktowania. W tej grupie zasłużonych akademików są m.in. osoby, które pełniły na uczelni ważne funkcje kierownicze. Spotkałem się z opinią, że byli rektorzy powinni otrzymywać zatrudnienie na etacie na czas nieograniczony (również w wieku emerytalnym). Nie jest ona całkowicie pozbawiona racji. Nie podpisałbym się jednak pod petycją, aby wszyscy byli rektorzy automatycznie otrzymywali uprawnienie do przetrwania na uczelnianym etacie. Nie byłoby jednak łatwo znaleźć niebudzące kontrowersji kryteria, które wyłoniłyby szczególnie zasłużonych dla uczelni rektorów – nie tylko dlatego, że pamięć ludzka jest zawodna, ale także dlatego, że jest ona selektywna i skłonna do kierowania się zasadą: „co złego, to nie my”. Trzeba również powiedzieć, że niejedno z byłych rektorów zawdzięcza swoje etatowe trwanie nie tyle wdzięcznej pamięci uczelnianej społeczności, ile własnej zapobiegliwości, w tym powołaniu do istnienia jednostek uczelnianych, w których przez długie lata może realizować swoje akademickie kwalifikacje i aspiracje. Być może nie jest to aż tak wielką sztuką, jednak na pewno większą niż w przypadku osób o sporych aspiracjach, ale tak skromnych kwalifikacjach i osiągnięciach naukowych, że przetrwanie kolejnych ocen okresowych graniczy z cudem. Niespecjalnie wierzę w cuda. Uważam natomiast, że każdemu trzeba dać drugą szansę, a jeśli jej nie wykorzystają, to nie powinno mu się dawać kolejnych. Gdyby jednak byłoby to łatwe, to nie mówilibyśmy o sztuce akademickiego przetrwania.

PS. Spotykam się czasami z pytaniem: jak ty to robisz, że mimo osiągnięcia wieku emerytalnego nadal jesteś pracownikiem etatowym uczelni? Po upublicznieniu osiągnięć publikacyjnych jej pracowników znacznie łatwiej mi na nie odpowiedzieć, a przynajmniej nie muszę przekonywać, że nie jestem dla mojej uczelni „chodzącym deficytem”.

Ziemowit Malecha

Amerykański sen we Wrocławiu

Podczas pobytu na UNH byłem świadkiem kampanii Baracka Obamy w 2012 roku. W tym czasie dało się odczuć bardzo wyraźnie, że na uniwersytecie popiera się jego kandydaturę. Niejednokrotnie na korytarzach, na tablicach w klasach widziałem naklejki lub napisy „vote Obama”, nigdzie nie widziałem „vote Romney”.

Wyzwania związane z umiędzynarodowieniem oraz szerszą rozpoznawalnością polskich uczelni, ale także niejasne motywacje władz niektórych z nich wyrażone w poparciu protestów organizowanych przez Ogólnopolski Strajk Kobiet, zainspirowały mnie do podzielenia się doświadczeniami z pobytu na kilku amerykańskich uniwersytetach.

W latach 2010–2014 przebywałem na Uniwersytecie Michigan w Ann Arbor, Uniwersytecie Colorado w Boulder oraz Uniwersytecie New Hampshire (UNH). Najwięcej czasu spędziłem na tym ostatnim i większość przedstawionych poniżej zdarzeń będzie związana z tą uczelnią. Mój wyjazd do USA nastąpił krótko po otrzymaniu stopnia doktora. Przed wyjazdem pracowałem około roku na Politechnice Wrocławskiej jako asystent naukowo-dydaktyczny. Znaczącą różnicą, która rzuciła mi się natychmiast w oczy po przyjeździe do USA, było wzajemne traktowanie się naukowców oraz stosunek pracowników administracyjno-technicznych do pracowników naukowych. Można to streścić dwoma słowami: szacunek oraz zaufanie.

W USA tytuł profesora jest używany wobec każdego pracownika naukowo-dydaktycznego. Kolejne szczeble kariery to: assistant professor, associated professor, (titular) professor. Inne stanowiska to adjunct professor czy research professor. Według moich obserwacji ma to przynajmniej dwa ważne i pozytywne dla życia akademickiego aspekty: wszyscy pracownicy cieszą się podobnym szacunkiem ze strony środowiska zewnętrznego oraz czują, że należą do jednej rodziny akademików. Pomaga w tym także sposób, w jaki odnoszą się do siebie sami profesorowie. U nas powszechnie używa się całego zestawu tytułów. Można zapewne oszacować, że czas potrzebny na wypowiedzianie za każdym razem: profesor doktor habilitowany inżynier... , doktor habilitowany inżynier profesor uczelni... , doktor inżynier... zajmuje sporą część oficjalnych spotkań. Na podobnych spotkaniach w USA używa się zazwyczaj: Ben, Greg, Jan, Joe.

Jeżeli chodzi o relacje student – profesor, to sytuacja jest podobna. Powszechnym zwyczajem jest, że prowadzący zwracają się do studentów po imieniu. Nie wpływa to negatywnie na pracę studentów. Wręcz przeciwnie, są oni praktycznie zawsze zaangażowani w zajęcia oraz sumiennie wykonywanie poleceń

prowadzących. Zjawisko ściągania lub oszukiwania praktycznie nie istnieje. Dobrze ilustruje to zdarzenie, którego byłem świadkiem. Przebywałem w pokoju razem z kilkoma profesorami. Jeden z nich przyszedł po radę, bo złapał studenta na ściąganiu. Rozpoczęła się zaskakująca dla mnie wymiana zdań, w której wszyscy wyrażali szczere zmartwienie zaistniałą sytuacją. Konkluzją było to, że ów student może mieć problemy osobiste, które skłoniły go do ściągania, więc może potrzebować pomocy psychologicznej. Moja mina musiała stawać się coraz bardziej wymowna, bo w końcu zapytali, czy z ich diagnozą jest coś nie tak...

Zaklejone ściany

Warto dodać, że studia magisterskie w USA są bardziej elitarne i wymagające niż u nas. Poziom nauczania jest wyższy, a sami studenci drugiego stopnia są praktycznie trakto-



Zdjęcie: <https://resourcespace.unh.edu>



Zródło: <https://resourcespace.unh.edu>

wani jak studenci studiów doktoranckich. Jest to szczególnie widoczne, gdy zwrócimy uwagę na różnice w traktowaniu studentów pierwszego stopnia (undergrad) oraz studentów drugiego stopnia (grad). Zmiana, jaka dokonuje się między przejściem ze stanu undergrad do stanu grad, ma znamiona przemiany fazowej lub osobliwości typu „skok”. Undergrad są traktowani jak uczniowie szkół średnich, starsi koledzy nazywają ich kids. W praktyce nie mogą nawet kupić piwa... Po drugiej stronie nieciągłości mamy już ludzi dorosłych, odpowiedzialnych, samodzielnych, nierzadko zaangażowanych w poważne projekty, słuchających z uwagą wykładów, odrabiających wszystkie zadania domowe na czas, przygotowanych do egzaminów.

Różnic w życiu polskiego i amerykańskiego uniwersytetu można naprawdę doświadczyć, przechadzając się po dowolnym korytarzu. Ściany są przeważnie zajęte przez plakaty pokazujące wyniki lub informujące o prowadzonych badaniach. Praktycznie na wszystkich drzwiach jest coś naklejone lub wywieszona i nie są to wyniki kolokwium. Znajdują się tam też dowcipy słowne bądź graficzne, jakieś ważne sentencje czy inne obrazki, z którymi identyfikuje się mieszkaniec danego pokoju. Studiując drzwi przez kilka chwil można dowiedzieć się sporo o osobie po drugiej stronie. Wracając na nasze korytarze, miałem wrażenie, że przyjechałem do szpitala. Przywitały mnie puste, czyste białe ściany...

Wiele rzeczy można wymieniać, aby pokazać, jak amerykańskie uczelnie dbają o swoich pracowników. Bardzo mi się podobało, że wszystkie obiekty sportowe stały przede mną otworem i to bezpłatnie. Musiałem tylko zadeklarować, że będę korzystał z czegokolwiek minimum dwa razy w tygodniu: basen, siłownia, boiska, piłki, namioty, narty, buty, wspinaczka...

Przez dwa semestry uczęszczałem na zajęcia na strzelnicy. Poznałem wielu studentów, którzy przychodzili z własną, bardzo różnorodną bronią. Poznałem weteranów, którzy przychodzili z jeszcze bardziej cudacznymi karabinami, doradzali i pokazywali, jak działają. Opowiadali o misjach, ranach, wypadkach. Wszyscy przestrzegali żelaznych zasad obchodzenia się z bronią i dało się odczuć, że możliwość jej posiadania jest czymś naprawdę ważnym. Tajemnicą poliszyneła jest to, że na kampusie nie można posiadać broni, dlatego wielu studentów mieszka poza uniwersytetem...

Absolwenci są wizytówkami

W życiu uniwersytetów amerykańskich bardzo ważne miejsce zajmuje biuro do spraw studentów i pracowników międzynarodowych. Jako że sam należałem do tej grupy, często tam bywałem. Poza pracami administracyjnym biuro było bardzo pomocne w sprawach wizowych, prawnych i tym podobnych. Ku mojemu zaskoczeniu organizowało także regularne spotkania i warsztaty dla przybyszów z odległych krain. Na jednym z takich spotkań tłumaczono, że zimą dobrze nosić czapkę... W pierwszej chwili wydało mi się to dość zabawne, ale po chwili dotarło do mnie, że są wśród nas osoby, które nigdy w życiu nie widziały zimy, lub pochodzące z tak innych kulturowo miejsc, że otaczająca je rzeczywistość mogła być stresująca i niezrozumiała. Wiele z nich przeżyło bardzo ciężką i długą drogę. Byli tacy, którzy uciekli przed wojną lub więzieniem, a w Ameryce uczyli się funkcjonowania w normalnym środowisku.

Zauważyłem, że każdy zagraniczny student traktował pobyt na uniwersytecie bardzo poważnie. Byli to przeważnie pracownicy ludzie, którzy wybrali uczelnię ze względu na jej renomę. Niestety na naszych uniwersytetach zbyt często tak nie jest. Brak dobrej rozpoznawalności i międzynarodowej renomy próbuje się nadrobić przyjmowaniem zagranicznych studentów bez wystarczającej weryfikacji ich wiedzy. Z mojego doświadczenia, a także wielu innych pracowników, wynika, że studenci często mają podstawowe braki w wiedzy oraz umiejętnościach. Zdarza się, że są przepychani na siłę, aż kończą studia z tytułem magistra. Jestem przekonany, że żadna amerykańska uczelnia nie pozwoliłaby sobie na to. Tam podstawą jest zasada, że absolwenci są naszymi wizytówkami i żywą reklamą. Wydaje się naturalne, że nasze uczelnie powinny także postawić na jakość zagranicznych studentów, a nie na ilość.

Znaczący wypadek

Bez wahania stwierdzę, że pod wieloma względami amerykańskie uniwersytety stanowią wzór, który nader często warto naśladować. Było jednak kilka rzeczy, które dodały łyżkę dziegciu do beczki miodu. Jedną z nich to pewnego rodzaju nieporadność. Zdarzenie, które przedstawię poniżej, wydało mi się tak absurdalne, że do dziś się zastanawiam, czy nie był to tylko sen. Mój pokój znajdował się na ostatnim, trzecim piętrze nowego skrzydła budynku. Przy suficie (pod panelami dekoracyjnymi) biegły rury central-

nego ogrzewania, wodociągowe oraz inne przewody. Na łączeniu skrzydła z resztą budynku była pewna niestabilność. Kilka miesięcy przed katastrofą na ziemi pojawiło się wiaderko, do którego kapąca woda z rury zza odsłoniętego panelu. Kapąca i kapąca, wiaderko się napełniało i ktoś je opróżniał. W dniu zero przyszedłem do pracy jak zwykle, złapałem za kławkę i dokładnie w tym samym momencie główna rura z gorącą wodą CO pękła z hukiem na pół...

Do dziś się zastanawiam, czy efektem motyla nie spowodowałem tej katastrofy. Stałem jak wryty i patrzę, jak gorący, brudny wodosпад zalewa całe piętro. Leje się i leje, kilka chwil i praktycznie cały korytarz jest zalany. Pierwsza myśl, zaraz pewnie przyjdzie jakiś pracownik techniczny, zakręci zawór, potem kilka(set) szmat i po sprawie.

Jednak nie. Mija minuta za minutą, ludzie wystawiają głowy z pokoi, patrzą, że się leje. Chowają głowy, zamykają drzwi i wracają co pracy. Tutaj włączyła się we mnie polska natura, wiedziałem, że coś muszę zrobić. Szukać zaworów, ratować budynek. Udałem się do sekretariatu po drugiej stronie korytarza i mówię, że leje się i leje. Pytam, gdzie są zawory, mówię, że trzeba po kogoś dzwonić. Szerokie oczy, niezrozumiałe dźwięki, brak inicjatywy, a tu się leje i leje. Praktycznie wszystkie pokoje zalane, już trzeba podwijając nogawki...

Nagle rozlega się alarm przeciwpożarowy, otwierają się wszystkie drzwi, wszyscy opuszczają pokoje i udają się na miejsce zbiórki. Minęło dobre kilkanaście minut. Gorąca, brudna woda spływa po ścianach, po schodach. Po chwili zostałem tylko ja i parująca, gorąca rzeka. Powolnym krokiem udałem się do wyjścia przez opustoszały budynek.

Alarm wyje dalej. Woda leje się przeszło pół godziny. Do budynku wchodzi strażacy. Podchodzę do jednego z nich i pytam, czy wie, co się dzieje. Strażak odpowiada, że nie, więc mu tłumaczę, że tam na trzecim piętrze pękła rura i się leje. Strażacy gdzie poszli, po jakimś czasie zakręcili zawór. Powiedzieli, że można wracać do pokoi, ratować dobytek.

Totalnie zalane trzy piętra, w moim pokoju wody kilka centymetrów, w innych podobnie, ludzie brodzą w wodzie. Lodówki, komputery, mikrofalówki podłączone do prądu, jakby woda nie była zagrożeniem... Na szczęście mój komputer stoi na biurku

i go nie zalało. Przez kolejne miesiące na podwórkach stało parę wielkich agregatów, zasilających wielkie wiatraki, ustawione w kilku miejscach w budynku. Setki książek w śmietniku. Suszenie i renowacja. Koszt – pewnie z milion dolarów.

Kolejna, może nawet jeszcze bardziej gorzka od dziegiu rzecz: na pierwszy rzut oka uniwersytety amerykańskie wydały mi się bardzo różnorodne, jednak po głębszej analizie dało się zauważyć, że obowiązywał tam przeważnie jeden światopogląd mieniący się różnymi barwami. Myśli liberalne oraz (nawet skrajnie) lewicowe były dużo bardziej eksponowane niż wartości tradycyjne lub konserwatywne. Miałem wrażenie, że te drugie zostały zepchnięte do kąta, w którym można było mówić tylko szeptem.

Podczas pobytu na UNH byłem świadkiem kampanii Baracka Obamy w 2012 roku. W tym czasie dało się odczuć bardzo wyraźnie, że na uniwersytecie popiera się jego kandydaturę. Niejednokrotnie na korytarzach, na tablicach w klasach widziałem naklejki lub napisy „vote Obama”, nigdzie nie widziałem „vote Romney”. Nie wydaje mi się, żeby zabrakło zwolenników Romneya, raczej miałem wrażenie, że byli oni w pewien sposób napiętnowani.

Z przykrością muszę stwierdzić, że podobna sytuacja miała miejsce niedawno na mojej uczelni, Politechnice Wrocławskiej. Znacząca grupa pracowników wyraziła swoje zdanie oraz sprzeciw wobec wikłania uczelni w polityczno-ideologiczne protesty ostatnich miesięcy. Pracownicy ci zostali zredukowani przez sprzyjające protestom media do „fanatyków katolickich” oraz „narodowych katolików”, a ich słowami manipulowano tak, aby przypisać im złe intencje.

Uważam, że w procesie unowocześniania naszych uczelni powinniśmy czerpać z dobrych rozwiązań uniwersytetów amerykańskich. Niestety wygląda na to, że rozpoczynamy od tych nie najlepszych. Wydaje się, że na wielu polskich uczelniach świadomie dąży się do wyrugowania poglądów i postaw opartych na wartościach tradycyjnych oraz patriotycznych kosztem wielobarwnej iluzji.

Dr hab. inż. Ziemowit Malecha, Wydział Mechaniczno-Energetyczny Politechniki Wrocławskiej



Rozmowa z prof. Józefem Jurkiem z Akademii Sztuki w Szczecinie

Uczelnia czy korporacja?

Wiem z doświadczenia, że kiedyś dziekan pisał strategię dla wydziału. Polityka kadrowa też była kreowana przez niego. Jeśli został wybrany przez społeczność, to czuł się zobowiązany do reprezentowania tych ludzi. A teraz kogo on reprezentuje? Chyba rektora, bo rektor go mianował.

Jak z perspektywy wieloletnich doświadczeń ocenia pan zmiany zachodzące w szkolnictwie wyższym?

Pierwszą reformę szkolnictwa przeżyłem jeszcze w szkole podstawowej. Zawsze powtarzam, że mam niepełne wykształcenie podstawowe, ponieważ ukończyłem tylko siedem klas. Oczywiście żartuję. Gdy byłem w siódmej klasie, zapadła decyzja, aby ci, którzy się urodzili przed pierwszym lipca, kończyli już swoją podstawową edukację, a pozostali kontynuowali naukę w ósmej klasie. Po wakacjach poszedłem do liceum plastycznego. Gdy wracałem do domu i spotykałem się z kolegami, to byłem gość, bo oni chodzili jeszcze do szkoły podstawowej. Złościli się, że to niesprawiedliwe.

Już od zarania zetknął się pan ze skutkami dosyć absurdalnej reformy szkolnictwa.

Tak, ta reforma skrzywdziła wielu młodych ludzi. W czasie gdy studiowałem i aż do roku 2005 nie przypominam sobie jakichś drastycznych zmian w szkolnictwie wyższym. Zaraz po ukończeniu studiów w poznańskiej PWSSP, podczas obławiania dyplomu magisterskiego w klubie DNO, zostałem zaproszony przez prof. Jerzego Schmidta do poważnej współpracy przy projektowaniu zespołu obiektów pod nazwą Pomnik Początków Państwa Polskiego w Gnieźnie. Były to muzeum, szkoła i aula. Praca obejmowała także nadzór budowlany, zdobyłem więc wszechstronne doświadczenie. Prof. Schmidt zaproponował mi potem, abym został asystentem i tak rozpocząłem pracę na uczelni. Istotną reformą w PWSSP były zmiany dokonane przez rektora Stanisława Teisseyre'a, który sprowadził do Poznania wielu artystów o wybitnym dorobku. Ta reforma miała jednak charakter wewnętrzny, w przeciwieństwie do zmian wprowadzanych w czasie kadencji prof. Barbary Kudryckiej.

Był pan wówczas kierownikiem niestacjonarnych studiów architektury wnętrz. Jak środowisko akademickie odbierało tę reformę?

To było dla nas wielkie zaskoczenie – cały ten system boloński, wprowadzenie studiów trójstopniowych. Środowisko się podzieliło, pamiętam burzliwe dyskusje. Niektórzy wykładowcy dostrzegali pewne korzyści dla studentów, ja jednak byłem przeciwny, gdyż uważałem, że absolwenci, którzy po trzech latach studiów opuszczają uczelnię, będą niedokształceni. Do pewnych spraw w projektowaniu trzeba dojrzeć, wiedziałem to z własnego doświadczenia. No i nasza poznańska uczelnia poddała



Przeгляд końcoworoczny na Wydziale AWiS UAP 2019

się w końcu z bólem temu dyktatowi. Wszystkie kierunki przeszły na nowy system. Natomiast krakowska akademia nie poddała się do końca, nadal prowadziła malarstwo czy scenografię jako pięcioletnie studia jednolite.

A jak pan ocenia te zmiany z obecnej perspektywy?

Najpierw byłem przekonany, że należałoby wrócić do systemu studiów jednolitych, potem zauważyłem pewne korzyści dla studentów. Po architekturze wnętrz można iść na scenografię czy na wzornictwo, a nawet na rzeźbę czy malarstwo, pod warunkiem przedstawienia odpowiedniego portfolio na rozmowie kwalifikacyjnej. To daje duże możliwości zmiany, jeśli stu-

dent pomylił się z wyborem kierunku albo dojrzał i zobaczył inną perspektywę. Ostatnio jednak znów wróciłem do pierwotnego zdania. Studenci po licencjacie często nie kontynuują studiów i w przypadku niektórych kierunków nabór na drugi stopień jest niewielki. Uczelnia traci studentów. Na Wydziale Architektury Wnętrz i Scenografii UAP akurat nie ma problemu z naborem na drugi stopień, często przychodzą do nas absolwenci studiów licencjackich z innych uczelni. Gdy byłem dziekanem, spotykaliśmy się na konferencjach z dziekanami z całej Polski i dyskutowaliśmy o organizacji studiów. Do systemu studiów jednolitych chciała wrócić np. krakowska ASP. Proponowałbym obecnym władzom uczelni, radom programowym i władzom wydziałów ponowne przyjrzenie się i rozważenie problemu, także na podstawie danych statystycznych o losach absolwentów. Studia jednolite nie stanowią bariery dla zmiany kierunku albo uczelni. Nawet w czasach gdy studiowałem, miałem na roku koleżankę, która przeniosła się do nas z Politechniki Gdańskiej, z kierunku architektura. Prof. Jerzy Schmidt był nawet zadowolony, gdyż sam był architektem. Osobnym problemem jest wprowadzenie sylabusów i punktów ECTS. Nie było dla nas jasne, jak przydzielać te punkty. Musieliśmy to rozgryźć i w końcu opracowaliśmy system, który potem udało się obronić przed Komisją Akredytacyjną. Uczyliśmy się, jak to robić, ale Komisja Akredytacyjna też. Uczyliśmy się więc wspólnie.

Ministerstwo wydawało wcześniej bardzo obszerne instrukcje napisane przedziwnym metafizykiem.

Powołaliśmy panią pełnomocnik rektora, która starała się nam to przetłumaczyć. My tego nie pojmowaliśmy, czy wręcz nie chcieliśmy pojąć. Bo dla nas liczyła się praca, projektowanie, efekt, a tu nagle pojawiło się jakieś sztuczne przypisywanie punktów – matematyka, która nas odrzucała. Ale trzeba było tę punktację wprowadzić do programów studiów, aby spełnić narzucone kryteria. Do dziś uważam, że to nie jest adekwatne do naszego myślenia o kształceniu projektowym, o wyrażaniu emocji artystycznych. Do tego przecież jesteśmy powołani, a ta cała buchalteria, te określenia „zna”, „umie”, „potrafi” są czymś sztucznym. Trzeba to jednak robić, aby nie było problemów przed Polską Komisją Akredytacyjną. Za czasów dziekanowania przeżyłem dwie wizytacje PKA. W czasie pierwszej okazało się, że jesteśmy pierwszym w Polsce wydziałem, który został poddany ocenie według nowych kryteriów. Przecieraliśmy szlaki i udało się. Za drugim razem też.

W roku 2018 pojawia się Konstytucja dla Nauki. Co pan powie na temat jej konsekwencji dla społeczności akademickiej?

Pozytywne zmiany mogą dotyczyć wielkich uczelni, jak uniwersytety czy politechniki, które jako badawcze otrzymają spe-



Prof. dr hab. **Józef Jurek** (ur. 1952 r.) – dyplom magisterski w zakresie projektowania architektury wnętrz w poznańskiej PWSSP 1976, tytuł profesora sztuk plastycznych 2002. W latach 1977-2020 zatrudniony w PWSSP – obecnie UAP. W macierzystej uczelni pełnił funkcje: kierownika Zakładu Technik Przekazu Projektowego, kierownika studiów niestacjonarnych na Wydziale Architektury i Wzornictwa, kierownika III Pracowni Architektury Wnętrz, dziekana Wydziału Architektury Wnętrz i Scenografii. W latach 1997-2010 profesor WSSU, w latach 2004-2007 profesor ASP we Wrocławiu. Od 2010 r. zatrudniony w Akademii Sztuki w Szczecinie. Autor wielu projektów wnętrz użyteczności publicznej w kraju i za granicą. Uczestnik wystaw krajowych i międzynarodowych. Członek komitetu naukowego i stały uczestnik Międzynarodowego Sympozjum Naukowego MEDEA w Grecji.

cialne środki na wsparcie rozwoju. Nie widzę natomiast specjalnych korzyści dla wyższych szkół artystycznych – tu niewiele się zmieniło, jeśli chodzi o finansowanie. Uważam natomiast, że ustawa niesie zagrożenie dla struktury uczelni, ponieważ nie mówi nic o wydziałach i dziekanach. Organami uczelni są rada uczelni, rektor i senat. Dziekan nie pochodzi z wyborów powszechnych, tylko jest mianowany przez rektora, czyli może nie mieć żadnego mandatu społeczności wydziałowej. Wiele zależy od tego, jak jest napisany statut. Jeśli dobrze, to trochę demokracji zostanie i wydziały we własnym zakresie proponują kandydata na dziekana. Ale może być tak, że społeczność danego wydziału nie będzie miała żadnego wpływu na wybór dziekana, a nawet jeśli go wskaże, to rektor nie musi przyjąć tej kandydatury. Rektor może też w każdej chwili odwołać dziekana. Gdy dziekan pochodził z wyborów powszechnych, nie można było z byle powodu pozbawić go stanowiska.

Wcześniej wszystkie wydziały miały swoją reprezentację w senacie, teraz niektóre mogą być pominięte.

Tu znowu wiele zależy od statutu. Porównam dwie uczelnie: w jednej z nich poszczególne wydziały mogą nie mieć żadnego reprezentanta, a w przypadku drugiej ze statutu wynika, że każdy wydział ma określoną liczbę przedstawicieli w senacie, liczoną według konkretnego algorytmu. Ustawa pozostawia władzom uczelni decyzję co do formy statutu, a poprzez

tę centralizację – skupienie władzy w jednym ręku wprowadza moim zdaniem dużo zamieszania. Wiem z doświadczenia, że kiedyś dziekan pisał strategię dla wydziału. Kwestia zatrudnienia, czyli polityka kadrowa, też była kreowana przez niego. Jeśli został wybrany przez społeczność, to czuł się zobowiązany do reprezentowania tych ludzi. A teraz kogo on reprezentuje? Chyba rektora, bo on go mianował. To jest wielka szkoda dla funkcjonowania poszczególnych jednostek uczelni. Wyrażnie zachwiana została zasada demokracji.

Następna sprawa dotyczy braku minimum kadrowego. Nie jest powiedziane, jakie osoby mogą tworzyć dany kierunek. Na dobrą sprawę profesora tytularnego może nie być na wydziale, jak się znajdzie jeden doktor habilitowany, to też będzie dobrze. Z czasem może dojść do tego, że w niektórych jednostkach zabraknie wysokokwalifikowanej kadry. Taka reforma nie da dobrych efektów. Poza tym od samej reformy nikomu rozumie nie przybędzie.

Jak środowisko akademickie odebrało tę reformę?

Niestety, mogłem zaobserwować, że dochodzi do antagonizmów między ludźmi i do izolacji. Zaczyna być premiowana nie tyle troska o twórczość, o własne przeżywanie sztuki, ile jakieś cwaniactwo, które polega na umiejętności zbierania punktów. Twoja wartość polega na tym, ile punktów przyniesiesz, obo-



Z pracowni AWiS w UAP

jętnie za co. Przynosisz punkty, to jesteś ktoś, jeśli przyniesiesz ich mało, to nie jesteś żaden artysta ani naukowiec, cokolwiek byś robił. To jest moim zdaniem niebezpieczne dla studentów, bo w ten sposób uczelnia pozbywa się autorytetów, ludzi z wielkim dorobkiem i doświadczeniem, którym mogą się podzielić. Mówi im się: już nie jesteście potrzebni, stawiamy na młodych, bo przyniosą więcej punktów; aczkolwiek ci starsi również przynoszą, ale nie są na tym tak bardzo skoncentrowani. Zdarzają się różne nadużycia, kombinacje, wystawa w jakiejś podrzędnej galerijce w przysłowiowej Psiej Wólce. Wejdzie artysta, postawi kawał drąga w narożniku, przyklei kartkę, powie kilka słów, wernisaż zrobią i to jest wystawa indywidualna. Na dodatek, jeśli odbędzie się tuż za granicą, to będzie wystawa zagraniczna. Można za nią uzyskać dużo punktów. Osobną sprawą jest skład komisji ewaluacyjnej – może być złożona z ludzi, którzy nie są w stanie odpowiednio zweryfikować takich działań. I tak uczelnia zmienia się w korporację. Ginie klimat właściwy uczelni artystycznej.

Przy takiej centralizacji wiele zależy od rektora, także od jego osobowości i empatii.

Studiowałem za czasów prof. Stanisława Teisseyre'a, który miał wielki autorytet, umiał z ludźmi rozmawiać, zjednać ich sobie. Dzięki tym walorom sprowadził wielu wybitnych artystów i potrafił prowincjonalną uczelnię zmienić w świetny ośrodek akademicki. Gdy rozpoczynałem pracę w PWSSP, pamiętam spotkania i wspólne dyskusje, w których brali udział prof. Stanisław Teisseyre, malarz Eustachy Wasilkowski, Zdzisław Kępiński – historyk sztuki, dyrektor Muzeum Narodowego w Poznaniu i jednocześnie kierownik pracowni, z której wyszło wielu znakomitych malarzy, włączała się też ówczesna doktor Alicja Kępińska. Tworzyła się wspólnota, klimat, atmosfera wręcz rodzinna. Jako młody człowiek byłem tym zafascynowany. Takich spotkań i rozmów już nie ma. Teraz po inauguracji czy wernisażach ludzie szybko się rozchodzą.

Był pan współtwórcą kierunku architektura wnętrz w Wyższej Szkole Sztuki Użytkowej, która stała się załącznikiem szczecińskiej Akademii Sztuki. Jakie były konsekwencje przeniesienia tego kierunku do uczelni publicznej?

W sensie osiągnięcia pewnych efektów kształcenia wielkiej różnicy bym nie widział. Pedagodzy, którzy pracowali w Wyższej Szkole Sztuki Użytkowej, przeszli razem ze studentami do Akademii Sztuki, został więc zachowany poziom i charakter kształcenia. Na pewno polepszyły się warunki lokalowe, po dwóch latach architektura wnętrz przeniosła się do Pałacu pod Globusem. Zyskaliśmy więcej przestrzeni, zatrudniono nowych pedagogów, pojawiły się nowe pracownie projektowe i artystyczne. Pojawiły się też środki na zakup nowoczesnego sprzętu audiowizualnego, świetnych komputerów Mackintosh i elementów wyposażenia pracowni. Rozwinął się program Erasmus, zwiększyła liczba kontaktów zagranicznych, choć wymiana studentów i kadry, zwłaszcza z uczelniami niemieckimi, funkcjonowała już bardzo dobrze w czasach WSSU. Niestety z częścią dawnej kadry władze niebawem się rozstały. Niektórzy pedagodzy zostali niezbyt ładnie potraktowani.

Zwłaszcza założyciele WSSU zaangażowani w powstanie Akademii Sztuki.

Tak, to były nieprzyjemne sytuacje. Część tych pedagogów osiągnęła już wiek emerytalny i po prostu ich zwolniono, bez propozycji dalszej współpracy. Ja zostałem i jestem do dziś. Studenci zyskali nieco na prestiżu uczelni publicznej, na większej intensywności wymiany, na konferencjach, gdyż taka działalność wiąże się z parametryzacją, od której zależy dotacja dla uczelni. Kiedyś, gdy wydział wypracował środki finansowe, to po prostu je otrzymywał, teraz pieniądze przydziela rektor. Znowu wracamy do centralizacji spowodowanej nową ustawą. Uczelnia państwowa ma tę zaletę czy wadę, że wymaga się od pedagogów aktywności naukowo-artystycznej. Akademia Sztuki co roku bierze udział w Międzynarodowym Sympozjum Naukowym MEDEA w Grecji. Uczestnicząc w tych sympozjach – ważny jest kontakt ze środowiskiem naukowym, artystami,

powstają publikacje, wystawy prac pedagogów i studentów, a przy okazji można zobaczyć trochę wspaniałych zabytków.

W listopadowym „Forum Akademickim” dr Didar Gardy wspomina o pracy polskich architektów na Bliskim Wschodzie. Pan także, jako projektant, wyjeżdżał do Iraku. Jakie są pana wrażenia związane z tą współpracą?

Na kontrakt do Iraku wyjechałem w lipcu 1990 roku, w okresie szalejącej inflacji, która pochłaniała nasze zarobki. Wziąłem w tym celu roczny bezpłatny urlop na uczelni. Okazało się, że szef rządowego biura projektowego w Bagdadzie ukończył architekturę i zrobił doktorat na politechnice w Warszawie. Znał więc Polaków i wiedział, co potrafią, dlatego zdecydował się sprowadzić polskich pracowników. W latach osiemdziesiątych w Iraku pracowało wielu Polaków – budowali drogi, elektrownie, cukrownie i inne obiekty. W biurze rządowym zatrudnieni byli w większości Polacy. Projektowaliśmy wnętrza wzniesionego już budynku parlamentu irackiego, a w pewnym momencie otrzymałem nawet ofertę zaprojektowania wnętrza pałacu Saddama Husajna. Z Politechniki Bagdadzkiej przyniesiono mi makietę i rzuty wnętrza. Pojechałem na wizję lokalną. Pałac miał stać na sztucznie usypanej górze, otoczonej sztucznym jeziorem, nieopodal historycznego Babilonu. Zastanawiałem się, co zawiera wnętrze góry, być może znajdował się tam schron przeciwatomowy. Zdążyłem zrobić kilka szkiców. Powiedzieli mi, że są dobre, ale za mało pompatyczne. Wyjeżdżając do Iraku, chciałem zdobyć wiedzę o tym, jak wygląda nowoczesne projektowanie. Działali tu świetni architekci z całego świata i nie było problemu z dostępem do najdroższych materiałów. Tymczasem się okazało, że trzeba projektować w konwencji kultury arabskiej: ornamenty mogły być tylko zgeometryzowane, bez jakichkolwiek przedstawień postaci ludzkich. Spotkałem się też z pewnym zamiłowaniem do tandety. Taka robota mi nie odpowiadała, cierpiałem z tego powodu.

Trudne doświadczenie dla projektanta.

Szef biura dał mi jako przykład katalogi różnych współczesnych realizacji w krajach arabskich. Było to pomieszanie stylów – jakieś pseudorokoko z pseudobarokiem i różnymi formami architektury arabskiej. Coś okropnego, byłem załamany. Zacząłem jednak projektować gigantyczny stół obrad do parlamentu. Każdy projekt trzeba było zatwierdzić u szefa. A szef popatrzył i mówi: – Bardzo dobrze. Potem zaprojektowałem strop podwieszany i za dwa tygodnie przyjechał fragment wykonany przez niemiecką firmę w skali jeden do jednego. Nie miałem większego problemu z ornamentami arabskimi prawdopodobnie dlatego, że geometria była mi bliska, zawsze się nią interesowałem. W szkole średniej wyszukiwałem w podręczniku zadania, których nie da się rozwiązać, bo zawierały błędy. W ornamentach ukryte były też motywy roślinne. Nie dosłowne, tylko przekształcone, podporządkowane pewnej zasadzie i logice prowadzenia linii. Takie motywy wykonane w technice sgraffito projektowałem w gipsowym stropie. Zostały od razu zatwierdzone. Rozmawialiśmy później z moim kolegą, który jak ja pochodzi z gór, o tym, że motywy roślinne zawierały w sobie coś z ornamentyki góralskiej, a tę odczuwam intuicyjnie. Koledzy z biura projektów zaczęli mi sugerować, że władze nieprędko wypuszczą mnie z Iraku. Po miesięcznym pobycie otrzymałem tzw. rezydentkę, rodzaj dowodu osobistego, którym mogłem się legitymować. Okazało się jednak, że żeby wyjechać, trzeba mieć iracką wizę wyjazdową, a nie tak łatwo było ją otrzymać. Po dwóch miesiącach mojej pracy wybuchła wojna w Iraku,

zainicjowana przez Georga Busha seniora. Zaczęła się panika, chcieliśmy wyjechać, a szef mówił: O co panu chodzi? Przecież tu nic się nie dzieje. Tymczasem helikoptery przewoziły działa przeciwlotnicze, które umieszczono na dachu parlamentu, a nas przy wejściu poddawano szczegółowemu kontrolem. Przyszły upały, temperatura w cieniu przekraczała 50 stopni. Dwukrotnie odmówiono mi wydania wizy. Nie wiem, jak potoczyłyby się moje losy, gdyby nie to, że za pośrednictwem Radia Wolna Europa otrzymałem od żony informację o śmierci ojca. W tym czasie nie mieliśmy już żadnego kontaktu z Polską. Telefony były odcięte, a przestrzeń powietrzna zamknięta. Początkowo myślałem, że to jakiś chwyt mojej rodziny, aby mnie wyciągnąć z Iraku, ale informacja niestety okazała się prawdziwa – otrzymałem jej pisemne potwierdzenie z polskiej ambasady. Dopiero wówczas, choć z oporami, wyrażono zgodę na wyjazd do Ammanu w Jordanii, dokąd zabrały nas autokary. Jechaliśmy 24 godziny przez pustynię. Gdy przyjechałem do Polski, zaraz musiałem udzielić wywiadu dla prasy. Głód informacji na temat losu Polaków pracujących w Zatoce Perskiej był wówczas ogromny. To była dla mnie ciekawa przygoda.

Po powrocie wreszcie mogłem zająć się tym, co oprócz dydaktyki pociąga mnie najbardziej, a mianowicie prawdziwym projektowaniem architektury wnętrza. Był to okres prosperity w tej dziedzinie. Samodzielnie i z różnymi zespołami projektowymi, a najczęściej z obecnym profesorem Eugeniuszem Matejką, wykonałem wiele projektów wnętrza użyteczności publicznej: około trzydziestu banków, restauracje, puby, które były realizowane w Polsce i za granicą, m.in. w Bułgarii i Niemczech. Projektowałem dużo wnętrza mieszkalnych dla indywidualnych odbiorców, zajmowałem się wystawiennictwem, designem, a także wnętrzami sakralnymi. W kościele p.w. Nawrócenia św. Pawła w Poznaniu realizowałem wnętrza i detale w architekturze, którą zaprojektował mój promotor, profesor Jerzy Schmidt, a po jego śmierci kontynuowałem dzieło. Zawsze istotne i ważne było dla mnie rozumienie architektury, bo można projektować wnętrza komercyjne pod gust klienta, ja jednak zawsze starałem się projektować tak, żebym sam był przekonany do tego, co tworzę. Architektura musi być po prostu dobra.

Rozmawiała Krystyna Matuszewska



Przeгляд końcoworoczny na Wydziale AWIS UAP 2019



Mariusz Karwowski

Nadmorskie asy

Fot. Dominik Kalamus

Przed sezonem nie mieli aż takich ambicji. O pokonaniu Uniwersytetu Warszawskiego, który zwyciężał w trzech ostatnich edycjach, nawet nie marzyli. Plan zakładał wygraną w klasyfikacji uczelni technicznych. Wszystko zmieniło się po wznowieniu rywalizacji zawieszanej na czas pierwszego lockdownu.

Złoty medal dla Politechniki Gdańskiej w koszykówce mężczyzn 3x3 chyba najlepiej oddaje przebieg tego szalonego sezonu. Do rywalizacji w debiutującej w Akademickich Mistrzostwach Polski dyscyplinie stanęło 19 drużyn. Zamiast na wiosnę rozstrzygnięcia zapadły dopiero pod koniec sierpnia. Koronawirus przetrzebił też składy niektórych ekip. Ta, która miała okazać się najlepszą, z uwagi na zakażenie jednego z zawodników i kwarantannę pozostałych o mały włos w ogóle by nie wystąpiła. W porę udało się jednak skompletować rezerwowych, którzy... odegrali pierwszoplanowe role. Podobnie zresztą jak ich uczelniane koleżanki.

– Nie po to po latach założyłem buty do koszykówki, by nie wygrać tego turnieju – przyznał zaraz po dekoracji jeden z „zastępców”, Piotr Renkiel.

Ta odmiana koszykówki, zwana również uliczną, w której gra się mniejszą piłką i na mniejszym boisku, a zespół ma tylko 12 sekund na akcję, była jedną z 48 konkurencji ostatnich AMP-ów. Studenci Politechniki Gdańskiej jako jedyni wystąpili we wszystkich. To w połączeniu z uzyskanymi wynikami dało im pierwszy w historii triumf w całym cyklu. Przed sezonem nie mieli aż takich ambicji. O pokonaniu Uniwersytetu Warszawskiego, który zwyciężał w trzech ostatnich edycjach, nawet nie marzyli. Plan zakładał wygraną w klasyfikacji uczelni technicznych. Wszystko zmieniło się po wznowieniu rywalizacji zawieszanej na czas pierwszego lockdownu.

– Rzeczywiście regulamin, który tym razem premiował regularność, wyjątkowo nam sprzyjał. Podczas gdy część uczelni rezygnowała z niektórych startów, my braliśmy udział we

wszystkich. Kluczowy był trójbój siłowy, w którym pod nieobecność najgroźniejszych rywali, wygraliśmy dubletem. Choć moment był trudny – studenci wyjechali na wakacje, do pracy... – postanowiliśmy nie wypuścić danej nam szansy – wspomina Andrzej Bussler, prezes AZS PG.

Kopciuszek znad morza

Mobilizacja przyniosła skutek. Ekipa znad morza była najlepsza w siedmiu dyscyplinach, w tym po raz siódmy z rzędu (!) w żeglarstwie, i dołączyła do elitarnego grona zwycięzców AMP-ów. Od 2008 roku, czyli od momentu gdy zmaganiom studentów nadano obecną formułę, zwyciężały tylko dwie uczelnie: Uniwersytet Warszawski (ośmiokrotnie) i Akademia Górniczo-Hutnicza (trzy razy). Przy nich Politechnika Gdańska to prawdziwy kopciuszek. Budżet klubu to ok. pół miliona zł. Spośród 22 tys. studentów do AZS należy około pięćciuset. Drugie tyle trenuje, tyle że bez legitymacji członkowskiej. Najwięcej wywodzi się z Wydziału Inżynierii Lądowej i Środowiska. Każdy nowo przyjęty składa na początku deklarację, jaki sport chciałby uprawiać. To nie musi być wybór na całe studia. Prezes AZS PG wspomina zawodnika, który z racji warunków – miał przeszło dwa metry wzrostu – grał w koszykówkę. W pewnym momencie zniechęcił się i spróbował ergometru wiosłarskiego. Po ledwie dwóch i pół roku treningów pojechał na AMP-y i... wygrał, pokonując bardziej od siebie doświadczonych.

– Studenci, którzy należą do klubu, nie muszą chodzić na zajęcia dydaktyczne ze swoją grupą, mają oddzielne treningi.

Jeśli ktoś trenuje w klubie poza AZS, to też jest zwolniony z wuefu, ale stawiamy jeden warunek: musi być do naszej dyspozycji, gdy odbywają się zawody, w których bierze udział uczelnia – dodaje Bussler.

Studenci mogą wybierać spośród 24 sekcji, z których najpopularniejsze to: piłkarska (42 członków), lekkoatletyczna (38) i siatkarska (22). W 2017 roku, po trzech dekadach, reaktywano jedną z najmłodszych (obok szachowej) – sekcję brydżową.

– Kiedy studiowałem, granie w brydża było czymś niesamowicie modnym. W gdańskim klubie „Kwadratowa” różnieliśmy w karty od rana i to z błogosławieństwem władz rektorskich – wspominał niedawno na naszych łamach opiekun sekcji dr Marek Małyś. – Brydż rozwija umiejętności i kompetencje, które studentom pomagają w nauce. Uczy zarządzania, logicznego myślenia, stąd *gros* karciarzy mamy z elektroniki i informatyki, bo to najbardziej zmateryalizowany kierunek techniczny. Udowodniono, że brydżyci w nauce osiągają lepsze wyniki od tych, co nie grają – przekonuje.

Po amerykańsku

Zapewne nie bez znaczenia przy wskrzeszaniu sekcji był też fakt, że ówczesny rektor, prof. Jacek Namieśnik, należał do zapalonych brydżystów. Obecny, prof. Krzysztof Wilde, w przeszłości łyżwiarz figurowy, też nie zaniedbuje sportowców. Śledzi wyniki, kibicuje, dzwoni z gratulacjami po każdym sukcesie. Uzyskanie przez PG statusu uczelni badawczej

zdingowało sportowców, chcieli też dołożyć swoją cegiełkę. Jak opowiada szef AZS PG, rektor stara się zaszczepić u studentów amerykańskie wzorce. Tam łączenie nauki i sportu to rzecz naturalna. Nie trzeba być od razu mistrzem, wystarczy, że jest się aktywnym, że się startuje, reprezentuje uczelnia – za to są dodatkowe punkty. W PG dodatkowo także stypendium. W ostatnim roku otrzymało je 142 żaków. Wśród nich Izabela Satrjan.

– Moją pasją są żagle, na których pływam od ósmego roku życia. Na studiach dołożyłam do tego kolarstwo górskie, które pozwala mi na aktywność w okresie zimowym, oraz ergometr wiosłarski dla wzmocnienia wydolności – wylicza studentka III roku oceanotechniki na Wydziale Inżynierii Mechanicznej i Okrętownictwa.

Jakby tego było mało od roku trenuje też kitefoiling, czyli najszybszą regatową klasę na świecie. I już wygrywa, m.in. mistrzostwa Włoch. Jest w kadrze narodowej, ma szansę pojechać na igrzyska w Paryżu i poprawić wynik ostatniej olimpijki z Politechniki Gdańskiej. W 2012 roku w Londynie judoczka Daria Pogorzelec zajęła 7 miejsce. Satrjan przyznaje, że przy wyborze uczelni decydujące dla niej były właśnie warunki do uprawiania sportu.

– Ucieszyłam się, że jest tyle sekcji, w których można rozwijać swój talent. Fajnie, że uczelnia daje też wsparcie, czy to finansowe, czy organizacyjne – gdy wyjeżdżam na regaty, to nie mam problemów z przekładaniem egzaminów – mówi zawodniczka, która w ubiegłym roku spędziła na wodzie ponad 350 godzin.

Fot. AZS PG



Jak wieść gminna niesie...

Politechnika dysponuje również znakomitą bazą, jedną z lepszych wśród ośrodków akademickich. Do dyspozycji studentów są: dwa baseny (25- i specjalny, 15-metrowy, z ciepłą wodą, do nauki pływania), pełnowymiarowe boisko piłkarskie ze sztuczną nawierzchnią, nowo wyremontowana hala do gier zespołowych, hala tenisowa, ścianka wspinaczkowa, sala judo, do aerobiku, siłownia. Ewenementem na skalę kraju jest... basen wioślarski. Nic dziwnego, że nawet studenci z Erasmusa (jest ich na Politechnice blisko 120) pytani o to, co ich skusiło do przyjazdu do Gdańska, najczęściej wymieniali infrastrukturę.

– Mamy wielu studentów z Hiszpanii, wiadomo jak ważna jest dla nich piłka. Możliwość trenowania na sztucznej nawierzchni, niezależnie od pogody, przez cały rok, to duży plus. Oni później wracają do siebie, informują innych i wieść o nas się niesie – mówi Bussler, który w czerwcu został wybrany na prezesa na kolejną, trzecią już kadencję.

Od samego początku stawia na masowość. Jest przeciwnikiem ściągnięcia do klubu gwiazd, sportowców z uznanym nazwiskiem. Woli stawiać na swoich. Bardziej docenia wysiłek i pracę wkładane w regularny trening pod okiem świetnych instruktorów, m.in. trzykrotnej olimpijki, pływaczki Alicji Pęczak, reprezentantki Polski w koszykówce Małgorzaty Czerlonko, mistrzyni kraju w skoku wzwyż Karoliny Gronau-Karendys czy mistrza Polski w piłce ręcznej Krzysztofa Kaszuby, pełniącego obecnie funkcję dyrektora Centrum Sportu Akademic-

kiego PG. W tym gronie są także dwaj szkoleniowcy reprezentacji: Kazimierz Rozwadowski (koszykówka 3x3) i Piotr Buliński (wioślarstwo).

– Niektórzy wychodzą z założenia, że gdy nie ma chętnych do danej sekcji, to należy dać sobie spokój. My poszliśmy w innym kierunku. Staramy się motywować studentów, wysyłać ich na zawody i mimo początkowych niepowodzeń, mimo odległych miejsc z czasem obserwujemy, że ich wyniki są coraz lepsze. Z radością się na to patrzy.

Podaje przykład trójboistów, którzy przychodząc na uczelnię, nie mieli wcześniej w ogóle do czynienia z tą dyscypliną. Spróbowali i tak się wkręcili, że w AMP-ach nie ma na nich mocnych. Podobnie jest z narciarstwem alpejskim, w którym studenci znad morza wygrywają z „góralami”. Systematyczna praca prowadzona od lat na politechnice przyniosła owoce w tym pandemicznym sezonie, w którym trzeba było mieć szeroką wyrównaną kadrę, a nie pojedynczych mistrzów. Historyczne zwycięstwo w AMP-ach to znakomita uwertura do zaplanowanych na ten rok obchodów jubileuszu stulecia gdańskiego AZS. To właśnie w Wyższej Szkole Technicznej (późniejszej Politechnice) organizował się sport akademicki w Gdańsku, mającym wówczas status Wolnego Miasta. W trudnym okresie germanizacji poprzez sport manifestowano łączność Gdańska z macierzą. Trenowali wówczas wioślarze, lekkoatleci, tenisiści, ping-pongiści, strzelcy, narciarze, siatkarze, koszykarze, piłkarze, motocykliści, bokserzy i żeglarze... Będzie co wspominać!

Fot. AZSPG



Czytelnia czasopism

Pomaga, chroni, mediuje

Academic ombudsman, czyli rzecznik akademicki, to funkcja od lat istniejąca na wielu światowych uczelniach. W Polsce pojawiła się stosunkowo niedawno za sprawą zapisów Ustawy 2.0. O tym, jakie wyzwania czekają osobę piastującą tego rodzaju stanowisko, opowiada w rozmowie z miesięcznikiem



Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach „Gazeta Uniwersytecka US” (nr 9/2020) pierwszy w historii tej uczelni rzecznik praw i wartości akademickich, prof. dr hab. Jacek Górecki.

Do jego podstawowych zadań należy ochrona praw oraz interesów pracowników uniwersytetu. W praktyce oznacza to podejmowanie czynności w przypadku, kiedy ktoś jest przekonany, iż doznał krzywdy ze strony swoich

przełożonych, niezależnie od szczebla władzy, na jakim się oni znajdują. Rzecznik jest bowiem organem mającym prawo do kontrolowania wszystkich, w tym także rektora. Co istotne, nie musi czekać na oficjalne zgłoszenie. Może, a nawet powinien reagować z urzędu zawsze, gdy dostrzeże jakiegokolwiek przejawy nieprawidłowości. Wszelkie symptomy mobbingu i molestowania, ale też dyskryminowania czy naruszania praw autorskich, to obszary zainteresowania rzecznika. Ważne, by w przypadku potwierdzenia nieakceptowanych praktyk, podkreśla prof. Górecki, starać się nie dopuścić do zaognienia spornej sytuacji. Dlatego na początku zawsze warto sięgać do prób mediacji lub proponować zawarcie ugody, a sprawy karne lub dyscyplinarne traktować jako ostateczną konieczność.

Rzecznik ma także do wypełnienia rolę edukatora, który informuje, przypomina, zachęca i uwróżliwia na stosowanie zasad etycznego zachowania w ramach wspólnoty akademickiej. Powołany na pięcioletnią kadencję, musi być także, co do zasady, instytucją pod każdym względem niezależną, czy to od strony prawnej, organizacyjnej, czy finansowej. Tylko w takim przypadku może odpowiedzialnie realizować postawione przed nim zadania.

Wygląd jednak ma znaczenie

Publikowanie naukowe, zwłaszcza w modelu otwartym, opierać się powinno na szeregu precyzyjnych standardów.



Te ostatnie przygotowane zostały przez trzy międzynarodowe organizacje: The Committee on Publication Ethics, the Open Access Scholarly Publishers Association oraz the World Association of Medical Editors. Praktycznemu wdrażaniu rekomendowanych rozwiązań na rodzimym gruncie przygląda się czasopismo Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie „e-Mentor” (nr 4/2020).

W kręgu zainteresowań Natalii Pamuły-Cieślak, naukowcyni i jednocześnie autorki artykułu, znalazły się wityrny internetowe czasopism naukowych zamieszczonych na trzech największych polskich uniwersyteckich platformach wydawniczych. Pod lupę wzięta została Akademicka Platforma Czasopism, Portal Czasopism Naukowych oraz PRESsto, Platforma Otwartych Czasopism Naukowych. Przeprowadzone badanie miało na celu zweryfikowanie stopnia zgodności ośmiu z szesnastu przygotowanych rekomendacji. W trakcie całego procesu analizie poddano zagadnienia związane z uwidocznieniem zarówno celu, jak i zakresu publikacji, z jasnością opisu, a także z przejrzystością podawania informacji dotyczących redakcji, struktury właścicielskiej i danych o organie zarządzającym czasopismem. Przyjrano się ponadto czytelności ujawniania reguł etyki wydawniczej oraz standardom zamieszczania wiadomości o pobieranych od autorów opłatach. Z badania wysnuto konkluzję, że nie można ograniczyć się do publikowania wartościowych treści, ale należy także dbać o ich odpowiednie wyeksponowanie.

Przywrócić radość z nauki

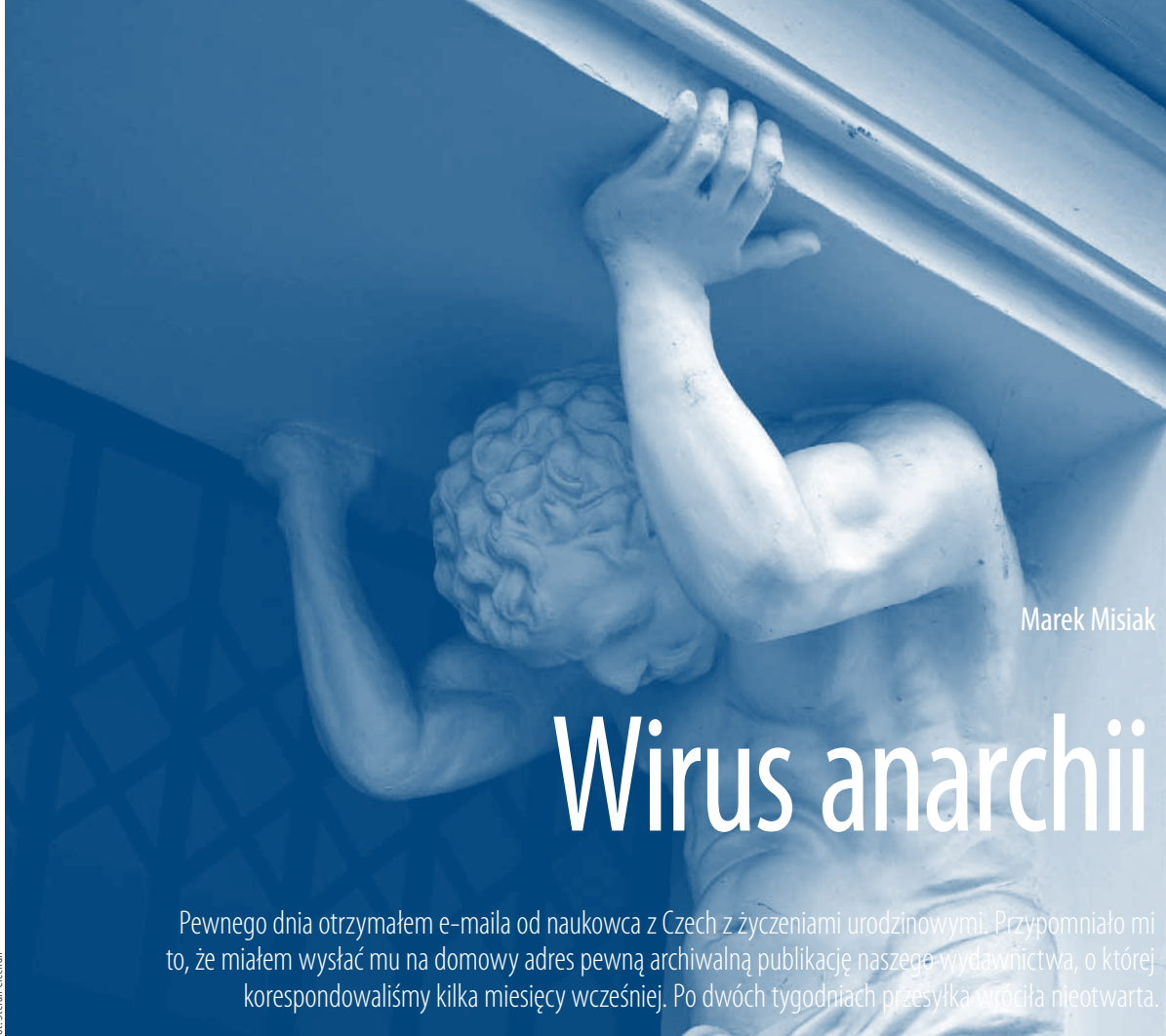
Wykształcenie ma wartość. Zarówno ekonomiczną, jak i społeczną. Wszyscy wiedzą, że odpowiednio wyedukowane kadry oznaczają zwiększenie efektywności poszczególnych systemów gospodarczych. Nie inaczej wygląda to w przypadku branży lekarskiej, która jak każda inna, poddana została procesom modyfikacji, stając się tym samym przedmiotem międzynarodowej konkurencji. Jaka przyszłość czeka sektor szkolnictwa wyższego, szczególnie w obszarze kształcenia medyków,



zastanawia się czasopismo Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego „Medycyna Dydaktyka Wychowanie” (nr 7-8/2020).

Zmiany w organizacji dotychczas funkcjonujących systemów szkolnych powinny zmierzać w kierunku zwiększania ich powszechności, wielostopniowości i wielokierunkowości. Nowoczesna edukacja ma nosić znamiona demokratyczności, ciągłości, elastyczności i nastawienia na indywidualizację. Aby można było wprowadzić w życie te korzystne warianty, niezbędne jest posiadanie dobrze przemyślanej strategii dydaktyczno-wychowawczej. Postawić należy na wybór odpowiednich metod dydaktycznych, w sposób szczególnie uwzględniając konieczność rozwijania modelu kształcenia ustawicznego, który jest tym bardziej istotny, jeśli weźmie się pod uwagę fakt, że absolwentowi medycyny pod koniec jego pracy zawodowej przydaje się jedynie ok. 13% wiadomości i umiejętności nabytych w trakcie studiów. Przyszłość należeć ma do swobodniejszego niż obecnie oraz bardziej indywidualnego trybu nauczania. Docelowo chodzi o to, by nabywanie wiedzy stało się twórczym procesem, a nie wyłącznie formalnością wymagającą zaliczenia.

Aneta Zawadzka



Marek Misiak

Wirus anarchii

Pewnego dnia otrzymałem e-maila od naukowca z Czech z życzeniami urodzinowymi. Przypomniało mi to, że miałem wysłać mu na domowy adres pewną archiwalną publikację naszego wydawnictwa, o której korespondowaliśmy kilka miesięcy wcześniej. Po dwóch tygodniach przesyłka wróciła nieotwarta.

Mój ojciec, przez wiele lat także publikujący na łamach FA, śpiewał mi do snu – czy raczej nucił, żeby niski, męski głos mnie ukołysał – nie tylko typowe kołysanki, ale także piosenki Wolnej Grupy Bukowina. Pamiętam to jak przez mgłę, musiałem być wówczas bardzo mały: pogrążony w mroku ciasny pokój, wzdłuż ścian błyszcząca płyta pilśniowa peerelowskich meblościanek, zielona poświata wyświetlacza wieży stereo, ja zakopany w ciepłej pościeli. Najlepiej usypiała mnie piosenka *Łabędzi puch*, mająca sporo z kołysanki: „Lecz ty / ty chwilo trwaj / niezmiennie kołysz mnie / bezsennie kołysz mnie / za ścianą pijany świat / w koło kręci się / różowy tęczy wiat niesiony wiatrem mknie / lekki łabędzi puch / i ja”.

Pracując w wydawnictwie naukowym, można się momentami poczuć trochę jak podmiot liryczny tej piosenki: wokół wspólnota naukowców rywalizuje, kto pierwszy wynajdzie uniwersalne lekarstwo na raka czy opracuje teorię wszystkiego, przez świat przechodzą kryzysy finansowe, pandemie i wszelkie inne dopusty Boże, a ja siedzę w oku tego cyklonu i szczytem stresu bywa rozlanie kawy na klawiaturę. Poziom obciążenia psychicznego i chaosu w danej pracy może się mieć nijak do faktycznego znaczenia danego stanowiska. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że niektórzy szczególnie zestresowani pracownicy korporacji w gruncie rzeczy handlują dymem (idiom z argentyńskiej odmiany hiszpańskiego) i przelewają z pustego w próżne. To, co robię, ma jednak jakieś znaczenie (przynajmniej w oczach autorów tekstów, które redaguję), natomiast na korytarzach i w pokojach panuje nieco nierealna atmosfera niewymuszonego skupienia i czasu odkształcającego się jak zegary na obrazach Dalego. Do momentu, gdy wtargnie wirus, ale nie COVID-19, lecz wirus anarchii. Stres jest w moim zawodzie zjawiskiem dość rzadkim, absurd natomiast – nadspodziewanie częstym.

Spływają do nas prace z całego świata: od Chin, Japonii i Malezji, poprzez Bliski Wschód, całą Europę, USA, Kanadę, Amerykę Łacińską, aż po Australię. 99% tych naukowców znamy tylko z e-maili, ale mimo to, pracując nad tekstem, można nawiązać także – luźne, lecz jednak – prywatne relacje. Bezcenne jest też poczucie aktywnego uczestnictwa w globalnej wiosce – Jordańczycy, Izraelczycy, Brazylijczycy, Meksykanie – a wszyscy piszą właśnie do mnie (szkoda, że czasem z pretensjami). Niekiedy stereotypy się potwierdzają: Japończycy są z reguły uprzedzająco grzeczni, Chińczycy prawie zawsze występują w dużych zespołach, Włosi bywają chaotyczni, natomiast jeden z tureckich badaczy z uwagi na władczy sposób wyrażania się zyskał u nas pseudonim „Sułtan”. Czasami jednak się przekonuję, jak schematyczny jest mój ogląd świata.

Randka w Teheranie

Prace nad pewnym artykułem stworzonym przez badaczy z Teheranu mocno się przedłużały. Osoba do korespondencji nosiła nic Polakom niemówiące imię Azhar. Któregoś dnia szykowałem się już do wyjścia z bura, gdy nagle zadzwonił służbowy telefon.

- Wydawnictwo XYZ, redaktor Marek Misiak, słucham.
- Greetings, Professor – głęboki kobiecy głos z lekkim przydechem. – Do you speak English?

Dzwoniła dr Azhar – nie miało to znaczenia, więc nawet nie pomyślałem, że to może być kobieta, do tego młoda. Rozmowa o artykule nieoczekiwanie przerodziła się we... flirt. Gdy już wszystko omówiliśmy, a pani doktor dodała mnie do znajomych na Facebooku, spytała, czy planuję w najbliższym czasie wpaść do Teheranu.

- Jeśli Bóg pozwoli, pani doktor, to oczywiście.

– Proszę wtedy dać znać. Pójdziemy na kawę, pokażę panu miasto...

Gdy tylko odłożyłem słuchawkę, pomyślałem o Gwardii Strażników Rewolucji i musiałem założyć polar, bo zrobiło mi się zimno.

Jaki ten świat mały

Inny problematyczny artykuł, inny zespół badaczy – tym razem z uniwersytetu prowincji KwaZulu-Natal w Pietermaritzburgu (RPA). Druga półkula, szanse, że kiedykolwiek zobaczą na żywo choćby płot wokół kampusu, są bliskie zeru. Koresponduję z autorką, jak wynika z licznie publikowanych w sieci zdjęć – białą Afrykanerką. W którymś momencie telefon:

- Do you speak English?
- Nawet trochę w afrikaans, jeśli wola.
- Nie jestem pewna, czy nowe wersje wykresów będą dobre.
- Proszę przesłać, omówimy to.
- Zaraz... W sumie po co dzwonić...

Ostatnie słowa usłyszałem... na żywo. Zamarłem. Doktor van Stadens (nazwisko zmienione) z przeproszającym uśmiechem wkroczyła do pokoju i wyciągnęła rękę na powitanie.

– Ach, tak pan wygląda... Myślałam, że jest pan wyższy. Przyniosłam wydruki wykresów. Może pójdziemy do kantyny na kawę i je obejrzymy?

Cały świat chce mnie pić kawę, najpierw Iran, teraz RPA. Jutro Japończycy przysła dronem animowane latte z Tokio. Obejrzałem w sieci kilka zdjęć doktor van Stadens, ale nie sprawdziłem, że od trzech miesięcy robi specjalizację... w Polsce, na tej samej uczelni, na której pracuję. Koledze, który dopytywał, kto to mnie nachodzi, odpowiedziałem, że na parkingu podziemnym są drzwi prowadzące bezpośrednio do RPA.

Ma pan krew na rękach

Mimo że pracuję na uczelni medycznej, pierwszej pomocy umiem udzielać dlatego, że co jakiś czas przechodzę niezbędne szkolenia, a nie dlatego, że działa na mnie genius loci. Szczytem medycyny praktycznej w pracy jest dla mnie opatrywanie plastrzem palca przypadkowo przytraśniętego kłapą kserokopiarki. Raz jednak sytuacja zbliżyła się w pewnym stopniu do *Ostrego dżururu*. Chociaż nie, raczej do *Daleko od noszy*.

Ktoregoś dnia za moimi plecami otworzyły się drzwi. Dobrze, że byłem sam, bo do pokoju wtoczył się... mężczyzna z zakrwawioną twarzą.

- Szeffie, nie wie pan, gdzie tu robią obdukcje?

Rzecz jasna zaprowadziłem pana, gdzie trzeba. Odpowiednie wejście do sąsiadującego z nami kompleksu klinik znajduje się sto metrów od wejścia do naszego budynku. Gdy wróciłem, spotkałem na korytarzu koleżankę.

- Marek, co ty masz na rękach? Krew?

Pomagając poszkodowanemu mężczyźnie, kilka razy dotknąłem jego kurtki, która najwyraźniej także była zakrwawiona. Poszedłem do łazienki. Gdy myłem ręce, wszedł kolega.

- Czy ty myjesz ręce z krwi, czy mi się wydaje?
- Spokojnie, to nie moja krew.

Po tym zdarzeniu przez pewien czas mnie unikał, nie wiem, czemu.

Autor-widmo

Opłata za publikację (700 euro) powinna stanowić zapórę chroniącą wydawane przez mojego pracodawcę czasopisma przed niepoważnymi autorami. Tyle teoria. Co najmniej raz ewidentnie otarłem się jednak o próbę przekrętu i to takiego w stylu bardziej dalekowschodnim (firma brata szwagra kuzyna plus oszustwa internetowe).

Ten artykuł był naprawdę dobry – obie recenzje pozytywne, autorzy sprawnie wprowadzili wszystkie wskazane przez recenzentów zmiany, redakcja językowa także przebiegła bez tarć. Przyszedł czas, by zapłacić i... fabuła zaczęła przypominać powieść Johna le Carrégo. Na początek autor spytał, czy mogą zapłacić w bitcoinach. Gdy się okazało, że nie, czy przelew może pójść z mikrofirmy z Szanghaju zajmującej się bliżej niezidentyfikowanym importem-eksportem. Przesłali nawet dane do faktury proforma. Wszystko było zapisane mandaryńskimi ideogramami, które nie poddają się przekładowi przy użyciu narzędzi dostępnych w sieci (a jeśli nawet, to rezultat jest bezużyteczny). Dopiero po kilku monitach przyszła wersja po angielsku. Wrzuciłem podany adres firmy-nadawcy przelewu do wyszukiwarki. Okazało się, że budynek na tej posesji został zburzony dwa lata wcześniej, a obecnie na tym miejscu powstaje apartamentowiec. Dramaturgii całej sytuacji dodał fakt, że na uczelni, przy której afiliowany jest autor, pracują trzy osoby, których imiona i nazwiska w angielskiej transkrypcji brzmią jak personalia naszego autora – chińskie ideogramy są inne, bo to inne imiona i nazwiska, różnice między którymi są nie do oddania w językach europejskich (dwie z tych osób to mężczyźni, jedna – kobieta). I co najważniejsze: żadna z nich nie ma podanej przez autora specjalności. Autor nie podał ORCID-u (nie było jeszcze wówczas takiego wymogu). Po dłuższej korespondencji z uczelnią udało się ustalić, o kogo chodzi. W momencie składania artykułu u nas autor jeszcze tam pracował, ale już w trakcie prac nad tekstem się zwolnił, a jego nowe miejsce pracy nie jest uczelni znane. W międzyczasie adres e-mailowy autora przestał być aktywny i wszelki kontakt urwał się aż po dziś dzień. Do teraz nie wiem, jak autor dokładnie się nazywa w zapisie innym niż mandaryński, jak wygląda i jakiej jest płci. Wszystkie strony www, z których ewentualnie mógłbym się tego dowiedzieć, są tylko po chińsku. Osób o imieniu i nazwisku tak zapisywanym w angielskiej transkrypcji jest w Chinach około trzystu tysięcy.

Jeśli była to próba wyprania pieniędzy przez triady, to nie chcę nic wiedzieć, bo mnie też może się coś przytrafić.

Listy martwego człowieka

Na koniec drobne zdarzenie o metafizycznych konotacjach. Pewnego dnia otrzymałem e-maila od naukowca z Czech z życzeniami urodzinowymi. Przypomniało mi to, że miałem wysłać mu na domowy adres pewną archiwalną publikację naszego wydawnictwa, o której korespondowaliśmy kilka miesięcy wcześniej. Po dwóch tygodniach przesyłka wróciła nieotwarta. W pierwszej chwili pomyślałem, że pomyliłem się w adresie. Spojrzałem na grubą, bąbelkową kopertę i... poczułem, jakby za moimi plecami przeszło coś nieokreślonego (najlepiej pasowałby tu angielski przymiotnik spectral). Niewielki czerwony stempel głosił: Adresat zemřel. Myślę, że tłumaczenie nie jest zbędne.

Zasięgnąłem informacji na Uniwersytecie Karola w Pradze – czeski badacz zmarł nagle trzy miesiące wcześniej, a mieszkał sam. E-mail został wygenerowany przez program pocztowy na podstawie wprowadzonych dużo wcześniej dat urodzin osób z książki adresowej. Jednak pewien niepokój pozostał. Może taka właśnie nieśmiertelność nas czeka – boty będą przypominały żyjącym, że kiedyś byliśmy wśród nich. Coś jak zaświaty w starożytnych religiach: Szeol, Hades, Erebus, Irkalla. Bezczasowa egzystencja cieni niepamiętających, kim były wcześniej. Egzystencja botów, awatarów, nicków i kont. Napisałem do administratora i pomyślałem o nagrobku, który kiedyś widziałem na cmentarzu na południu Francji: imię i nazwisko zmarłego, data urodzin i śmierci, a pod spodem „Bonne chance, mon vieux!” – „Powodzenia, stary!”.



Łukasz Sznajder

Biało-czerwone szczepionki

Nanoprzeciwciała dopiero od niedawna testuje się jako potencjalne leki. Dotychczas nikt jeszcze nie wykorzystał połączenia bakteriofag-nanoprzeciwciała do walki z wirusami ludzkimi. Jesteśmy pionierami.

Od roku cały świat zмага się z koronawirusem SARS-CoV-2. Jak dotąd, najbezpieczniejszą drogą nabycia odporności przeciw wywołanej przez niego chorobie COVID-19 są szczepienia. Do użytku dopuszczono już kilka szczepionek mRNA. Ale prace nad kolejnymi prowadzone są w blisko dwustu ośrodkach badawczych. Biorą w nich udział również polscy naukowcy.

Aktywować limfocyty

Prof. Danuta Gutowska-Owsiak z Międzyuczelnianego Wydziału Biotechnologii Uniwersytetu Gdańskiego i Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego oraz Jonathan Heddle z Małopolskiego Centrum Biotechnologii Uniwersytetu Jagiellońskiego opracowują szczepionkę, której działanie ma polegać na pobudzeniu limfocytów T osoby zaszczepionej do niszczenia komórek zainfekowanych przez wirusa. W projekcie finansowanym przez Fundację na rzecz Nauki Polskiej kluczową rolę odgrywają egzozomy. To niewielkie, osiągające 100 nanometrów pęcherzyki błonowe uwalniane przez różne komórki do przestrzeni zewnątrzkomórkowej. Są obecne w większości płynów biologicznych w organizmie, służąc jako nośniki białek czy kwasów nukleinowych. Działają więc niczym przekaźniki sygnału między komórkami. Jak wskazują badacze, odebranie takiej „wiadomości” przez komórkę docelową może skutkować zmianą jej funkcji, np. pobudzeniem komórek odpornościowych do działania. Dlatego chcą prześledzić wpływ egzozomów na funkcjonowanie układu odpornościowego.

– Organizm człowieka ma różne metody odpowiedzi na wirusa. Wśród nich są m.in. aktywacja makrofagów i granulocytów czy uwalnianie interferonów. Jedną z metod jest również uruchomienie określonych klas limfocytów T, które niszczą komórki zainfekowane przez wirusa i w ten sposób ograniczają jego rozprzestrzenianie się. Dlatego aktywacja limfocytów T może być efektywną strategią terapeutyczną i chronić przez zakażeniem. Chcemy przetestować taką opcję – stworzyć sztuczne nanostruktury, które będą aktywować limfocyty T i sprawdzić skuteczność takiego działania w walce z korona-

wirusem SARS-CoV-2 – wyjaśniała prof. Gutowska-Owsiak, inaugurując projekt.

Modyfikacja białka wirusa

Inny pomysł ma dr hab. Ewelina Król, również z MWB UG i GUMed, która w ramach grantu Narodowego Centrum Nauki zajęła się zjawiskiem wzmocnienia infekcji wirusowej zależnej od przeciwciał (ADE, z ang. antibody-dependent enhancement of infection). Występuje ono także w rodzinie koronawirusów.

– Najbardziej prawdopodobnym kandydatem na szczepionkę przeciwko COVID-19 jest glikoproteina S, gdyż odpowiada za tworzenie przeciwciał. Mogą one jednak powodować tzw. reakcję ADE, w wyniku której przeciwciała powstające podczas zakażenia lub szczepienia mogą wzmacniać przebieg kolejnej infekcji, co jest niekorzystne z punktu widzenia tworzenia szczepionki. Celem naszego projektu jest przeprowadzenie modyfikacji białka strukturalnego S wirusa SARS-CoV-2 w celu uzyskania skutecznego i bezpiecznego antygenu szczepionkowego. Mamy nadzieję uzyskać taki wariant glikoproteiny S, który nie będzie wywoływać efektu ADE – dodaje badaczka.

Jej projekt polega na przeprowadzeniu szeregu modyfikacji części cukrowych glikoproteiny S, które spowodują jakościową zmianę antygenu S z potencjalnego preparatu o właściwościach immunogennych na skuteczną szczepionkę. W kolejnym etapie planowane jest opracowanie bezpiecznej szczepionki przeciwko SARS-CoV-2 opartej na cząstkach wirusopodobnych (VLPs, z ang. virus-like particles) zbudowanych ze zmodyfikowanego białka S. Cząstki te nie mogą namnażać się w komórkach, ale mogą do nich wnikać i wzbudzać silną odpowiedź immunologiczną, zarówno typu humoralnego, jak i komórkowego. Jak dodaje gdańska wirusolog, w Zakładzie Szczepionek Rekombinowanych, w którym jest zatrudniona na stanowisku adiunkta, prowadzone są zaawansowane prace nad eliminacją efektu ADE u flawivirusów, głównie u wirusa Zika, i to doświadczenie chce przenieść na swoje badania nad koronawirusem SARS-CoV-2.

Spray do nosa

W Instytucie Immunologii i Terapii Doświadczalnej im. Ludwika Hirszfelda PAN we Wrocławiu zamierzają z kolei stworzyć szczepionkę nie aplikowaną w zastrzyku, lecz w postaci sprayu do nosa. Będzie to tzw. szczepionka podjednostkowa, czyli nie będzie zawierała materiału genetycznego ani cząstek wirusa. Idea jest taka, by wprowadzić do organizmu białko, które byłoby immunogenne i stymulowałoby produkcję przeciwciał. Od pół roku intensywnie sekwencjonują genomy koronawirusa po to, by wytypować kandydata, za pomocą którego wirus przyczepi się do komórki. Później zaprzęgą go do tego, by uaktywnił odporność śluzówkową. Przy konstruowaniu szczepionki dolnośląscy immunolodzy chcą dodatkowo wykluczyć pewne możliwości indukcji autooprzeciwciał. W trakcie innego projektu – związanego z bakterią *Clostridium difficile*, wywołującą poantybiotykowe zapalenie jelit – natrafili na struktury bakteryjne, które mogą wywoływać powstawanie przeciwciał szkodliwych dla człowieka. Dzięki tej wiedzy unikną podobnego niebezpieczeństwa przy SARS-CoV-2. Badaniami, w których bierze udział blisko 30 naukowców, kieruje prof. Andrzej Gamian, dyrektor IITD. Mają potrwać jeszcze 2 lata, a finansuje je Narodowe Centrum Badań i Rozwoju.

Nanoprzeciwciała i bakteriofagi

W prace nad szczepionką inwestuje także Agencja Badań Medycznych. Do projektu zaproszono trzy polskie ośrodki: Sieć Badawczą Łukasiewicz – Instytut Biotechnologii i Antybiotyków wraz Politechniką Wrocławską, Narodowy Instytut Onkologii w konsorcjum z Instytutem Biochemii i Biofizyki PAN i Warszawskim Uniwersytetem Medycznym oraz Uniwersytet Medyczny im. Piastów Śląskich we Wrocławiu. W tym przedsięwzięciu do zwalczania koronawirusa wykorzystane zostaną nanoprzeciwciała oraz bakteriofagi, czyli wirusy atakujące bakterie.

– Nanoprzeciwciało zostanie umieszczone na główce bakteriofaga. Będzie ono w stanie rozpoznać wirus SARS-CoV-2, uniemożliwiając mu wniknięcie do komórek ludzkich. Bakteriofagi są wykorzystywane w terapii od dziesięcioleci i są bezpieczne dla człowieka. Natomiast nanoprzeciwciała dopiero od

niedawna testuje się jako potencjalne leki. Dotychczas nikt jeszcze nie wykorzystał połączenia bakteriofag-nanoprzeciwciało do walki z wirusami ludzkimi. Jesteśmy pionierami – zapewnia prof. Jan Walewski, dyrektor Narodowego Instytutu Onkologii.

Genetyczna szczepionka komórkowa

W Centrum Biologii Medycznej Uniwersytetu Medycznego im. K. Marcinkowskiego w Poznaniu mają już nawet prototyp genetycznej szczepionki komórkowej. Bazą dla niej były szczepionki rakowe, nad którymi poznańscy badacze pracują od trzech dekad. Komórki nowotworowe zamieniono jedynie na „sztuczne wirusy”, reszta jest prawie identyczna. Podobna jest także ogólna zasada działania – wzbudzenie określonych mechanizmów immunologicznych.

– Szczepionki, które są już na rynku, zapobiegają zakażeniu zdrowych ludzi poprzez przeciwciała skierowane na wirus SARS-CoV-2. Jednak z ostatnich doniesień wynika, że u części chorych na COVID-19 przeciwciała nie są wcale produkowane, a walkę z chorobą podejmują aktywowane komórki odpornościowe. Ponadto przeciwciała pozyskiwane od ozdrowieńców lub sztucznie utworzone wykazują bardzo ograniczoną skuteczność – mówi prof. Andrzej Mackiewicz, dodając, że za pomocą jego szczepionki fragmenty wirusa nie będą – jak u innych – produkowane np. w mięśniu człowieka, ale od razu wstrzykiwane.

Szczepionka CovidVax oprócz produkcji przeciwciał aktywuje także brakujące tzw. komórkowe mechanizmy obronne skierowane wybiórczo na wirusa. W bardziej zaawansowanym wariancie zawiera genetycznie zmodyfikowane tzw. indukowane komórki macierzyste. Być może uda się też wygenerować długo żyjące komórki pamięci, co pozwoli na długofalową ochronę przed COVID-19. Zespół poznańskich biotechnologów i lekarzy pracuje również nad ukierunkowaną immunoterapią przeznaczoną dla chorych na nowotwory, którzy są zakażeni SARS-CoV-2. Jej celem jest zahamowanie rozwoju wirusa wraz z jednoczesnym działaniem przeciwnowotworowym. Na sfinansowanie kolejnego etapu badań potrzeba około 20 mln zł.



Herbarium Pomeranicum

O mariażu nauk biologicznych oraz nauk o zarządzaniu i jakości

Zrodziła się koncepcja digitalizacji zasobów zielników kilku uczelni w jeden zielnik, dla którego w sposób naturalny przyjęto nazwę „pomorski” (Szczecin-Słupsk-Gdańsk). Projekt ten wpisuje się w światową tendencję digitalizacji i powszechnego publicznego udostępniania zbiorów herbariów.

Współcześnie podkreśla się w środowisku akademickim znaczenie inicjowania i realizacji projektów interdyscyplinarnych, jak również budowania zespołów badawczych i projektowych o wysokim stopniu synergii. Wskazuje się także na rolę i zadania środowiska akademickiego względem otoczenia społeczno-gospodarczego, czyli realizacji koncepcji tzw. uniwersytetu trzeciej generacji. Czy zainicjowanie i realizację projektu *Herbarium Pomeranicum* można określić mianem projektu interdyscyplinarnego, wpisującego się w założenia uniwersytetu trzeciej generacji oraz projektu o wysokim stopniu synergii?

Istotnym zacznem w procesie powstania koncepcji projektu *Herbarium Pomeranicum* były pozytywne doświadczenia współpracy nawiązanej w kadencji 2008-2012 pomiędzy jednostkami ówczesnie funkcjonującymi w strukturach Uniwersytetu Szczecińskiego, tj. Wydziałem Biologii oraz Wydziałem Zarządzania i Ekonomiki Usług. Była to m.in. współpraca dydaktyczna, studenci ekonomii mieli możliwość wysłuchania wykładów nawiązujących do teorii ewolucji gatunków, co w pewnym zakresie korespondowało z koncepcją ekonomii ewolucyjnej czy różnymi koncepcjami zarządzania. Wydziały



Herbarium Slupensis SLTC, które stanowi własność Akademii Pomorskiej w Słupsku, to:

Kolekcja roślin naczyniowych. Liczebność: 55 000 okazów

Kolekcja grzybów (SLTC-F). Liczebność: 2950 okazów

Kolekcja porostów (SLTC-L). Liczebność: 11 000 okazów

Kolekcja mszaków (SLTC-B). Liczebność: 445 okazów.

Większość zbiorów pochodzi z Pomorza, ale również z Sudetów, okolic Świdnicy, Świeradowa Zdroju i Wołowa, a także z Macedonii, Capri i Pompei. Ponadto w zbiorach wyróżnia się zielnik Słowińskiego Parku Narodowego w liczbie 900 alegatów. Stanowi on cenny dokument historyczny o florze naczyniowej tej części Pomorza. Integralną częścią zbiorów jest również zielnik dawnego Ogrodu Botanicznego w Sławnie z przełomu XIX i XX wieku w liczbie 78 kart roślin naczyniowych. Kolekcja botaniczna Herbarium posiada w swych zbiorach szereg roślin wymarłych i zagrożonych wyginięciem w skali całego kraju, jak również w skali Pomorza (por. zbiory Karla Friedricha Kohlhoffa i Fritza Römera).

W ramach projektu minimum 60 tys. najbardziej unikatowych alegatów pochodzących z zasobów Herbarium Slupensis SLTC zostanie zdigitalizowanych i udostępni-onych cyfrowo.

podjęwały także wspólne inicjatywy praktycznych projektów badawczych i infrastrukturalnych, możliwych do zastosowania w życiu społeczno-gospodarczym uczelni, miasta i regionu, finansowanych ze środków zewnętrznych. Pozytywne doświadczenia i efekty współpracy wpisywały się w koncepcję uniwersytetu trzeciej generacji, tzw. uniwersytetu przedsiębiorczego, jako organizacji służącej otoczeniu.

Szczecin – Gdańsk – Słupsk

Moje osobiste zaangażowanie jako ekonomisty ukierunkowanego na aspekty zarządcze w funkcjonowanie Słupskiego Ośrodka Akademickiego, gdzie Wydział Zarządzania i Ekonomiki Usług prowadził Zamiejscowy Ośrodek Dydaktyczny, przy współpracy z Wyższą Hanzeatycką Szkołą Zarządzania w Słupsku, pozwoliło w wyniku procesu konsolidacji WHSZ z Akademią Pomorską nawiązać i rozwijać kontakty pomiędzy uczelniami. Otwartość na inicjatywy projektowe władz Akademii Pomorskiej w Słupsku wskazywało na możliwość realizacji projektów w strukturach AP. Natomiast doświadczenia współpracy prof. Agnieszki Popieli (Wydział Nauk Biologicznych Uniwersytetu Szczecińskiego) z zespołem naukowym skupionym wokół prof. Dariusza Szlachetki (Wydział Biologii Uniwersytetu Gdańskiego), w tym w obszarze budowy „Atlasu rozmieszczenia roślin naczyniowych na Pomorzu”, krystalizowały pomysł projektu wokół zbiorów zielników, które funkcjonują na Uniwersytecie Szczecińskim, Uniwersytecie Gdańskim oraz Akademii Pomorskiej w Słupsku. Gdy do tego dołożyło się doświadczenie projektowe oraz współpraca z instytucjami centralnymi związanymi z szeroko rozumianą cyfryzacją i kompetencjami społeczeństwa wiedzy, zrodziła się koncepcja digitalizacji zasobów zielników wskazanych uczelni w jeden zielnik, dla którego w sposób naturalny przyjęto nazwę „pomorski” (Szczecin-Słupsk-Gdańsk, styczeń 2018). Projekt ten wpisywał się w światową tendencję digitalizacji i powszechnego publicznego udostępniania zbiorów herbariów (zielników).

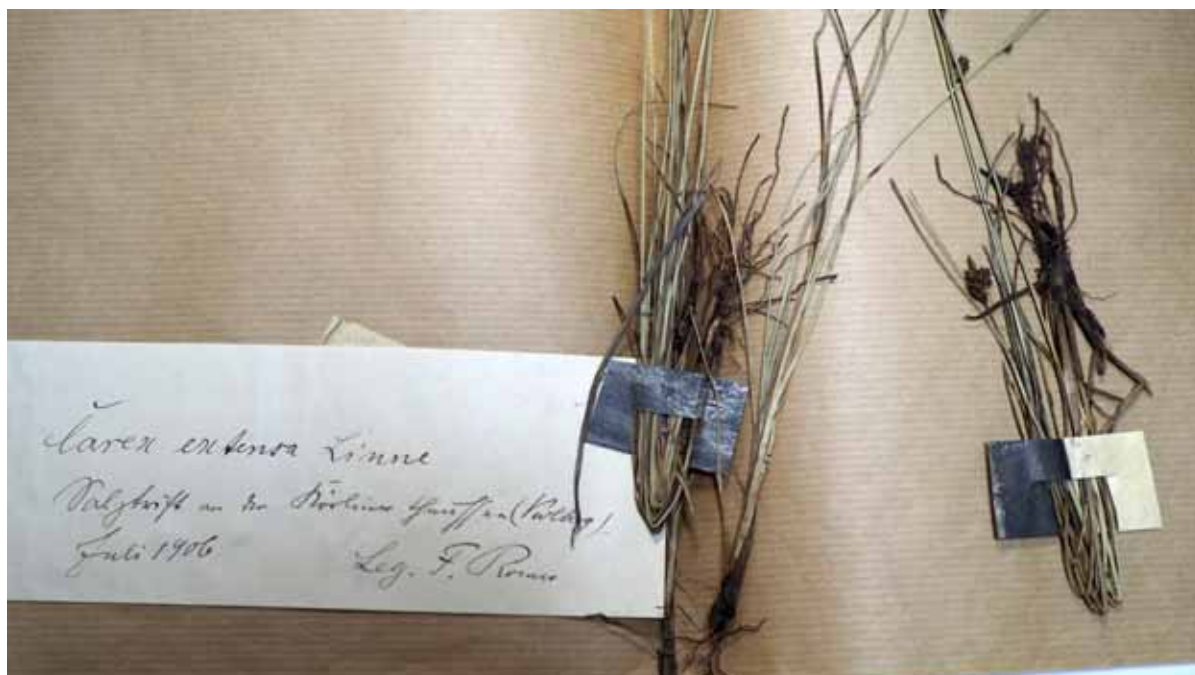
Podkreślić także należy źródła synergii jednostek, które stworzyły konsorcjum projektowe. Uniwersytet Gdański jest jednostką o wysokiej klasie naukowej, w strukturach wydziału

działa silny naukowo zespół „zielnikowy” z doświadczeniem w digitalizacji zbiorów zielnikowych (wydział z własnych środków zakupił skaner i rozpoczął digitalizację zbiorów, gdyż chciał utrzymać się w czołówce światowych badań). Uniwersytet Szczeciński posiadał w swoich strukturach dwa zbiory zielnikowe, jeden na wspomnianym Wydziale Biologii (kurator zielnika: prof. Agnieszka Popiela), a drugi na Wydziale Nauk o Ziemi, gdzie zgromadzone są światowe zbiory okrzemek. Powstał on w wyniku działalności zespołu skupionego wokół prof. Andrzeja Witkowskiego (nauki o ziemi). Akademia Pomorska w Słupsku kierowana przez rektora Zbigniewa Osadowskiego (nauki biologiczne), która posiada także zielnik ze zbiorami z Pomorza Środkowego, stworzyła warunki zawiązania się zespołu projektowego i wzięła na siebie, co bardzo ważne, ryzyko aplikacyjne projektu. Pierwszym etapem było podpisanie porozumienia o zawiązaniu konsorcjum projektowego (sierpień 2018). Wskazać należy, że precyzyjne zapisy i wskazówki Programu Operacyjnego Polska Cyfrowa, a ściślej wsparcie Centrum Projektów Polska Cyfrowa, który został wybrany jako źródło finansowania projektu, ułatwiły zbudowanie tzw. mapy drogowej aplikowania o środki.

Długa droga do celu

Po zawiązaniu konsorcjum projektowego należało podjąć działania mające na celu zgłoszenie projektu przez Minister-





stwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Te działania realizował lider konsorcjum, tj. Akademia Pomorska w Słupsku. Akceptacja koncepcji projektu przez MNiSW i złożenie wstępnego wniosku do Ministerstwa Cyfryzacji dały możliwość kolejnego kroku w postaci publicznej prezentacji projektu. Duży wysiłek włożył tu zespół naukowo-badawczy Uniwersytetu Gdańskiego, by prezentacja i spotkanie z interesariuszami zostało zorganizowane i przeprowadzone (wrzesień 2018). Kolejnym „kamieniem milowym” stała się prezentacja założeń projektu i uzyskanie akceptacji przez Komitet Rady Ministrów ds. Cyfryzacji (listopad 2018). To zadanie zrealizowały wspólnie Akademia Pomorska w Słupsku jako lider konsorcjum oraz Uniwersytet Szczeciński jako partner projektu. Wskazane działania oraz przygotowanie Studium Wykonalności projektu *Herbarium Pomeranicum* przez ZFSNT NOT w Szczecinie umożliwiło przygotowanie wniosku aplikacyjnego przez lidera konsorcjum, Akademię Pomorską, na konkurs w listopadzie/grudniu 2018 roku.

Niestety, mimo uzyskania pozytywnej oceny merytorycznej, ze względu na wysokość oszacowanych kosztów w części informatycznej projekt w tym konkursie nie uzyskał finansowania (rozstrzygnięcie – marzec 2019). Pomimo porażki zespół podjął działania, aby na bazie uwag ekspertów oceniających wniosek poprawić zarówno Studium Wykonalności jak i wniosek, co pozwoliło złożyć dokumenty na konkurs w czerwcu 2019 roku. To aplikowanie okazało się skuteczne, konkurs rozstrzygnął się pozytywnie i projekt uzyskał dofinansowanie, a podpisanie umowy nastąpiło w październiku 2019 roku na poziomie 25 mln złotych.

Syntetyzując wcześniejsze rozważania, można wskazać następujące źródła sukcesu zawiązanego konsorcjum:

- Doświadczenie we współpracy pomiędzy jednostkami akademickimi, w której nośnikiem byli ludzie i ich relacje;
- Uzupełnianie się kompetencjami członków zespołu projektowego (częściowo różne obszary naukowe), jak również uzupełnianie się kompetencjami ośrodków akademickich tworzących konsorcjum;
- Wykorzystanie silnych stron ośrodków akademickich tworzących konsorcjum projektowe;
- Wspieranie jednostek akademickich przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego w zakresie pozyskiwania zewnętrznych źródeł finansowania rozwoju;

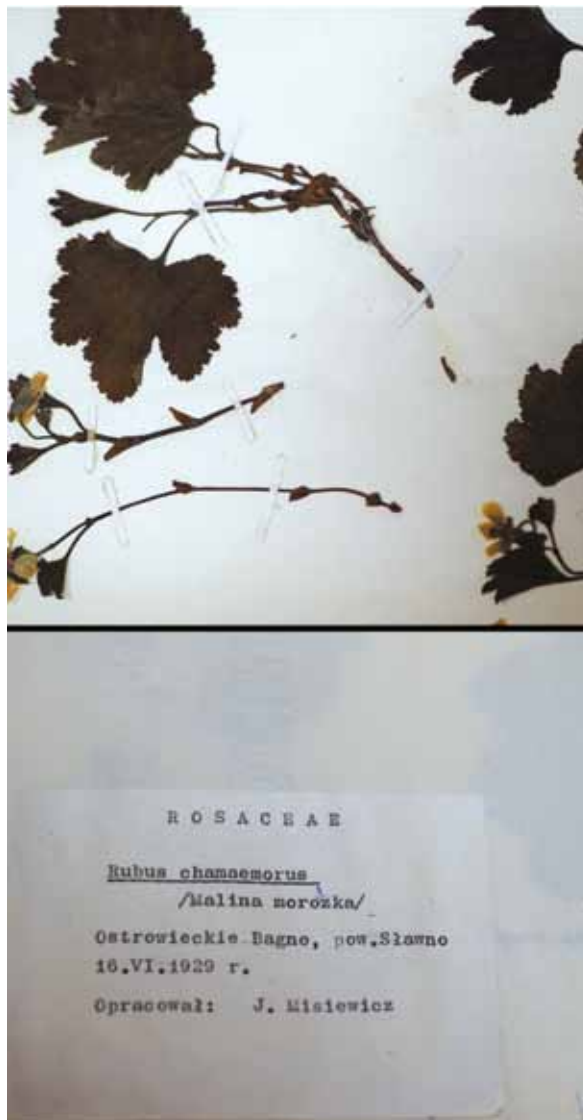
- Systemowe wsparcie Centrum Projektów Polska Cyfrowa, potencjalnych beneficjentów (na etapie aplikowania);
- Kierowanie się zespołu projektowego założeniami strategii „błękitnego oceanu” (wszyscy muszą być wygrani).

Przykład aplikowania o dofinansowanie projektu *Herbarium Pomeranicum* wskazuje jednoznacznie, że współpraca interdyscyplinarna i współpraca pomiędzy „jednoimiennymi” jednostkami naukowymi ma nie tylko teoretyczne uzasadnienie, lecz także odbywa się w praktyce. Ważne, aby każdy z partnerów wykorzystał swoje unikatowe kompetencje, które w wypadku *Herbarium Pomeranicum* nie nakładały się na siebie, lecz wzajemnie uzupełniały. Wydaje się, że te twierdzenia z zakresu nauk o zarządzaniu są truizmami, jednak – jak się okazało – działają w praktyce. Myślę, że synergia pomiędzy jednostkami akademickimi i ich otoczeniem uzyskana na etapie aplikowania będzie miała miejsce także na etapie realizacji projektu oraz udostępniania zbiorów interesariuszom zewnętrznym. Jednocześnie projekt pozwala na interdyscyplinarną wymianę wiedzy, np. o „Zielniku Darłowskim”. Ale to już problem na kolejnej publikacji.

PS. Projekt *Herbarium Pomeranicum* – „Zintegrowane wirtualne Herbarium Pomorza – *Herbarium Pomeranicum* – digitalizacja i udostępnienie zbiorów herbariów jednostek akademickich Pomorza poprzez ich połączenie i udostępnienie cyfrowe” w ramach Programu Operacyjnego Polska Cyfrowa na lata 2014-2020, Oś Priorytetowa nr 2 „E-administracja i otwarty rząd”, Działanie nr 2.3 „Cyfrowa dostępność i użyteczność informacji sektora publicznego”, Poddziałanie nr 2.3.1 „Cyfrowe udostępnienie informacji sektora publicznego ze źródeł administracyjnych i zasobów nauki” (typ II projektu: „Cyfrowe udostępnienie zasobów nauki”)

Zdjęcia pochodzą ze Słupskiego Zielnika (Herbarium Słupensis SLTC). Autorem zdjęć jest mgr Tobiasz Lech.

Prof. dr hab. Piotr Niedzielski, Instytut Zarządzania Uniwersytetu Szczecińskiego oraz Instytut Bezpieczeństwa i Zarządzania Akademii Pomorskiej w Słupsku



Konkursy PWE

Polskie Wydawnictwo Ekonomiczne, wydawca czasopism naukowych *Praca i Zabezpieczenie Społeczne* oraz *Przegląd Ustawodawstwa Gospodarczego*, organizuje konkursy na najlepsze prace dyplomowe kierowane do osób, które obroniły prace magisterskie oraz rozprawy doktorskie w terminie od 01.01.2019 r. do 31.12.2020 r. Celem konkursów jest popularyzowanie wiedzy z zakresu prawa i zabezpieczenia społecznego oraz ustawodawstwa handlowego i gospodarczego, a także promowanie szczególnie uzdolnionych autorów prac magisterskich oraz rozpraw doktorskich. Zwycięzcy otrzymają atrakcyjne nagrody pieniężne oraz będą mieli możliwość opublikowania artykułu na podstawie swojej pracy dyplomowej na łamach jednego z wspomnianych czasopism (każde z nich ma 40 punktów). Zgłoszenia prac do konkursów należy nadsyłać **do końca stycznia 2021 r.**

Więcej informacji na stronie internetowej:

www.pwe.com.pl

Bogata historia słowników

Cichą bohaterką tego okresu jest María Moliner – skromna pani domu, z zawodu bibliotekarka, która zainspirowana słownikami angielskimi zaczyna pisać swój własny słownik, wychowując „w międzyczasie” trójkę dzieci. . . Efektem jej samotnej pracy jest *Diccionario de uso del español*, punkt odniesienia leksykografii dwudziestowiecznej, służący do dziś pokoleniom studentów i nauczycieli.

Tytuł książki to, rzecz jasna, nawiązanie do drugiej części znanej sentencji Terencjusza Maurusa „(...) habent sua fata

CATARRO, la distilacion que cae de la cabeça a la garganta, y al pecho: es nombre Griego Καταρροος, de fluxus, distillatio faucibus impacta à verbo Καταρρίω, defluo, à quo etiam Καταρροος, & contracte Κατάρρους: defluxio, apud medicos pecoliatiter dicitur, sic descensus humoris è capite in os. Lo mesmo significa romadizo del nombre Griego ρευμα, reuma, fluxus, quasi reumadizo: algunos le llaman dexenxo, quasi descensus. Prouerbio: No huelo nada, que estoy romadizado: quando alguno da a entender inora lo que no ha de dar gusto a quien se lo pregunta; nacio del apologo del leon, y los animales, quando los llamò para que le dixessen si le olia mal laboca, y a todos los que le dixeron la verdad los despedaçò, y se los comio; llamando a la zorra para que dixesse lo que sentia, respondió, No huelo nada, que estoy romadizado. Puse esto aqui, verbo catarro, sinonimo de romadizo, por si no pudiere llegar a sacar en limpio la letra r. que la obra es muy larga, y la vida corta: profeguire hasta dode Dios fuere feruido.

Hasło *catarro* w słowniku Covarrubiasa, 1611 r.: „wstawiłem to tutaj, słowo *catarro*, synonim *romadizo*, na wypadek, gdybym nie mógł przepisać na czysto litery r, bo dzieło jest bardzo długie, a życie bardzo krótkie, dojdę, dokąd Bóg zechce (<http://buscon.rae.es/ntlle/jsp/NtlInformEis.jsp>).

libelli”: swoje losy mają przecież także słowniki i, niejednokrotnie, ukryci za swoimi dziełami ich autorzy. Tak jak Sebastián Covarrubias y Orozco, kapelan króla Filipa II, autor pierwszego jednojęzycznego słownika hiszpańskiego, który u schyłku życia zaczął redagować słownik etymologiczny ze świadomością, że być może nie zdąży go ukończyć. I dlatego w hasle *catarro* ‘katar’, figurującym na początku słownika, dodaje: „wstawiłem to tutaj, słowo *catarro*, synonim *romadizo*, na wypadek, gdybym nie mógł przepisać na czysto litery r, bo dzieło jest bardzo długie, a życie bardzo krótkie, dojdę, dokąd Bóg zechce”. Albo jak baskijski jezuita Esteban Terreros y Pando, który po wygnaniu swojego zakonu z Hiszpanii umierał we włoskim miasteczku Forlì przekonany, że jego słownik „nauk i sztuk” nigdy nie ujrzy światła dziennego (na szczęście został wydany po jego śmierci) czy misjonarze, którzy w Nowym Świecie tworzyli bezcenne słowniki i gramatyki języków autochtonicznych. Moja książka jest hołdem złożonym ich wysiłkom i ambicjom w czasach, gdy dysponowali jedynie papierem, kałamarzem i swoją imponującą wiedzą... Jednocześnie jest to praca pisana z myślą o polskim czytelniku, który do tej pory, mimo ogromu prac leksykograficznych i metaleksykograficznych publikowanych w przeważającej większości po hiszpańsku, nie miał dostępu do uporządkowanego materiału dotyczącego historii hiszpańskich słowników.

A historia ta na Półwyspie Iberyjskim zaczyna się w czasie, gdy... hiszpańskiego jeszcze nie ma. Ale już na przełomie V i VI wieku w Sewilli działa św. Izydor (łac. Isidorus Hispalensis, ok. 560-636), arcybiskup Sewilli, doktor i święty Kościoła, patron Hiszpanii, Internetu, internautów i informatyków. To jego dzieło *Etymologiarum sive Originum libri XX*, prototyp współczesnej encyklopedii kultury zachodnioeuropejskiej, znane także pod tytułem *Etymologiae libri viginti* albo po prostu *Etymologiae*, datowane na lata 612-621, jest swojego rodzaju summa zebranych i uporządkowanych tematycznie informacji biblijnych, kościelnych i świeckich od czasów starożytności do czasów współczesnych autorowi, a zarazem świadectwem języka łacińskiego z wieku VI, kiedy powoli przetrada się on w języki romańskie.

Najpierw glosy

I tak, w wieku X-XI (trwa polemika na temat datowania) pojawiają się pierwsze dokumenty zredagowane we wciąż powstającym języku hiszpańskim (zwanym niekiedy protohisz-

pańskim): glosy, czyli notatki umieszczane ręką skryby na marginesach albo między liniami tekstów. Glosy są wynalazkiem dydaktycznym – już w literaturze greckiej i łacińskiej widoczna jest potrzeba właściwej interpretacji tekstów autorów klasycznych w środowisku szkolnym i akademickim. Dlatego glosy często poprzedzała formuła „id est” („to jest”). Z czasem glosy zaczynają być oddzielane od tekstów głównych, tworząc osobne listy, czyli glosariusze. Od wczesnego średniowiecza widoczne jest też przejście od dzieł jednojęzycznych, zredagowanych tylko po łacinie, do dwujęzycznych – w języku łacińskim i języku wernakularnym. Najczęściej glosy były uporządkowane alfabetycznie i stały się ważnym elementem średniowiecznej edukacji i instrumentem naukowym, służąc jednym do zrozumienia tekstu, a innym do poszerzenia swojego zasobu słownictwa łacińskiego. Najważniejsze i najbardziej znane glosy zredagowane na terenie Hiszpanii powstały w dwóch zakonach: jedne (*Glosas Silenses*) w klasztorze św. Dominika w Silos (nieдалеко Burgos), drugie (*Glosas Emilianenses*) zawdzięczają nazwę klasztorowi pod wezwaniem św. Emiliana z Cogolli (hiszp. San Millán de la Cogolla) usytuowanemu niedaleko Logroño, stolicy prowincji La Rioja, która będąc wówczas centrum pustelników i zakonników, stanowiła na pograniczu Kastylii i Aragonii miejsce kontaktu między światem romańskim i baskijskim. Nie są to jedyne glosy, ale o tych późniejszych, mniej znanych, dowiedzą się Państwo z książki.

Od wieku XV leksykografia hiszpańska zaczyna rozwijać się w tempie lawinowym. W połowie wieku ukazuje się anonimowe dzieło pt. *Vocablos difíciles del castellano* (pol. Trudne wyrazy kastylijskie) albo inaczej *Vocabulario castellano del siglo XV* (pol. Wokabularz kastylijski z XV wieku) – dowód na to, że średniowieczne słowniki łacińskie były znane także na terenie Półwyspu Iberyjskiego oraz na rosnące zainteresowanie językiem ojczystym, który w tamtej epoce był w fazie intensywnego rozwoju. Jednocześnie już w drugiej połowie XV wieku uczeni skarżą się na niski poziom znajomości łaciny, toteż i gramatycy, i twórcy słowników jednoczą wysiłki, aby poprawić znajomość tego języka. Starania te wspierają Królowie Katolicy (Izabela I Katolicka i Ferdynand II Katolicki) i to właśnie królowa zamawia u nadwornego kronikarza, Alfonsa Fernández de Palencia, „interpretację” wyrazów łacińskich w języku narodowym. W ten sposób powstaje *Universal vocabulario en latin y romance collegido por el cronista Alfonso de Palencia*, wydany w Sewilli w 1490 roku, pierwsze w świecie romańskim dzieło leksykograficzne przekładające łacinę na język narodowy. Nie jest to jeszcze słownik dwujęzyczny w całym tego słowa znaczeniu, a raczej przekład jednojęzycznego słownika łacińskiego na hiszpański.

Ale już w 1492 r. hiszpański humanista, nauczyciel, gramatyk i historyk Elio Antonio de Nebrija publikuje pierwszy słownik łacińsko-hiszpański „z prawdziwego zdarzenia”, czyli *Diccionario latino-español* (wł. *Lexicon hoc est dictionarium ex sermone latino in hispaniensem*), a nieco później słownik hiszpańsko-łaciński *Dictionarium ex hispaniensi in latinum sermone*, znany powszechnie jako *Vocabulario español-latino*, wydany również w Salamance, ale bez daty. Pozostaje ona do dziś zagadką; wiemy tylko, że na pewno powstał po pierwszej wyprawie Krzysztofa Kolumba, bo notuje wyraz canoa (‘łódka’), czyli zapożyczenie z wymarłego indiańskiego języka taino.

Słowniki z okazji ślubu

Kolejne dwa stulecia znane jako Złoty Wiek to czas świetności nie tylko literatury, ale i leksykografii właśnie – powstają pierwsze słowniki dwujęzyczne. Od słownika hiszpańsko-arabskiego autorstwa Pedra de Alcalá (1505) *Vocabulista arauigeno en letra castellana*, opublikowanego w Grenadzie najstarszego na świecie słownika misyjnego, poprzez pierwsze słowniki

łącznie hiszpański z językami tubylczymi Ameryki Południowej (o czym rzadko się pamięta, pisząc o leksykografii Złotego Wieku) czy języki innych terenów kolonizowanych w tamtym czasie: Filipin (w 1613 roku, w filipińskim mieście Pila, ukazuje się dwujęzyczny słownik tagalo-hiszpański *Vocabulario de lengua tagala. El romance castellano puesto primero* autorstwa Pedra de San Buenaventury) czy Chin (*Arte y vocabulario de la lengua china* augustianina Martina de Rada, pierwsze dzieło w Europie o języku chińskim, czy *Vocabulario de la lengua mandarina* brata Juana de Albalate), aż po słowniki zestawiające słownictwo języków europejskich: włoskiego, francuskiego, angielskiego, niemieckiego... Nierzadko główną przyczyną powstania takiego słownika był... królewski mariaż, jak miało to miejsce w przypadku ślubu hiszpańskiego króla Filipa II Habsburga z Francuzką Isabelle de Valois w 1559 roku, po którym, w roku 1565, pojawia się pierwszy dwujęzyczny słownik hiszpańsko-francuski autorstwa Jacques’a Ledela, czy w przypadku krótkiego anonimowego podręcznika do nauki hiszpańskiego dla Anglików wraz z listą wyrazów hiszpańskich z 1554 roku pt. *A very profitable book to learne English and Spanish* wydane prawdopodobnie z okazji ślubu tegoż Filipa II z córką Henryka VIII – Marią Tudor.

Ale jest to też czas, kiedy ukazują się słowniki specjalistyczne, zwłaszcza dotyczące sztuki żeglowania, w czym Hiszpania była w tamtym czasie potęgą. I tak, już w 1564 roku ukazuje się *Arte de marear* Juana Péreza de Moya, a w nim lista 86 wyrazów specjalistycznych, a nawet definicje leksykograficzne, w 1583 roku *Hydrografia* Juana Péreza de Moya, wreszcie dzieło, które drukiem ukazało się dopiero w 1983 roku (!), chociaż rękopis pochodzi z 1538 (niektórzy wspominają o 1537), *Quatri partitu en cosmografia práctica*, znane także jako *Espejo de navegantes* autorstwa Alonso Chavesa, czy słownik... górnictwa: wydany w Limie w 1609 r. *Diccionario y manera de hablar que se usa en las minas* (pol. Słownik i sposoby mówienia, jakich używa się w kopalniach) – pierwszy zbiór terminologii górniczej Garcii



Jedna ze stron *Universal Vocabulario*, (http://www.cervantesvirtual.com/obra-visor/universal-vocabulario-en-latin-y-en-romance-tomo-i--0/html/003fa0c8-82b2-11df-acc7-002185ce6064_245.html).

ADercaderia. merc. cis. mercimoniũ. ij.
ADercado lugar. mercatus. i. forum. i.
ADercado en griego. emporiũ. ij.
ADerced por misericordia. misericordia. g.
ADerced por beneficio. beneficium. ij.
ADerced aver. misereor. eris. miseror. aris
ADerceria. merc. mercis. mercimoniũ. ij.
ADercban lo mesmo es que mercader
ADercada cofa para vender. promercalis. e.
ADerda. merda. g. fimus. i.

Fragment *Vocabulario español-latino* (<http://buscon.rae.es/ntlle/jsp/NtlInformeLis.jsp>)

de Llanosa. Powstają wówczas także pierwsze słowniki etymologiczne, w tym wspomniane już dzieło Covarrubiasa y Orozco.

Słowniki towarów i wątpliwości

Wiek XVIII z kolei to czas powstania Królewskiej Akademii Języka (hiszp. RAE, czyli Real Academia Española) założonej w czerwcu 1713 roku na podobieństwo francuskiej Académie Française i włoskiej Academia della Crusca. W latach 1726-39 publikuje ona tzw. *Diccionario de Autoridades* (pol. Słownik Autorytetów), w którym wiele haseł opatrzonych jest cytami najważniejszych autorów literatury hiszpańskiej. W sumie w całym słowniku odnotowano cytaty z 871 utworów z okresu od średniowiecza do XVIII wieku. Słownik ten doznał się wielu wznowień, włącznie z ostatnią, dostępną już od wielu lat i aktualizowaną na stronie internetowej Akademii. Akademia opracowała także inne dzieła: w latach 1927-1989 wydano cztery edycje *Diccionario manual e ilustrado* (pol. Podręczny słownik ilustrowany), *Diccionario panhispánico de dudas* (pol. Panhispanistyczny słownik wątpliwości), *Diccionario del estudiante* (pol. Słownik studencki, wersja z 2016 dostępna już na aplikacjach telefonicznych), *Diccionario de americanismos* (pol. Słownik amerykanizmów), słownik historyczny (*Diccionario histórico* dostępny on-line) czy narzędzie szczególne cenne dla badaǳy leksykograficznej: *Nuevo Tesoro Lexicográfico de la Lengua Española* (NTLLE, dostępny w internecie, ale też na DVD-ROM) zawierający faksymilowe wydania niemal siedemdziesięciu najważniejszych słowników z ostatnich pięćdziesięciu lat (w tym wersje słownika RAE). Jakkolwiek wiek XVIII został w leksykografii hiszpańskiej zdominowany przez słownik RAE, najchlubniejszym wyjątkiem jest *Diccionario de castellano con las voces de ciencias y artes* – przykład leksykografii nieakademickiej, pod wieloma względami wyprzedzający swoją epokę, jeśli chodzi o technikę leksykograficzną, napisany przez wspomnianego Estebana de Terrerosa y Pando. Pojawiają się wówczas też niezwykle modne słowniki wielojęzyczne, m.in. *Linguarum totius Orbis vocabularia comparativa* Petera Simona Pallasza zwany też *Słownikiem Katarzyny Wielkiej*, bo zredagowany i wydany na prośbę carycy (wydanie z lat 1790-1791 zawiera 55 języków europejskich, 164 azjatyckich, 30 afrykańskich i 23 amerindiańskie) czy leksykony i słowniki encyklopedyczne niemieckiego badacza, Philippa Andreasa Nemnich, m.in. *Allgemeines Polyglotten-Lexicon der Natur-Geschichte* (1793-98) czy leksykon towarów *Waaren-lexicon: in zwölf sprachen der Hamburgischen Commerz-Deputation zugeeignet* (1797). Słownictwo zawarte w tych dziełach, uznawanych przez badaczy za tzw. leksykografię mniejszą, to bezcenne źródło informacji nie tylko o stanie języka, ale też o naszych dokonaniach cywilizacyjnych (np. o rozmaitych, a niekiedy wręcz zagadkowych towarach, którymi handlowano w XVIII wieku).

Poprawność i gramatyka błędów

Wreszcie wiek XIX – czas wydania wielu edycji słownika Akademii, ale też nowość w leksykografii hiszpańskiej: słowniki encyklopedyczne, m.in. Vicentego Gonzáleza Arnao (1823), Núñeza de Taboady (1825), Juana Peñalvera (1842), Joaquína Domíngueza (1846-47), Gaspara y Roiga (1853-55) czy *Nuevo diccionario de la lengua castellana* autorstwa walencyjina Vicente Salvá (1846), najważniejszy bez wątpienia nieakademicki słownik w XIX wieku, pierwszy nowoczesny słownik ogólny. Jednocześnie pojawiają się słowniki specjalistyczne: rolnictwa, architektury, morskie czy słowniki gramatyczne (będące gramatykami błędów albo po prostu słownikami poprawnej hiszpańszczyzny). Ukazują się też słowniki synonimów i słowniki ideologiczne (w przeciwieństwie do słownika konwencjonalnego słownik ideologiczny pozwala dotrzeć do danego wyrazu od jego definicji), ale chyba najistotniejszym dziełem rozpoczętym w wieku XIX jest *Diccionario de construcción y régimen de la lengua castellana* Kolumbijczyka Rufina José Cuervo – pierwszy słownik walencyjny języka hiszpańskiego.

Słowniki wieku XX i XXI to już zupełnie nowa epoka w leksykografii. Na początku wieku XX powstaje stanowisko tzw. poszukiwacza wyrazów – jego zadaniem jest wyszukiwanie tych leksemów, które nie figurowały w ówczesnym wydaniu *Słownika Autorytetów* na potrzeby przyszłych wydań; następnie powstają całe zespoły badawcze, bazy danych, cyfrowe korpusy i nowe pomysły na opisanie słownictwa, ale cichą bohaterką tego okresu jest María Moliner – skromna pani domu, z zawodu bibliotekarka, która zainspirowana słownikami angielskimi zaczęła pisać swój własny słownik, wychowując „w międzyzaczyn” trójkę dzieci... Według umowy podpisanej z wydawnictwem Gredos w 1952 roku, praca ta miała trwać dwa lata, ale z czasem doszła do niemal piętnastu. Efektem jej samotnej pracy jest *Diccionario de uso del español*, punkt odniesienia leksykografii dwudziestowiecznej, służący do dziś pokoleniom studentów i nauczycieli.

Pojawiają się słowniki ideologiczne (począwszy od *Diccionario ideológico de la lengua española. Desde la idea a la palabra, desde la palabra a la idea* Julio Casaresa z 1942 roku), najlepszy i najbardziej kompletny słownik etymologiczny języka hiszpańskiego: *Diccionario crítico etimológico castellano e hispánico* Joana Corominasa i José Antonia Pascuala, wydany w sześciu dużych tomach przez wydawnictwo Gredos w latach 1980-1991, czy nowoczesne osiągnięcia Akademii – m.in. wspomniany *Nuevo Tesoro Lexicográfico de la Lengua Española* (NTLLE). W 2007 ukazało się drukiem wyjątkowe dzieło autorstwa Lidio Nieto Jiménez i Manuela Alvara Ezquerry: jedenastotomowy tezaurs leksykograficzny języka hiszpańskiego oparty na niemal 150 dziełach słownikowych z ok. milionem odniesień do ich autorów, ale też liczne akademickie i nieakademickie korpusy elektroniczne języka hiszpańskiego czy zupełnie nowe gałęzie leksykografii: leksykografia dydaktyczna, leksykografia cyfrowa. Spośród projektów z początku XXI wieku warto wspomnieć nowatorski *Diccionario Redes: Diccionario combinatorio del español contemporáneo* pod red. Ignacio Bosque (2004) oraz nowy słownik ideologiczny *Diccionario ideológico. Atlas léxico de la lengua española* Rafaela del Morala (2009).

W domu, w drodze i w gościnie

Przedostatni rozdział monografii poświęcony został zagadnieniu rzadko poruszanemu w większości hiszpańskojęzycznych historii leksykografii, a mianowicie dokonaniom leksykografii południowoamerykańskiej – w końcu pierwszy zestawienia hiszpańskiego z językami tubylczymi Ameryki Południowej

wyprzedzają w czasie wiele słowników dwujęzycznych łączących hiszpański z językami europejskimi! Rzecz jasna wiele z nich to rękopisy, ale w pierwszych stuleciach hiszpańskiej obecności na kontynencie amerykańskim powstały dwa aktywne centra druku i handlu książkami: Meksyk i Lima (stolica pierwszych dwóch wicekrólstw ustanowionych przez Hiszpanów) i to tam ukazały się drukiem najważniejsze dzieła leksykograficzne epoki kolonialnej. Początki leksykografii indiańskiej zaczynają się zasadniczo od glos, którymi opatrywano inne teksty (słowniki, opisy podróży czy poematy), zaś pierwsze dzieło leksykograficzne to lista czasowników w języku nahuatl autorstwa jezuita Andrésa de Olmos, prawdopodobnie z roku 1547. Lista Olmosa, dodatek do jego gramatyki języka „meksykańskiego” (czyli nahuatl) *Arte de la lengua mexicana*, pierwszej gramatyki rodzimego języka napisanej w Nowym Świecie, jest listą czasowników nahuatl z odpowiednikami w języku hiszpańskim oraz listą, w której językiem wyjściowym jest język hiszpański. Natomiast pierwszy kompletny słownik to anonimowa praca z połowy XVI w. zatytułowana *Vocabulario trilingüe castellano, latino y mexicano*. Potem do repertuaru języków indiańskich dołączają m.in.: otomí, matlatzincza, tzendal, huasteca, tarasco, majański, cakchiquel, quiché, tzutujil, zapotec, tupí, guaraní, ajmara, keczua, mapuche, ale też tonocoté, kaka, paquí czy quirandí. W znakomitej większości autorami tych dzieł są misjonarze, nierzadko konsultujący swe dzieła z natywnymi użytkownikami, a punktem wyjścia – najbardziej znane i cenione słowniki tamtych czasów, m.in. słownik Nebriji, także w swojej pirackiej wersji. Ale leksykografia południowoamerykańska to nie tylko dzieła dwujęzyczne, lecz także coraz liczniejsze i ciekawsze opisy słownictwa poszczególnych krajów hiszpańskojęzycznych czy projekty nieukończone, jak np. *Diccionario histórico de indigenismos*, słownik historyczny autorstwa Pedra Henríqueza Ureñi.

Wreszcie rozdział ze zrozumiałych względów nieobecny w publikacjach hiszpańskojęzycznych, a mianowicie historia leksykografii polsko-hiszpańskiej. Co prawda, pierwszy słownik polsko-hiszpański pochodzi dopiero z 1922 roku, ale nie znaczy to, że zestawienia obu języków nie ukazywały się wcześniej. Za pierwszy słownik uwzględniający słownictwo zarówno polskie, jak i hiszpańskie uznawane jest dzieło Ambrosia Calepina, począwszy od wydania z 1570 r. *Dictionarium decem linguarum*, potem *Thesaurus polyglottus* Hieronima Megisera, wydany we Frankfurcie nad Menem w 1603 r., a w 1646 roku w Warszawie wydano drukiem *Hexaglosson Dictionarium*, czyli *Dykcyonarz sześci języków z wielą rozmów codziennemu używaniu służących*. Wszystkim języki te mieć pragnącym w domu, w drodze i w goscinie bardzo potrzebny (...) Przydany mu jest na końcu sposób krótki a łatwy czytania i wymawiania, z kilką osobliwymi koniugacjami. Od wspomnianego roku 1922 pojawiają się coraz liczniejsze i ciekawsze dzieła leksykograficzne, nie tylko coraz obszerniejsze słowniki ogólne, ale też słowniki specjalistyczne: techniczne, prawnicze, ekonomiczne, tematyczne czy – znak czasów – słowniki multimedialne. Informacja o nich może okazać się cenna dla uczących się języka, ale też dla lektorów czy tłumaczy.

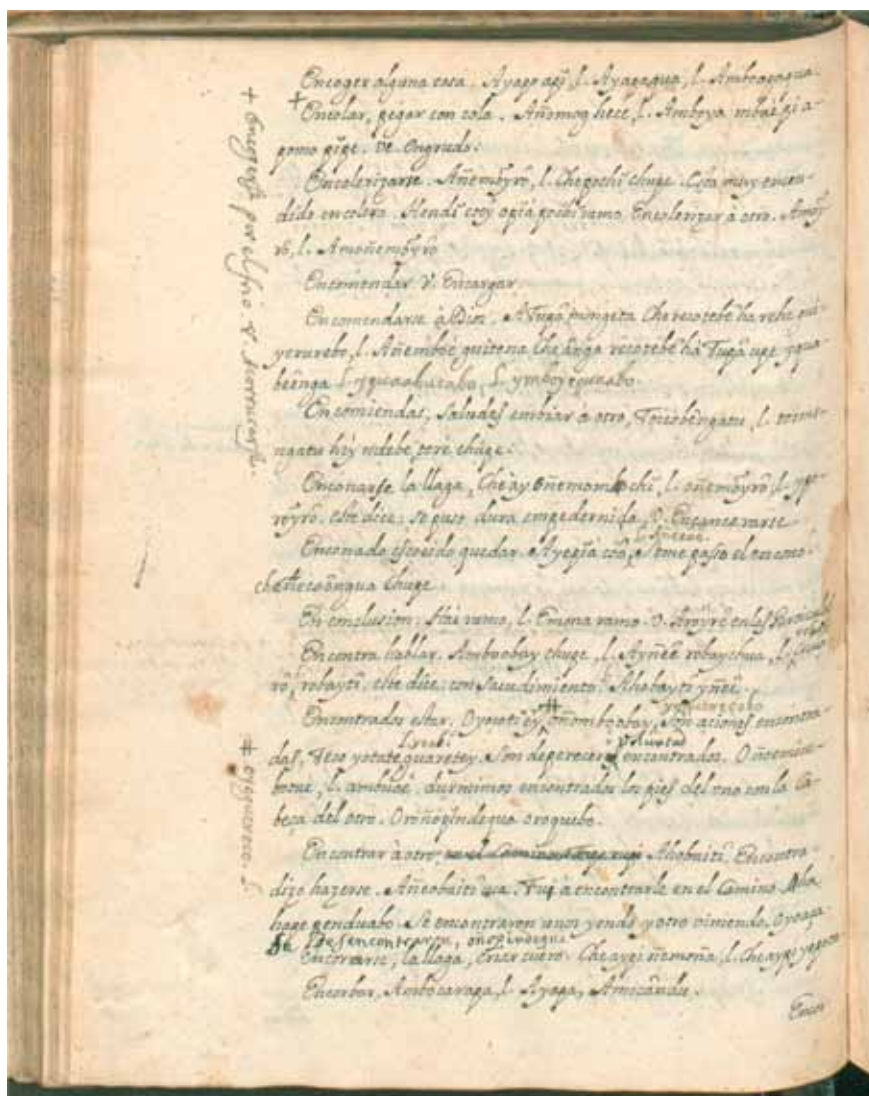
Historia słowników to nierzadko historia plagiatów. Klasycznym przykładem jest słownik francusko-hiszpański, dzieło królewskiego sekretarza i tłumacza Césara Oudina, opublikowany w Paryżu w 1607 roku, zatytułowany *Tesoro de las dos lenguas francesa y española*. Przeznaczony, zgodnie z informacją zamieszczoną przez autora

w wstępie, dla ludzi dworu, ale też dyplomatów i kupców, słownik cieszył się tak olbrzymią popularnością, że już w 1616 roku ukazuje się wydanie poprawione, wzbogacone o 5 tys. haseł. Co ciekawe, w wydaniu tym pojawia się materiał z pierwszego słownika jednojęzycznego S. Covarrubiasa z 1611 roku i trójjęzycznego słownika Girolamo Vittoriego z 1609. Tym samym ma miejsce wzajemny plagiat: Vittorio w przygotowaniu swojego dzieła skorzystał, nie wspominając o tym, z pracy Oudina, dodając jakieś 3 tys. własnych haseł. A Oudin z kolei wykorzystał całość haseł Vittoriego w swoim wydaniu z 1616. *Habent sua fata dictionarii*.

No i, na szczęście dla przyszłych badaczy, na rozwiązanie czeka sporo zagadek, a na opracowanie wiele nowych tematów, o których wspominam w zakończeniu. Wszystko to sprawia, że leksykografia hiszpańska to nie tylko fascynująca historia, lecz także otwarty i obiecujący teren badań i odkryć.

Książka Ewy Stali *Niezwykłe losy słowników. Historia leksykografii hiszpańskiej* ukazała się pod koniec października 2020 nakładem Wydawnictwa Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Dr hab. Ewa Stala, prof. UJ, językoznawca, Zakład Filologii Hiszpańskiej Instytutu Filologii Romańskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego



Jedna ze stron słownika *Vocabulario de la lengua guaraní* Blasa Pretovio (z zasobów cyfrowych Biblioteki Jagiellońskiej).

Rozmowa z dr. hab. Marcinem Maronem z Katedry Sztuki Mediów Cyfrowych UMCS

Subtelny urok epoki

Dysponujący znaczącym potencjałem wizualnym i emocjonalnym, romantyzm stał się istotnym źródłem inspiracji dla wielu polskich twórców. O tym, jak został przez nich wykorzystany i czy nadal ma moc przyciągania, mówi dr hab. Marcin Maron, który za monografię „Romantyzm i kino. Idee i wyobrażenia romantyczne w filmach polskich reżyserów z lat 1947–1990” otrzymał Nagrodę Komitetu Nauk o Sztuce Polskiej Akademii Nauk za wybitne osiągnięcia naukowe w zakresie filmoznaństwa.

Poświęcić siedem lat życia, żeby napisać książkę, to naprawdę imponujące osiągnięcie. Co takiego fascynującego dostrzegł pan w romantyzmie, że oddał mu pan tak wiele swojego czasu i uwagi?

Zacznę od tego, że moja książka jest próbą namysłu nad tym, czym był romantyzm. Jest poszukiwaniem odpowiedzi na pytania, czy i jak polscy reżyserzy filmowi skorzystali z potencjału intelektualnego i kreatywnego idei oraz wyobrażeń romantycznych, a także w jaki sposób tradycja romantyczna była modyfikowana w okresie PRL. Interesował mnie romantyzm przede wszystkim jako filozofia świata, człowieka, sztuki. Tak szeroki zakres problemów wymagał oczywiście poświęcenia dużej ilości czasu oraz dobrania odpowiedniej metody. Jeśli zaś chodzi o inspiracje, to było ich kilka. Po pierwsze, świadomość wpływu romantyzmu na kulturę polską i europejską, w tym także na sztukę filmową. Po drugie, brak w polskim piśmiennictwie filmowym gruntownego studium na ten temat. Po trzecie, w szerszym kontekście, romantyzm był dla mnie interesujący jako swoista „platforma obrotowa”, pozwalająca dostrzec początek czasów nowoczesnych, jak i to, co je poprzedzało, a być może także ułatwiająca zrozumienie genezy wielu polskich sporów ideologicznych i problemów historycznych.

W swojej monografii zajmuje się pan związkiem romantyzmu i kina. Do zobrazowania pięciu idei i wyobrażeń romantycznych, a więc historii, natury, wolności, ironii i sztuki, posłużył się pan jedenastoma filmami polskich twórców. Ten osobisty przegląd zawiera dzieła Andrzeja Wajdy, Andrzeja Żuławskiego, Wojciecha Jerzego Hasa, Stanisława Różewicza, Tadeusza Konwickiego, Gustawa Holoubka i Piotra Szulkina. Czym kierował się pan, dobierając poszczególne tytuły? Czy cezurą były tylko daty powstania wspomnianych obrazów, czy może konkretne wydarzenia z historii Polski, o których one opowiadają, a może posłużył się pan jakimś innym kluczem wyboru?

Zasadniczą perspektywą badawczą przyjętą w książce jest historia idei. Chodziło również o dostrzeżenie ścisłego związku romantyzmu europejskiego i polskiego. Było to związane z rekonstrukcją romantycznego światopoglądu oraz z doбором odpowiednich dzieł filmowych. Należało zacząć



Marcin Maron

ROMANTYZM I KINO
Idee i wyobrażenia romantyczne w filmach
polskich reżyserów z lat 1947–1990

WYDAWNICTWO UNIWERSYTETU MARII CURIE-SKŁODOWSKIEJ

od podstaw, czyli od pytania, kto z filmowców polskich i kiedy sięgnął do dzieł romantyków lub historii romantycznej. W ten sposób w horyzoncie moich badań pojawiły się przede wszystkim wybrane filmy wspomnianych reżyserów. Romantyczny światopogląd starałem się natomiast określić poprzez konstelację powiązanych ze sobą idei i wyobrażeń: historii, natury, wolności, ironii i sztuki. Wspólnie stanowią one pryzmat, przez który pod różnym kątem można widzieć i rozumieć romantyzm.

Każda idea reprezentowana jest przez dwa obrazy. Do zilustrowania historii wybrał pan jednak trzy filmy. To czysty przypadek czy też właśnie ten obszar uważa pan za wyjątkowo ważny?

Z pewnością idea historii i problematyka historyczna była w romantyzmie szczególnie istotna. Wiązało się to z nowym pojmowaniem historii przez romantyków, jako aktualności przeszłości w teraźniejszości, a zarazem jako dystansu czasowego dzielącego przeszłość i teraźniejszość i, w związku z tym, z ideą rozwoju duchowego, naturalnego i historycznego. Szczególnie duży wpływ wywarły rewolucje – francuska i przemysłowa. Natomiast w kontekście polskim było to oczywiście związane z dramatycznymi wydarzeniami polskiej historii, rozbiorami, powstaniem listopadowym itd. Ale zasadniczo w moim rozumieniu romantyzmu nie rozdzielałam historii od pozostałych idei i wyobrażeń. Tropię je w romantyzmie i w filmach we wzajemnym powiązaniu. Każda idea odsłania nieco inny aspekt romantycznego światopoglądu, staje się wyrazem romantycznej „jedności w wielości”. Proszę również zwrócić uwagę, że „punktem dojścia” w książce jest ideał sztuki romantycznej.

Przyznam, że dość zaskakująco wybrzmiewa w tym zestawieniu idea ironii.

Ironia była istotnym pierwiastkiem romantycznej filozofii i sztuki. Była związana ze świadomością naturalnej irracjonalności i skończoności egzystencji. Wyrażała tę świadomość na polu sztuki; była manifestem wolności artysty wobec ograniczeń stawianych przez świat i dzieło. Niosła zatem w sobie pierwiastek refleksyjny, krytyczny. W książce nie traktuję jednak ironii jako idei, lecz jako swoiste „intermedium”, pozwalające romantykowi łączyć to, co irracjonalne, z tym, co rozumne, a także jako wyraz autorskiego dystansu do siebie i dzieła.

Wróćmy jeszcze do wybranych jedenastu filmów. W czym dostrzega pan ich wyjątkowość?

Filmy te wyróżnia rozumienie tematyki romantycznej w sposób świadomy, dogłębny. Są one ważną częścią „pamięci kulturowej”. Były, i są nadal, związane z próbą pogłębienia samoświadomości społecznej i narodowej. Stanowią również bardzo oryginalną propozycję artystyczną pod względem narracji filmowej, obrazowania, gry aktorskiej itp. Każdy z wybranych filmów jest wyrazem osobistych zainteresowań reżyserów, ich indywidualnego stylu.



Wyselekcjonowane produkcje mają charakter kostiumowy. Czy pana zdaniem romantyzm zawsze potrzebuje tak specyficznego przebrania? Jaką miałyby ono pełnić funkcję?

W każdym filmie fabularnym stosuje się jakiś kostium, niezależnie od tego, czy jest to film historyczny, czy też o tematyce współczesnej. Film fabularny jest przecież kreacją nowej rzeczywistości, a nie rejestracją świata. W filmach omawianych w książce kostium jest oczywiście wynikiem zwrotu do epoki historycznej lub elementem adaptacji utworu romantycznego. Może także pełnić funkcję symbolu. Ale nie tylko. Myślę, że jest również wyrazem swoistej wyobraźni artystycznej kreującej niezwykłość obrazów filmowych i ich znaczenia. Wyobrażenia ta wiele zawdzięcza wzorcom romantycznym. Widać to np. doskonale w filmach Wojciecha Hasa, opartych na charakterystycznej sztuczności świata przedstawionego.

A co kryje się pod tym symbolicznym strojem? Czy w romantycznym ujęciu jest w ogóle miejsce na ciało? Jeśli tak, to jak jest ono traktowane? Jako źródło przyjemności, bólu i cierpienia czy też fizyczność w ogóle nie odgrywa żadnej roli, wyparta albo zdominowana przez ducha? A może jest tak, że ciało w tym ujęciu staje się wyłącznie manekinem, na którym udrapowana zostaje materia symbolicznego kostiumu?

Cielesność może odgrywać w filmie szczególną rolę ze względu na to, że film jest medium wizualnym operującym ekspresją ciał aktorów. W samym romantyzmie istniała oczywiście silna tendencja dualistyczna ciało – duch. Nie oznacza to jednak, że artyści romantyczni lekceważyli znaczenie tego pierwszego. Dążyli oni do jedności i czynili to m.in. poprzez wprowadzanie cielesności w kulturę. Jej wyraz ujawnił się we frenzji romantycznej, która ewokowała moc cielesnego erotyzmu, fizycznego cierpienia i ich związek ze śmiercią. Myślę, że w fil-

mach mocny ślad frenezji romantycznej pojawia się w *Dantonie* Andrzeja Wajdy i w filmach Andrzeja Żuławskiego. Zwłaszcza u tego drugiego osiąga ona szczególną moc jako przejaw niekontrolowanych, groźnych sił tkwiących w człowieku.

Jak rozpisane zostają w romantycznym ujęciu role pełnione przez poszczególnych bohaterów? Czy dla kobiet i mężczyzn zadekretowany zostaje jakiś ściśle określony katalog zachowań?

Tu pojawia się istotna różnica pomiędzy romantyzmem a współczesnością. Kobiety w romantyzmie ukazywane były przeważnie z męskiego punktu widzenia. Ich wizerunki podlegały stereotypom – z jednej strony idealizacji, a z drugiej deminizacji, wedle której zetknięcie z kobietą seksualnością związane było ze wstrząsem poznawczym o gnostyckim rodowodzie. W filmach, które omawiam, jest podobnie. Tylko w jednym, *Błękitnej nucie* Żuławskiego, kobiety są bohaterami na równi z mężczyznami. Nic w tym dziwnego, ponieważ jest to film o Fryderyku Chopinie i George Sand, co zresztą wiąże się z faktem, że droga emancypacji kobiet zaczęła się właśnie w epoce romantyzmu.

W romantyzmie uwidacznia się też figura osoby przechodzącej duchową przemianę. Zły staje się dobrym. Czym uzasadniona zostaje taka metamorfoza?

W romantyzmie, wraz z upadkiem oświeceniowego racjonalizmu i po krwawych wydarzeniach rewolucji oraz innych wstrząsach historycznych, zatarły się proste kryteria pomiędzy dobrem a złem. O przyczyny tego stanu rzeczy romantycy potrafili obwiniać nawet Boga. Co więcej, zło stało się bardzo bliskie, bo wynikało z samej natury człowieka. Stało się to dla romantyków wielkim problemem i tematem ich twórczości. Literatura romantyczna roi się od bohaterów napiętnowanych złem i buntowników. Owszem, możliwe są „dobre” przemiany, ale to zazwyczaj skomplikowany proces i nie zawsze kończy się powodzeniem. W tym romantyzm wydaje się bliiski współczesności.

Czy jakiś rodzaj powagi, może nawet patosu, dostrzegalny w romantycznej wizji świata, nie naraża go, szczególnie współcześnie, na śmieśność? Czy romantycznej stylistyce nie grozi obecnie oskarżenie o kicz?

Patos był i chyba wciąż może być ważnym pierwiastkiem sztuki – wszak silne, wstrząsające emocje nie są obce także nam – jakkolwiek współcześni artyści starają się intelektualnie dystansować od sfery emocjonalnej. Warto jednak pamiętać, że to właśnie romantycy stworzyli koncepcję sztuki refleksyjnej, z jednej strony posługującej się patosem, a z drugiej opartej na zmyśle krytycznym. Wprowadzili nowe kategorie estetyczne, „wywrotowe” w stosunku do klasycznego piękna: grozę, groteskę, frenezję. Natomiast kicz stał się elementem kultury popularnej i to też w pewnym sensie zawdzięczamy zjawiskom, które pojawiły się w okresie późnego romantyzmu. Sztuka awangardowa negowała kicz, natomiast sztuka ponowoczesna, biorąc go w pewien cudzysłów, nadała mu nową funkcję. Myślę zatem, że wszystko zależy od strategii podjętej przez artystę.

A może jest tak, że postawy romantycznych bohaterów onieśmielają jednak swoją podniosłością? Powodują, że widzowi trudno utożsamić się z idealnymi postaciami?

Odbiór dzieła, również romantycznego, nie musi opierać się na „utożsamieniu z bohaterem”. Raczej należałoby próbować zrozumieć jego sytuację i postawy. Ponadto dzieło, zwłaszcza filmowe, nie ogranicza się jedynie do bohatera. Jest to również cała sfera zjawisk związanych z narracją i obrazowaniem.

Czy to z racji swojej malowniczości, oniryczności, zanurzenia w nostalgicznym nastroju i wizyjności romantyzm jest pana zdaniem doskonałym tematem na film?

Maria Janion pisała kiedyś o filmowym potencjale romantyzmu, a ponieważ istotą kina jest „ruch”, potencjał ten widziała w swoistym romantycznym „ruchu myśli, idei, obrazów, wyobraźni, etyki, zmagania z historią”. W książce postanowiłem sprawdzić, na ile polscy filmowcy wykorzystali ten potencjał w drugiej połowie dwudziestego wieku i doszedłem do wniosku, że w dużej mierze uczynili to, mimo ograniczeń historycznych i politycznych. Myślę, że kino polskie spełniało w tym czasie funkcję „ruchomego zwierciadła” – posługując się tu określeniem stosowanym przez Maurycygo Mochnackiego – polskiej wyobraźni, świadomości i kultury.

Spróbujmy spojrzeć teraz na romantyzm ze współczesnej perspektywy. Czy jest dziś jeszcze miejsce na tego rodzaju estetykę odwołującą się do wieloznacznych symboli i podniosłych haseł? Za pomocą jakiego klucza można obecnie czytać romantyzm?

Romantyzm to epoka historyczna, która zostawiła po sobie trwałe ślady i problemy. Trzy zasadnicze kwestie filozoficzne eksplorowane przez romantyzm: podmiotowość i związana z nią samowiedza, wyobraźnia jako kreacyjny potencjał łączący jednostkę i świat oraz wolność rozumiana jako autonomia moralna jednostek i grup, są wciąż zasadnicze, choć należy pamiętać, że po romantyzmie zmieniały się ich znaczenia. Natomiast w kontekście estetycznym przydatne mogą być np. kategorie wzniosłości i ironii, będące przejawem doświadczenia nieuchwytności współczesnego świata i zarazem świadomości tego stanu rzeczy.

Pozostaliśmy w obszarze współczesności. Jakie polskie produkcje umieściłby pan dziś na swojej romantycznej liście? A może obecnie niemożliwe byłoby stworzenie takiego zestawienia?

W ostatnich trzydziestu latach filmowych prób powrotu do romantyzmu było niewiele. Z różnych przyczyn. Jeśli się pojawiały, to w trzech odmianach, zresztą nienowych: jako adaptacja literacka, np. *Pan Tadeusz* Andrzeja Wajdy, ujęte w ironiczny cudzysłów, jak w *Dniu świra* Marka Koterskiego lub jako tematyka narodowa, korzystająca z patriotycznych klisz wywodzących się z romantyzmu, czego przejawem są np. nowe filmy o Józefie Piłsudskim. Motywy znane z romantyzmu można z pewnością znaleźć również w innych filmach, może np. w *Demonie* Marcina Wrony czy *Daas* Adriana Panka.

Jak patrzy się dziś na tradycję romantyczną? Czy nie odnosi pan wrażenia, że bywa ona traktowana jako coś mgliście odległego, rodzaj tęsknoty za światem niereczywistym, a jednocześnie coś, co nie mieści się w kanonie współczesności z jej rozdręgnięciem, zmiennością i hałaśliwością?

Nie ma jednej odpowiedzi na to pytanie. Myślę, że wciąż ważna jest znajomość historii i dzieł romantycznych jako trwałego kontekstu kultury polskiej, ale bez uproszczonego rozumienia, jako stereotypów dotyczących wspólnoty narodowej. W kontekście współczesnym interesujące mogą być doświadczenia romantycznych sprzeczności – np. trwałości i zmiany, jednostki i zbiorowości – jako impuls do namysłu nad aktualnymi problemami i podstawa krytycznego spojrzenia, a także sztuka, twórczość, niekoniecznie naśladowące bezpośrednio wzorce romantyczne, ale tak jak dzieła romantyków, będące domeną aktywności, refleksji, wyobraźni i dialogu.

Rozmawiała Aneta Zawadzka

Piotr Hübner

Człowiek-instytucja

Wykłady Majera dla chirurgów „niższych” obejmowały nie tylko przedmioty medyczne, ale i fizykę, logikę, psychologię. Wysłuchiwali ich też studenci farmacji. Wykładał przedmioty z własnych notatek. Nominację na profesora rzeczywistego uzyskał 14 lipca 1835 roku. Część samodzielnych rozpraw Majera dotyczyła dawnych profesorów medycyny krakowskiej. Obszerną była książka *Obraz postępu nauki lekarskiej* (1840). Opracował projekt urządzenia służby weterynaryjnej (1841) oraz statut Zgromadzenia Chirurgów Niższych (1842).

Rodzina Majerów wywodziła się z Niemiec. Istniał wówczas obowiązek wędrowności czeladników, a Kraków był dla nich ostoją, ulegali tu polonizacji zazwyczaj już w drugim pokoleniu. Jak ustalił Adam Wrzosek (*Józefa Majera życie i zasługi naukowe*, 1957), ojciec Józefa, Joannes Mayer, był białoskórnikami „religii katolickiej”. Ożenił się z wdową po swym mistrzu i przejął jego warsztat. Matka, Marianna z domu Przybylska, prowadziła dom. Jan był jej drugim mężem (I v. Klenkner). Józef Grzegorz Majer urodził się w Krakowie 12 marca 1808 roku. Wpływ na jego drogę do nauki miał starszy o dwa lata brat, Wojciech. Najstarszą z rodzeństwa była Marianna, imienniczka matki. Józef przeszedł nauczanie domowe i trafił do Gimnazjum św. Anny, gdzie uzyskał maturę w 1824 roku. Studia propedeutyczne odbył na Wydziale Filozoficznym UJ, w ciągu roku akademickiego 1824/1825 opanował dwuletni materiał i wpisał się następnie na Wydział Lekarski.

Zaprzyjaźnił się trwale z Fryderykiem Skoblem – wspólnie przygotowali się do egzaminów. Postanowili po absolutorium „udać się do Królestwa, aby tam znaleźć kawałek chleba” (jak wspominał Fryderyk Skobel). W Krakowie nie mieli szans na szpitalny etat, a tym bardziej na praktykę prywatną. W końcu listopada 1830 roku zamierzali wyjechać do Wilna, ale zatrzymał ich w Warszawie wybuch powstania listopadowego. Uzyskali na UJ zgodę na składanie rygorozów bez uprzedniego złożenia rozprawy doktorskiej. Egzaminów zdali w ostatniej dekadzie grudnia 1830 roku. Uroczystą promocję uzyskali 12 stycznia 1831 roku, po złożeniu rewersów dotyczących prac doktorskich. Poprzez krakowskiego delegata Komisji Rządowej Wojny zgłosili się jako ochotnicy do wojska. Zostali lekarzami batalionowymi w stopniu kapitana (9 II 1831). Majer już 14 września 1831 roku awansował na stanowisko lekarza sztabowego. W końcu tego miesiąca ich oddziały zostały internowane – Majer znalazł się w Elblągu. Z dniem 18 grudnia zostali zwolnieni ze służby wojskowej, co dla Majera oznaczało też zakończenie praktyki lekarskiej. Do Krakowa dojechali na dzień Nowego Roku 1832.

Dwaj przyjaciele i medycyna

Majer odbył kilkumiesięczną podróż naukową po Niemczech, a po powrocie złożył podanie na UJ, zgłaszając gotowość wykładania – ze stopniem profesora nadzwyczajnego

„bezpłatnego” – jakiegokolwiek nieobsadzonego przedmiotu (27 VI 1832). Uzyskał zgodę Senatu Akademickiego (12 I 1833) i podjął w języku łacińskim wykłady z farmakologii. Gdy zlikwidowano stopień profesora nadzwyczajnego, został mianowany przez Senat Rządzący Rzeczypospolitej zastępcą profesora nauk teoretycznych (19 X 1833). Wśród argumentów za kandydatem wymieniano i taki: „jest ziomkiem tutejszo-krajowym” (co ustalił Adam Wrzosek). Majer wykładał w języku polskim przyszłym chirurgom, z roczną płacą 3 tys. złp (połowa płacy profesora rzeczywistego). Złożył zaległą pracę doktorską *Commentatio medico-practica exhibens synopsis methodorum tractandae syphilidis ope hydrargyri*, ogłoszoną drukiem przez oficynę Friedleina. W tej protestanckiej rodzinie poznał późniejszą żonę, Karolinę. Mieszkali w domu rodzinnym Majerów. Według Adama Wrzoska (*Józefa Majera życie i zasługi naukowe*, 1957) dwaj przyjaciele z okresu studiów na Wydziale Lekarskim UJ podzielnili się tematyką, zapewne łącząc to ze współpracą. Józef Majer doktoryzował się z zagadnienia leczenia kiły rżęcią, a Fryderyk Skobel z leczenia jej środkami beztęciowymi. Obaj złożyli swe prace do obrony w tym samym czasie i mieli tego samego wydawcę (1833).

Wykłady Majera dla chirurgów „niższych” obejmowały nie tylko przedmioty medyczne, ale i fizykę, logikę, psychologię. Wysłuchiwali ich też studenci farmacji. Wykładał przedmioty z własnych notatek (co ustalił Adam Wrzosek). Nominację na profesora rzeczywistego uzyskał 14 lipca 1835 roku. W tym roku opublikowali ze Skoblem pracę *Uwagi nad niektórymi wyrazami lekarskimi*, w następnych latach rozwijali tę problematykę w kolejnych publikacjach. Część samodzielnych rozpraw Majera dotyczyła dawnych profesorów medycyny krakowskiej. Obszerną była książka *Obraz postępu nauki lekarskiej* (1840). Opracował projekt urządzenia służby weterynaryjnej (1841) oraz statut Zgromadzenia Chirurgów Niższych (1842). Redagował ze Skoblem „Rocznik Wydziału Lekarskiego”, zawierający materiały sprawozdawcze, rozprawy oraz „rozmaitości” fachowe. Rocznik ukazywał się w latach 1838-1845. Majer sprawował dodatkowo z ramienia UJ nadzór nad szkołami początkowymi (1839-1845). W czasie Wiosny Ludów (1848) został szefem oddziału akademickiego Gwardii Narodowej. Po likwidacji Szkoły Chirurgicznej (6 IX 1847) pozostał bez katedry i dopiero reskrypt cesarski z 24 lipca 1850 roku

nadał mu Katedrę Fizjologii. Od 1843 do 1845 roku był sekretarzem Wydziału Lekarskiego, w latach 1845-1847 i 1862-1864 dziekanem, a od połowy 1848 do połowy 1851 roku – rektorem. Następnie przez półtora roku był prorektorem. Z jego inicjatywy senat UJ wystąpił do władz wiedeńskich o odzyskanie funduszy uniwersyteckich (1850). Na wniosek Majera uruchomiono wykłady otwarte z dochodem przeznaczonym na wspieranie ubogich studentów (1850). W tym samym roku brał czynny udział w odbudowie miasta i uniwersytetu po pożarze, a także w akcji pomocy zubożałym studentom.

Nigdy nie rozdwa

Gdy pojawił się projekt wprowadzenia języka niemieckiego jako wykładowego, Majer zgłosił na posiedzeniu Rady Wydziału Lekarskiego (12 VII 1853) gotowość rezygnacji z katedry, gdyż nie władał językiem niemieckim na tyle, by prowadzić wykłady. Po wprowadzeniu tej reformy wykladał nadal po polsku, jednak tylko nieobowiązkowe przedmioty, wśród których jako pierwszy w Polsce – antropologię. Został nawet kierownikiem Zakładu Antropologii (1856-1878). W roku 1854 Majer opublikował *Fizyologię układu nerwowego*, a trzy lata później *Fizyologię zmysłów*. Pod jego redakcją ukazał się *Pamiętnik pierwszego zjazdu lekarzy i przyrodników polskich odbytego w roku 1869 w Krakowie* (1870). W latach 1862-1876 redagował „Przegląd Lekarski”.

Po repolonizacji Uniwersytetu Jagiellońskiego Majer wrócił (1861) na Katedrę Fizjologii. Gdy pozbawiono katedry i urzędu rektora Józefa Dietla (15 VIII 1865), urząd ten objął Józef Majer. Z tego tytułu był członkiem Sejmu Galicyjskiego, następnie wybrano go na posła. W Sejmie Galicyjskim przewodniczył Komisji Edukacyjnej reformującej szkolnictwo. Przewodniczył też polskiemu kołu sejmowemu – nie był członkiem żadnego stronnictwa. Swoje poglądy przedstawił na zebraniu przedwyborczym do Sejmu Krajowego („Czas” z 3 VII 1889): „Byłem i jestem demokratą (...), którzy w bliźnim cenią bliźniego, a w ojczyźnie widzą obszerniejszą rodzinę, którą kochać, dla niej żyć i umierać uważają sobie za obowiązek”. Mimo wsparcia konserwatystów, Majer przegrał w wyborach z Adamem Asnykiem, popieranym przez ugrupowania liberalno-demokratyczne. Był też radnym miasta Krakowa (1866-1878). Według Kazimierza Chłędowskiego, Majer „zawsze łączył, a nigdy nie rozdawał”. Problematyką szkolnictwa zajmował się Majer również w Radzie Miejskiej Krakowa. Od roku 1871 był zastępcą przewodniczącego Krakowskiej Rady Szkolnej Okręgowej. Władze wiedeńskie obdarzyły go odznakami, dożywotnim członkostwem w Izbie Panów oraz tytułem ekscelencji – tajnego radcy dworu.

Towarzystwo Naukowe Krakowskie

Upowszechniając naukę wydał Majer (bezimiennie) książeczkę *Zjawiska napowietrzne* (1849, 1862). Odkrył zjawisko wpływu ciśnienia powietrza na czynności serca. Do *Encyklopedii Powszechnej* Orgelbranda opracował (do 1863) 23 hasła biograficzne oraz 26 haseł dotyczących fizjologii i nauk przyrodniczych. Wspólnie z Izydorem Kopernikiem opublikował wyniki badań ankietowych *Charakterystyka fizyczna ludności galicyjskiej* (1876). Przez wiele lat, zwłaszcza w podeszłym wieku, Majer zajmował się zjawiskiem długowieczności. Oceniał, że człowiek mógłby dożywać wieku stu pięćdziesięciu lat. W roku 1877 przeszedł na UJ na emeryturę. Okres wakacji spędzał Majerowie na Woli. Jego brat, Wojciech, robił karierę prawnika – został prezesem trybu-



Kazimierz Pochwański, *Portret Józefa Majera*, olej na płótnie, 1891

Zródło: Wikipedia

nału. Córeczka Majera zmarła w 1839 roku w wieku dziewięciu miesięcy. W tym samym roku zmarł też jego ojciec. Majer miał na utrzymaniu żonę. Po jej śmierci w 1882 r. gospodarstwo domowe prowadziła siostrzenica. Wspomagał pięcioro dzieci przedwcześnie zmarłej siostry. Mieszkał wtedy przy ulicy Wiśnej, na pierwszym piętrze kamienicy „pod Zającem”. W ostatnich latach życia przeprowadził się do mniejszego, czteropokojowego mieszkania przy ulicy Krupniczej. Komponował i dawał w czwartki koncerty fortepianowe.

Szczególnym polem działalności stało się – obok uniwersytetu – Towarzystwo Naukowe Krakowskie. Jako profesor UJ Majer był członkiem towarzystwa od 1835 roku. Objął prezesurę z urzędu – jako rektor UJ, od października 1848 roku. Zredagował w tym roku projekt statutu towarzystwa. Równoległe z pielegnowaniem nauk wprowadził zadanie „rozszerzania oświaty”. Powołano w towarzystwie wydziały: akademicki oraz rozszerzania oświaty. Ten drugi z Komitetem dla Książ Elementarnych. W roku 1849 uruchomiono „Bibliotekę Naukową”, w ramach której ukazywały się podręczniki uniwersyteckie. Majer wspierał poszukiwania archeologiczne. Po trzech latach, gdy ustąpił z urzędu rektora UJ, nadal przez rok pełnił funkcję prezesa towarzystwa. Przedstawił w ciągu lat prezesury aż jedenaście referatów naukowych. Z jego inicjatywy towarzystwo zaczęło przygotowywać „Powszechny polski słownik terminologiczny”. W roku 1852 władze austriackie zablokowały funkcjonowanie towarzystwa. Po prezesurze Franciszka Wężyka, mecenasa, który przekazał środki na budowę gmachu towarzystwa, powrócił do prezesury Majer (25 II 1860), dotychczasowy wiceprezes i przewodniczący Wydziału Nauk Przyrodniczych i Lekarskich TNK. Majer doprowadził do ukończenia, a nawet rozbudowy gmachu. Pierwsze publiczne posiedzenie towarzystwa odbyło się we własnej siedzibie 4 marca 1865 roku.

Na rachunkach się nie znał

Budynek był formą, w którą Józef Majer wprowadził treść najwyższej próby. Doprowadził do przekształcenia akademickiego towarzystwa w narodową Akademię Umiejętności. Opoowiadał się początkowo za dualizmem, podobnie jak w 1848 roku chciał zachować formę towarzystwa rozszerzania oświaty obok

powołania Akademii Umiejętności – pod łączną nazwą „instytutu”. Ostatnie posiedzenie towarzystwa odbyło się 29 kwietnia 1872 roku. Do pierwszego składu Akademii Umiejętności Majer został wybrany na członka czynnego krajowego (13 V 1872). Cesarz mianował go prezesem Akademii Umiejętności 12 grudnia 1872 roku. Akademię inaugurowano posiedzeniem z 7 maja 1873 roku. Majer, dając innym przykład, złożył 560 złr na Komisję Historyczną (1873). Po dwóch latach uzyskał mandat prezesa z wyboru członków – cieszył się uznaniem nie tylko w kręgu członków akademii, ale i całej społeczności ludzi nauki. Wybory tajne przyniosły jednogłośnie akceptację prezesury Majera także w latach 1878, 1881, 1884 i 1887. Licząc lata prezesury w towarzystwie (16) i Akademii (18), możemy określić Majera mianem „człowieka-instytucji”.

Józef Rostański zanotował (*Józef Majer. Wspomnienie pośmiertne*, „Przegląd Polski” r. 34, 1899), że prezes na wnioski finansowe „ustępował z bołością i zapisywał wydatek w małą książeczkę, którą przy sobie nosił i która była całą kontrolą wydatków Akademii i podskarbiego (...). Majer zmysłu administracyjnego nie posiadał, na rachunkach – jak sam mówił – nigdy się nie znał, a regulamin ułożył sam w ten sposób, że właściwie według jego brzmienia prezes był wszystkim, a sekretarz generalny mógł otwierać – naturalnie w nieobecności prezesa i to jeżeli nie były wprost do niego adresowane – pisma do Akademii. Ale sekretarzem generalnym był Józef Szujski, który bez regulaminu się obchodził, umiał z »kochanym prezesem« zrobić wszystko co chciał”. Rostański przytoczył wierszyk Stefana Kuczyńskiego o zawartości statutu akademii: „§1. Akademia na prezesa wybiera zawsze Józefa Majera. §2 Dyrektorowie, sekretarze, robią to, co Majer każe”.

Gdy odczuł ciężar starości – miał wtedy 82 lata – ustąpił z prezesury Akademii. Wygłosił pożegnalną mowę 6 grudnia 1890 roku. Akademia powołała wtedy Nagrodę imienia Józefa Majera – fundację ogłaszającą konkursy co dwa lata, których tematy dożywotnio miał ustalać Majer (nagroda wynosiła 1 tys. złr). Zrzekł się prawa wyznaczania tematów konkursowych na rzecz wydziałów akademii. Nadal przewodniczył Komisji Językowej (od 1865) oraz Komisji Antropologicznej (od 1874).

Józef Majer zmarł 3 lipca 1899 roku. Uroczysty pogrzeb odbył się na koszt Akademii Umiejętności.

Nowi profesorowie

8 października 2020 Prezydent RP Andrzej Duda wręcza akty nominacyjne nauczycielom akademickim oraz pracownikom nauki i sztuki.

NAUKI HUMANISTYCZNE: **Joanna Czaplinska** (UO), **Paweł Jaworski** (UWr), **Daniel Kalinowski** (AP Słupsk), **Aleksandra Kunce** (UŚ), **Bożena Matuszyk-Podgórska** (UG), **Hanna Ratuszna** (UMK), **Joanna Zach** (UJ), **Leszek Ziątkowski** (UWr), **Radosław Żurawski vel Grajewski** (UŁ)

NAUKI INŻYNIERYJNO-TECHNICZNE: **Andrzej Białowiec** (UPWr), **Dorota Chwieduk** (PW), **Marian Gieras** (PW), **Barbara Goszczyńska** (PŚk), **Katarzyna Ignatowicz** (PB), **Janusz Jeżewski** (SBŁ – ITiAM Zabrze), **Sławomir Kocira** (UP Lublin), **Cezary Kozłowski** (UHPJD), **Marek Kułazyński** (USz), **Jan Macuda** (AGH), **Zbigniew Myszowski** (PK), **Wojciech Puła** (PWr), **Krzysztof Schabowicz** (PWr), **Jacek Stefański** (PG), **Jan Suchanicz** (UPK), **Bartłomiej Wierzba** (PRz), **Ewa Wojciechowska** (PG)

NAUKI MEDYCZNE I O ZDROWIU: **Rafał Bartoszewski** (GUMed), **Mirosław Bik-Multanowski** (UJ), **Andrzej Bożek** (SUM), **Katarzyna Gruszczyńska** (SUM), **Hubert Huras** (UJ), **Miłosz Jaguszewski** (GUMed), **Marek Krzysztanek** (SUM), **Cezary Kucio** (AWF Katowice), **Donata Kurpas** (UMWr), **Artur Mierzecki** (PUM), **Bartłomiej Perek** (UMP), **Grzegorz Raba** (Wojewódzki Szpital w Przemyślu), **Jerzy Sieńko** (PUM)

NAUKI PRAWNE: **Marcin Kamiński** (UJ)

NAUKI SPOŁECZNE: **Wioletta Kamińska** (UJK), **Ireneusz Kraś** (UJK), **Jacek Zaucha** (UG)

SZTUKA: **Stanisław Kotliński** (AMuz Gdańsk), **Arkadiusz Marcinkowski** (ASz Szczecin), **Paweł Paluch** (URz), **Maria Seremet-Dziewięcka** (AMuz Kraków), **Tomasz Zagórski** (AMuz Poznań)

0 poziomach wynalazków

Z punktu widzenia przedsiębiorców-innowatorów wiarygodna ocena poziomu wynalazków byłaby istotną wskazówką co do możliwości ich wprowadzenia na rynek i osiągnięcia sukcesu. Powszechnie wiadomo i potwierdzają tę tendencję dane historyczne, że produkty i technologie o charakterze przełomowym zapewniają największe korzyści finansowe.

Znane polskie przysłowie mówi, że człowiek człowiekowi nierówny. Dotyczy to cech umysłowych i fizycznych ludzi, a nie równości wobec prawa. To samo można powiedzieć o wynalazkach. Wynalazek wynalazkowi nierówny pod względem zarówno ich cech określających istotę rozwiązań stanowiących przedmiot wynalazku i ich poziom, jak i zdolności patentowej. Zdolność patentowa wynalazków jest na całym świecie oceniana przez badaczy urzędów patentowych na podstawie podobnych kryteriów nowości, poziomu wynalazczego i stosowności. Na tym etapie następuje podział wynalazków na mające zdolność patentową, czyli spełniające wymogi nowości, poziomu wynalazczego i stosowności, oraz takie, które tych wymogów nie spełniają. Jeżeli rozwiązanie spełnia na przykład kryterium nowości, ale według oceny badacza nie ma poziomu wynalazczego, a tym samym nie ma zdolności patentowej, może w Polsce i np. w Niemczech uzyskać ochronę jako wzór użytkowy.

W rezultacie badania zdolności patentowej wynalazków dochodzi do ich podziału zero-jedynkowego, natomiast nie przeprowadza się oceny poziomu wynalazków, które posiadają zdolność patentową. Pojęcie poziomu wynalazku (ang. level of invention) zdefiniował i wprowadził do stosowania G.S. Altshuller w latach sześćdziesiątych XX w. W odróżnieniu od poziomu wynalazczego (ang. inventive step) dotyczy on relatywnego stopnia zmian w porównaniu do znanych rozwiązań, będącego rezultatem rozwiązania problemu technicznego.

Altshuller na podstawie badań ok. 200 tys. opisów patentowych określił pięć poziomów wynalazków. Poziomy te są zdefiniowane opisowo i obserwuje się różnice w ich opisie według różnych autorów. Również granice między poszczególnymi poziomami nie są na tyle ostre, aby można było jednoznacznie określić ich poziom, zwłaszcza w przypadku poziomów sąsiednich, np. pierwszego i drugiego czy trzeciego i czwartego.

I tak na przykład K. Rantanen w publikacji *Level of Solutions* („The TRIZ Journal”, 12.1997) opisał pięć poziomów wynalazków następująco:

- Poziom 1 – Standardowe rozwiązanie. Typowe optymalizowanie rozwiązania, niewielkie ilościowe zmiany (ulepszenia) bez zmiany jakości. Zastosowanie wiedzy w danej specjalności.
- Poziom 2 – Zmiana systemu. Przedmiot wynalazku jest zmieniony jakościowo, ale nie zasadniczo. Zastosowanie wiedzy w obszarze danej gałęzi przemysłu.

- Poziom 3 – Rozwiązanie obejmujące różne dziedziny przemysłu. Przedmiot jest radykalnie zmieniony. Zastosowanie wiedzy z różnych dziedzin.
- Poziom 4 – Rozwiązanie obejmujące różne dziedziny nauki. Nowy przedmiot jest utworzony. Zastosowanie nowej wiedzy naukowej, raczej nie informacji technicznych.
- Poziom 5 – Odkrycie. Rozwiązanie oparte na odkryciu naukowym. Zastosowanie wiedzy bazującej na nowym odkryciu naukowym.

W opisie poziomu piątego K. Rantanen użył określenia odkrycie, które spotyka się również u innych autorów. Według art. 28 obowiązującej w Polsce ustawy Prawo własności przemysłowej odkrycia naukowe nie są uważane za wynalazki.

Od brzytwy do elektrycznej golarki

Przyporządkowanie wynalazków do poszczególnych poziomów ma charakter subiektywny, niemniej pozwala w przybliżeniu na różnicowanie ich pod względem stopnia wynalazczości (ang. degree of inventiveness) na wynalazki przełomowe, dotychczas nieznanne, jak np. elektryczna golarka opatentowana w 1930 r. czy tranzystor – 1947 r., które kwalifikuje się na poziomie czwartym i piątym, oraz wynalazki stanowiące modyfikacje znanych rozwiązań na poziomie pierwszym i drugim.

O ile granice między sąsiednimi poziomami są nieostre, co przyczynia się do subiektywnej oceny poziomu wynalazków i ich przyporządkowania do danego poziomu, o tyle różnice między wynalazkami na poziomie czwartym i piątym oraz pierwszym i drugim są wyraźne i oczywiste.

Z badań przeprowadzonych przez G.S. Altshullera w latach 1965-69 i w roku 1982 wynika, że ok. 77% wynalazków kwalifikuje się do poziomu pierwszego i drugiego, a według badań w 1982 r. nawet 94%. Tymczasem 19% wynalazków sklasyfikowano na poziomie trzecim, 4% na poziomie czwartym i poniżej 1% na poziomie piątym.

Zasady klasyfikowania wynalazków według powyższych kryteriów można zilustrować na przykładach rozwiązań z różnych dziedzin techniki. I tak np. w dziedzinie przyborów do golenia twarzy już w epoce brązu używano do tego celu brzytw wykonanych ze stopu miedzi i cyny, które były stosowane w zakładach fryzjerskich do lat pięćdziesiątych XX w. Pierwszym przełomowym wynalazkiem w tej dziedzinie, który można sklasyfikować na poziomie czwartym lub piątym, była maszynka do golenia wyposażona w żyłkę (ang. razor), wyna-

leżona w 1901 r. przez K.C. Gillette'a i opatentowana w 1904 r. Maszynki do golenia są stosowane do dzisiaj, oczywiście w stosunku do pierwowzoru wprowadzono wiele modyfikacji i ulepszeń, z których najistotniejsze było zastosowanie w latach sześćdziesiątych XX w. wymiennego ostrza metalowego zamiast żyłki. Ten wynalazek można zakwalifikować na poziomie trzecim. Inne modyfikacje polegały na zwiększeniu liczby ostrzy (maksymalnie do sześciu) oraz zastosowaniu obrotu głowicy z ostrzami względem rączki, które można sklasyfikować na poziomie drugim lub trzecim.

Kolejnym przełomowym wynalazkiem w tej dziedzinie była golarka elektryczna, którą wynalazł J. Schick i w 1930 r. otrzymał patent w USA. Ten wynalazek odpowiada poziomowi czwartemu według wyżej wymienionych kryteriów. Sposób cięcia zarostu opracowany przez J. Schicka w zasadzie nie zmienił się do dziś, a polega ogólnie rzecz biorąc na oscylacyjnym ruchu płytki z naciętymi ząbkami-ostrzami w płaszczyźnie pod perforowaną płytką głowicy, w którą wchodzi włos zarostu. Płytką z ostrzami była napędzana silniczkiem elektrycznym poprzez wałek obrotowy. Około 1940 r. firma Philips opracowała golarkę elektryczną z ostrzami obrotowymi stosowanymi do dziś. To rozwinięcie wynalazku Schicka można sklasyfikować na poziomie trzecim. Natomiast dalsze ulepszenia golarek elektrycznych, takie jak zwiększenie liczby głowic tnących do dwóch i trzech, zastosowanie głowic zamocowanych wahliwie czy zasilanie akumulatorowe z okresowym ładowaniem odpowiadają poziomowi pierwszemu lub drugiemu.

Na podstawie wymienionych przykładów można stwierdzić, że określenie poziomu wynalazku według powyższych kryteriów jest przybliżone i subiektywne, niemniej jednak w pewnym stopniu określa jego poziom względem rozwiązań znanych w stanie techniki, przy czym nawet wynalazki na poziomie pierwszym i drugim mogą mieć zdolność patentową.

Większość to modyfikacje

W ostatnich dekadach obserwuje się w krajach rozwiniętych lawinowy wzrost liczby zgłoszeń wynalazków i udzielonych patentów, przy czym większość z nich odpowiada poziomom od pierwszego do trzeciego, a niewiele jest wynalazków na poziomie czwartym i piątym. Potwierdzałyby to wnioski Altshullera z badań przeprowadzonych w latach sześćdziesiątych i osiemdziesiątych XX w., że około 80-90% rozwiązań to modyfikacje rozwiązań znanych lub stosowanych na poziomie pierwszym i drugim, a liczba wynalazków przełomowych, na poziomie czwartym i piątym, jest niska, poniżej 5%.

Wydaje się, że zaproponowany przez G.S. Altshullera i innych badaczy podział wynalazków według ich poziomu może być użyteczny, ale w praktyce nie jest stosowany w ich ocenie. Z punktu widzenia przedsiębiorców-innowatorów wia-

rygodna ocena poziomu wynalazków byłaby istotną wskazówką co do możliwości ich wprowadzenia na rynek i osiągnięcia sukcesu. Powszechnie wiadomo i potwierdzają tę tendencję dane historyczne, że produkty i technologie o charakterze przełomowym (poziom czwarty i piąty) zapewniają największe korzyści finansowe na rynku, natomiast wymagają zainwestowania dużych środków i podjęcia ryzyka, a więc brania pod uwagę możliwości poniesienia strat zamiast zysków. Natomiast wynalazki, które mają charakter ulepszeń oraz modyfikacji znanych na rynku produktów czy technologii, umożliwiają osiągnięcie mniejszych korzyści, ale są za to mniej ryzykowne.

Aby jednak zaproponowana przez G.S. Altshullera klasyfikacja wynalazków stała się stosowanym i wiarygodnym narzędziem oceny ich poziomu, powinna zostać ulepszona, tak żeby kryteria oceny były precyzyjne i jednoznaczne, umożliwiające wiarygodne określenie ich poziomu.

Dr inż. Jerzy Adelt, Uniwersytet Trzeciego Wieku Politechniki Warszawskiej



Czy można leczyć zdalnie

Pytanie zawarte w tytule (ale bez pytajnika, bo jest retyryczne) zadaje sobie wielu ludzi, przeważnie mających naiwne wyobrażenie medycyny, ale słyszałem je także z ust – niestety – lekarzy. Ci, którzy zetknęli się z podobnym problemem na przykład w USA, wiedzą, że im mniejszy bezpośredni kontakt pacjenta z żywym lekarzem, tym gorsze wyniki działania medycznego. Filmy o medycynie, takiej jak seriale *Good doctor* czy *Chicago Med*, pokazując porządek i skuteczność celowego działania w szpitalnej izbie przyjęć, najzwyczajniej w świecie kłamią. To wymysły scenarzystów, w życiu jest inaczej: bałagan, działanie „na odwal się”, pośpiech dyktowany niechęcią do przybywających chorych, hamowany jedynie przez zagrożenie sądem w razie przekroczenia granic nieudolności.

Medycyna codzienna, ta za małe pieniądze, nie ma tam wiele wspólnego z ogromną chwałą medycyny niecodziennej, zależnej od gigantycznych pieniędzy i wielkiej techniki. Już w latach osiemdziesiątych XX w. pacjenci przywożeni karetkami na sygnale, zanim trafiali przed oblicze lekarzy, powolutku przejeżdżali na noszach przez tunel, w którym były maszyny wykonujące badania laboratoryjne, potem taśmowo przekazujące klientów do poczekalni, aż ktoś się zlituje i zapyta, „co panu dolega”. W szpitalach państwowych (na tak zwanych SOR-ach) jest tam tak do dzisiaj, z niewielką poprawą, bo przybyło badań, które warto chorym robić, gdyż ubezpieczenie więcej wtedy płaci. Doprosić się solidnej oceny i porządnego planu terapeutycznego często nie sposób. Działa spychoterapia, odsyłanie od jednego bardzo wąskiego specjalisty do drugiego, jeszcze węższego.

Zapewniam, że u nas jest trochę lepiej, choć broń Boże nie idealnie, z tym że mniej się robi badań, bo właśnie nikt, w tym NFZ, nie chciałby za nie płacić. Wieloletnia kampania internetowa, samorzutna, moim zdaniem intuicyjna i niesterowana ani przez państwo, ani przez lekarzy, spowodowała, że ludzie zaczęli wierzyć, iż badanie lekarskie polega wyłącznie na pobraniu krwi, moczu, wykonaniu USG i zrobieniu paru fotek rentgenowskich. To tak, jakby ogromna część wiedzy i umiejętności, pompowanych przez bitych sześć lat w studentów medycyny, po studiach miała już nie mieć znaczenia. Słuchawki lekarskie to przeżytek, ozdobnik szyi doktora. Ludzie w to wierzą. Dla nich badanie to wynik laboratoryjny. Zaczynają tak mniemać także, o zgrozo, niektórzy mniej rozcignięci lekarze. Można to poznać po ich odruchach znachorskich, takich jak sprowadzanie terapii do jednego typu działania, np. jednego leku, w każdym przypadku tego samego.

Tymczasem wiemy już na przykładzie amerykańskim, że system zdalny, bezkontaktowy, który stanowi tam niemal sto procent procesu diagnostycznego, jest mniej skuteczny i wobec tego wyraźnie podnosi poziom zagrożenia powodo-

wanego przez zaplanowaną na tej podstawie terapię – nieudaną, nietrafną czy nawet wręcz szkodliwą. Metoda zdalnej medycyny ruguje obserwację bezpośrednią i wpływ psychoterapeutyczny, ponieważ przesuwając ocenę procesów patologii wyłącznie na sferę czynników fizyko-chemicznych, z niemal całkowitym ignorowaniem stanów psychicznych i problemów socjalnych. Że jest to podejście skrajnie błędne, powie każdy lekarz amerykański i tym bardziej polski, ale mimo to wielu ma skłonność do postępowania wbrew tej tezie. Dlaczego? Bo łatwiej, taniej, szybciej, bez wysiłku, zwłaszcza umysłowego, bez obciążeń etycznych. Wystarczy wprowadzić parametry badań do komputera, a maszyna odpowie, co choremu jest i jak należy go leczyć. Pracowałem w amerykańskim szpitalu, więc wiem. Tam tak jest. Miejsca na myślenie w tym systemie prawie nie ma. Pacjenci chorują gorzej i dłużej, niż by mogli.

Ograniczanie bezpośredniego kontaktu lekarza z pacjentem jest niebezpieczne. Jeśli doktor przeprowadza wywiad lekarski przez telefon albo za pośrednictwem ekranu, to w mojej ocenie traci mniej więcej jedną trzecią skuteczności diagnostycznej, co pociąga za sobą obniżenie trafności terapeutycznej o połowę. Wynika to z tego, że chory nie czuje się wtedy tak zobligowany do mówienia wszystkiego, zwłaszcza prawdy, jak w gabinecie lekarskim. Po drugie pacjent wierzy wówczas tylko w część zaleceń, a nawet nie ufa żadnym. Przestaje oddziaływać to, co w medycynie niechirurgicznej jest tak ważne – bezlekowy wpływ lekarza na przebieg i skuteczność terapii. Pamiętajmy o podstawowej zasadzie, która mówi, że antybiotyk (jak niemal wszystkie inne leki) nie leczy, ale jedynie stwarza organizmowi warunki do samoleczenia, w tym wypadku przez zabicie bakterii. Dlatego Hipokrates mówił: „primum non nocere” (po pierwsze nie przeszkadzać – organizmowi w samoleczeniu).

Zdalny kontakt lekarza z pacjentem gruntownie i na poczekaniu zmienia sposób myślenia lekarskiego. Wielu rzeczy nie widać, nie słycać, nie czuć. Zanikają istotne parametry badania i terapii. Zmysł węchu i dotyku lekarza nie działają wcale. Nie można osłuchać płuc, obmacać brzucha, obejrzeć skóry, nawet kolory są nieprawdziwe. Badań typu neurologicznego, naczyniowego czy okulistycznego nie da się wykonać, a przecież należą one do typowego gabinetowego repertuaru każdego lekarza, w tym lekarza pierwszego kontaktu. A już słyszałem w naszych kręgach dziennikarskich, że słuchawki lekarskie jak w Ameryce – są tylko atrapą, bo przecież wszystko da się zastąpić elektroniką. Otóż nie da się. Na amerykańskich uczelniach medycznych podnoszą się głosy, że czas gonić w tej dziedzinie Europę.

Przyszłość dydaktyki akademickiej



Według autorów książki profesjonalizm nauczyciela akademickiego można rozpatrywać przynajmniej na trzech płaszczyznach: profesjonalnej wiedzy wynikającej z bycia czynnym badaczem, profesjonalnego działania dydaktycznego oraz kwalifikacji etyczno-moralnych będących podstawą budowania relacji z drugim człowiekiem. „Pominięcie choćby jednego wymiaru, jednego horyzontu powoduje znaczące uproszczenie obrazu roli zawodowej” – pisze Anna Sajdak-Burska we wstępie. Autorka ta omawia etapy rozwoju

zawodowego oraz opisuje psychospołeczne pułapki rozwoju nauczyciela akademickiego w roli dydaktyka. W podrozdziale „Szok startu zawodowego” zwraca uwagę, że na początku kariery wiedza wyniesiona ze studiów zdaje się mało przydatna i nieprzystająca do zadań stawianych nauczycielowi akademickiemu. Można wtedy wpaść w cztery pułapki: bezradność merytoryczną, metodyczną, bezradność w kształtowaniu relacji ze studentami oraz niemoc twórczą.

Pokonanie szoku startu zawodowego umożliwia wejście w fazę budowania względnej równowagi w zawodzie i szukania wzorców metodycznych. Jak zauważa autorka, na tym etapie nauczycielowi akademickiemu łatwo wpaść w pułapkę stereotypów pedagogicznych. Wydaje mu się, że już wszystko wie na temat kształcenia studentów, i nie widzi potrzeby rozwijania kompetencji. Bezrefleksyjnie powiela stare rozwiązania metodyczne. Nie odbiera komunikatów zwrotnych, zwłaszcza od studentów, z pogardą traktując na przykład ankiety ewaluacyjne (poświęcono im oddzielny rozdział). Brak mu refleksji nad własnym działaniem.

Niekiedy po kolejnych etapach – sprawnego funkcjonowania w zawodzie oraz krytycznej refleksji i kształtowania się samowiedzy i samokontroli – nadchodzi etap twórczości pedagogicznej. Nieliczni nauczyciele, którym udaje się go osiągnąć, charakteryzują się między innymi determinacją w realizacji podjętych działań, otwartością i elastycznością, potrzebą niezależności oraz zaufaniem do własnej wiedzy i doświadczeń.

Na każdym etapie można doznać wypalenia zawodowego. By tego uniknąć, należy dbać o komfort psychiczny pracy oraz postawę wobec życia zawodowego. Warto również ustalić cele i priorytety oraz prowadzić prozdrowotny tryb życia.

Iwona Maciejowska zajmuje się tematem rozwoju kompetencji dydaktycznych. Wiele osób w środowisku akademickim uważa, że do zawodu nauczyciela trzeba mieć powołanie. Autorka analizuje wiedzę na temat doskonalenia zawodowego kadry kształcącej oraz przygotowuje rekomendacje w zakresie prowadzenia wsparcia dydaktycznego dla nauczycieli akademickich i doktorantów.

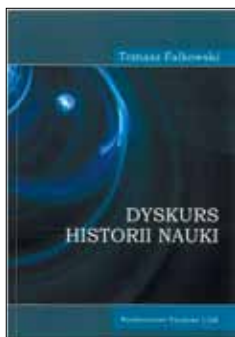
W publikacji kilkakrotnie poruszono tematy reformy szkolnictwa wyższego oraz Ustawy 2.0. Zawarto tu między innymi relację z dyskusji podczas III Konferencji „Ars Docendi – rozwijanie kompetencji dydaktycznych nauczycieli akademickich i doktorantów”. Rozmowa była inspirowana wieloletnimi postulatami o docenienie wybitnych dydaktyków, którzy nie są w stanie pogodzić pracy dydaktycznej z osiągnięciami naukowymi. Komentarz do dyskusji na temat kierunków ewolucji polskiego systemu szkolnictwa wyższego napisał Piotr Obacz. Stawia on tezę, że „społeczność akademicka jest wkląpana w swoją pułapkę społeczną, gdy sytuacja silnej konkurencji, a czasem i konfliktu, podsycana jest niejednokrotnie politycznymi zapędami organizatorów życia uniwersyteckiego i ścieżki rozwoju pracowników naukowo-dydaktycznych, radykalnym zaangażowaniem na rzecz zmian, a także pobudzana przez fetyszyzację doskonałości, rozwoju, innowacyjności i efektywności”.

Chociaż Obacz „innowacyjność” wymienia w kontekście negatywnej „fetyszyzacji”, pandemia wymusiła na nauczycielach stosowanie nowych metod kształcenia. O części z nich trafnie pisze Łucja Kaprańska, nie mając jednak jeszcze doświadczeń 2020 roku.

Justyna Jakubczyk

Anna Sajdak-Burska, Iwona Maciejowska (red.), **Profesjonalizacja roli nauczyciela akademickiego**, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2020.

Historie dysput i sporów



Czy pojawienie się geometrii jako nauki teoretycznej, a tym samym geometrii jako części szerszej racjonalności greckiej zasadało się w społeczno-politycznej myśli Greków i było związane z funkcjonowaniem polis? Niekiedy z nas nigdy nie zadaliby sobie takiego pytania. Należy ono do specyficznego, wysoce metodologicznego dyskursu. I to w dodatku rodem z francuskiego świata naukowego. A tak w ogóle odpowiedź na to pytanie podzieliła francuskich naukowców – mniej więcej po równo.

Dyskurs historii nauki to nie kompendium obejmujące całościowo historię nauki, lecz historie pewnych tylko sporów, dysput czy polemicznych korespondencji dotyczących nauki. Jedną z ciekawszych, jakie przedstawia poznański badacz, jest oryginalna myśl francuskiego historyka nauki Alexandra Koyrégo. Zaprezentowany został warsztat historyka we wspomnieniach uczestników seminarium prowadzonego przez Koyrégo w latach pięćdziesiątych XX wieku. Seminarzyści wspominali, że nadrzędnym elementem techniki stosowanej przez francuskiego historyka była „ważna lektura tekstów w celu zrozumienia, w jakim wymiarze dany autor zgadzał się bądź nie ze swoimi poprzednikami i współczesnymi co do sposobu tworzenia pojęć”. Ktoś inny dodawał fakt, że Koyré nauczał, w jaki sposób rozważać idee naukowe w odniesieniu do religijnej i filozoficznej myśli rozumianej jako matryca, z której biorą one swój początek. Oryginalność Koyrégo polegała nie tyle na opisie naukowej rewolucji, co na zaproponowanej przez niego metodologii historycznej, szerszej ujmującej i interpretującej treść „dzięki ponownemu umieszczeniu teorii i naukowych dzieł w ich duchowym oraz intelektualnym środowisku, dzięki odczytaniu ich w zależności od nawyków mentalnych, preferencji i awersji samych autorów”. Perspektywa taka zmusza do dużo bogatszej refleksji niż tylko analiza źródeł. Takim podejściem wykazał się Koyré w stosunku do życia i dzieł Kartezjusza, Newtona, jeszcze wcześniej Galileusza.

Swoje miejsce znalazła w książce charakterystyka historyczno-filozoficznej twórczości Héléne Metzger (1889–1944). Próbowała ona do badań nad dziejami nauki wykorzystać wypracowaną przez niemieckich filozofów metodę hermeneutyczną i podobnie jak oni usiłowała przeobrazić metodologię nauk humanistycznych (nauk o duchu) z tej perspektywy.

W pracy nie mogło zabraknąć charakterystyki szkoły badaczy francuskiej historiografii „Annales” – *histoire des mentalités* Marca Blocha, Luciena Febvre’a, Jaquesa Le Goffa czy Pierre’a Chaunu. Znawcy i komentatorzy szkoły „Annales” dostrzegli, że pomimo różnic, jakie zaznaczyły się w 1968 r., o względnie jednolitym charakterze uprawianej historii mentalności decydował w „Annales” „jej deklaracyjny powrót do źródeł. Był ważniejszy aniżeli spójny program badawczy czy tym bardziej sama praktyka historiograficzna”.

I tak pewnie było do 1983 r., kiedy to podczas słynnego kolokwium *Histoire des sciences et mentalités* epistemolożka Yvette Conry, znana wcześniej z prac na temat upowszechniania darwinizmu w dziewiętnastowiecznej Francji, zaatakowała już trzecią generację wychowanków „Annales”. Zdaniem Conry, historia mentalności zapatrzona w swoje początki, w osiągnięcia Blocha i Febvre’a, „odziedziczyła po nich cały zbiór konotacji związanych z pojęciem mentalności. A te zostały określone przez konkretne idee oraz dziedziny, z których inspiracje czerpali pierwsi Annalesci”. Chodziło tu o myśl Levý-Bruhla, dla którego „mentalność była konceptualnym operatorem jednego z pierwszych powiązań tego, co psychologiczne, z tym, co kolektywne”. Nie należy przy tym zapominać, że pojęcie znalazło początkowo zastosowanie do charakterystyki społeczeństw uznawanych wówczas za mniej rozwinięte, prymitywne. Wywód Conry ukazał francuskim metodologom, iż główne pojęcie dla szkoły „Annales” – mentalność, konstituowało się w opozycji do dominującej w tym czasie racjonalności i wymaga współczesnej redefinicji.

Bogdan Bernat

Tomasz FALKOWSKI, **Dyskurs historii nauki**, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, Poznań 2020, seria: Historia.

Krytycyzm „starego klasyka”



Kajetan Koźmian (1771–1856) pod koniec swego długiego życia oświadczył w *Pamiętnikach*, że zostanie zrozumiany za lat dwieście. Zaczęła się ta przewidywana pora. Maciej Mycielski w monografii *W „naszym pogrzebowym położeniu”*. *Kajetan Koźmian po powstaniu listopadowym* przypomina jednego z przeciwników romantyków w celu zbadania jego poglądów i mentalności.

Negacja niepodległościowego zrywu może dziwić tylko tych, którzy nie wiedzą, że wśród polskich elit tamtego czasu istniał głęboki

podział ze względu na stosunek do powstania listopadowego. W *Pamiętnikach* poeta, urzędnik, publicysta utrwalił krwawe i nieludzkie sceny mordów w trakcie „listopadowej rewolucji”. Szczegry nienawidził Joachima Lelewela, a powstańców nazywał „awanturnikami i zbójcami”. „Klasyk” cierpiał nie tyle z powodu kolejnej klęski Polaków, ile dlatego, że 25 stycznia 1831 roku jako senator poparł i podpisał akt detronizacji Mikołaja I.

Mycielski jednak nie potępia w czambuł antypowstańczych przekonań Koźmiana, a raczej analizuje spostrzeżone przez niego negatywne zjawiska psycho- i moralnospołeczne. „Antyromantycznie” usposobiony starzec zauważał swoiste absurdy każdego czasu zamętu: „równą stało się zdradą, hańbą i niebezpieczeństwem należeć do rewolucji, jak nie należeć”. Jak to wyszedł historyk literatury, „klasyk” znajdował „etyczne” argumenty przeciw powstańcom, ale w imię patriotyzmu i rozumianej w sobie właściwej miłości do Ojczyzny.

Klasycyzm Koźmiana rzutował na „styl myślenia politycznego”, polegający na uwzględnianiu kwestii ponadczasowych, oglądaniu się na „wzory” i na przyznawaniu ogromnej roli „wielkim ludziom”. „Stary klasyk” oburzał się na zaliczanie do nich muzyków i dziennikarzy. Naród utożsamiał z państwowością jako wspólnotą polityczną; jeśli jej nie ma, naród ginie. Toteż twierdził, że zniesienie konstytucji oraz instytucjonalnej odrębności Królestwa Polskiego od Rosji na skutek upadku powstania oznaczało faktyczną śmierć narodu.

Diagnozy Koźmiana nie są li tylko historyczne i polityczno-narodowe. W jego mniemaniu „rewolucja” niszczy fundamenty ojczyzny: „cnota”, „religia”, „ludzkość”; bez nich staje się ona „jaskinią łotrów, zbójców, krzywoprzysiężców, bluźnierców, morderców”. Pisarz zresztą czuł dyskomfort, upamiętniając bieg „rewolucji”, gdyż niegodne jest być „dziejopisem awantur czy biografem moralnych degeneratów”. Koźmianowi nie mieścił się w głowie „świat bez reguł” i „właściwych miar rzeczy”.

W książce Mycielskiego zrekonstruowane są poglądy literackie jako takie, które powinny być formułowane i odpowiedzialnie przemyślane, gdyż rzutują zarówno na indywidualne, jak i zbiorowe zachowania ludzi, ale też możliwości samostanowienia, rządzenia i samoorganizacji. Koźmian, obserwując powstańcze rozruchy, widział – zdaniem Mycielskiego – niebezpieczne dla życia zbiorowego tendencje, takie jak „teatralizacja patriotyzmu”, „działania symboliczne”, „estetyzacja polityki”. Potępiał „patriotyzm emocjonalny”.

Krytycyzmowi Koźmiana zawdzięczamy obserwację charakterystycznych i destrukcyjnych, a nieobcych nam współcześnie zjawisk, na przykład: „żądę słynności”, karlenia umysłowego, poddawanie się próżności, zagrożenia autobiografizmu, ekspansję powieści („Co bądź, jak bądź, byle prędko i dużo”), odejście od „wielkiej historii”, rozrost stronniczości, promocję zła, osłabianie religii jako przeszkody w rozpowszechnianiu się hedonizmu itd.

W książce Macieja Mycielskiego w klasycystycznych poglądach Koźmiana przegląda się nasz czas. Po jej lekturze wygląda on tak, jakby urzęczywiastniało się odbicie w krzywym zwierciadle.

Zbigniew Chojnowski

Maciej MYCIELSKI, *W „naszym pogrzebowym położeniu”. Kajetan Koźmian po powstaniu listopadowym*, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 2019, seria: Monografie FNP.

Czytając w ciemności



Kiedy patrzy się na skalę zniszczeń syryjskiej Darajji, trudno uwierzyć, że żyjący na jej terenie ludzie byli w stanie przetrwać kilka lat w niewyobraźalnie trudnych warunkach. Jak wielka determinacja towarzyszyć musiała mieszkańcom tego oddalonego o kilka kilometrów od Damaszku miasta, skoro mimo codziennego ostrzału i sięgających spustoszenie bomb beczkowych większość z nich nie chciała opuścić domostw czy raczej tego, co z nich zostało? Darajja stała się dla wielu obserwatorów współczesnym symbolem niezłomnej

walki o prawo do życia.

Stała się także przykładem heroicznego poświęcenia w imię miłości do książek. Oto bowiem w tym pogrążonym w cierpieniu i mroku miejscu, w jednej z piwnic zrujnowanego budynku grupa zapaleńców postanowiła stworzyć azyl dla pasjonatów czytania. Sprawa fenomenalnego przedsięwzięcia przyciągnęła uwagę międzynarodowego korespondenta BBC Mike’a Thomsona. Owocem reporterskiej pracy jest książka o wszystkim mówiącym tytule *Biblioteka w obłożonym mieście*. Autor w swoim zawodowym życiu widział dużo. Był świadkiem i relacjonował wiele krwawych konfliktów i ludzkich tragedii, jednak zetknięcie z bohaterstwem mieszkańców Darajji, którzy z narażeniem życia uratowali od zniszczenia setki woluminów, wywołało w nim zupełnie nowe emocje.

Z powodu niemożliwej do pokonania blokady miasta brytyjski dziennikarz nie mógł bezpośrednio dotrzeć do bohaterów opowieści. Zmuszony do rozmów wyłącznie za pośrednictwem zawodnych w tych warunkach połączonych internetowych, potrafił jednak nawiązać głębokie międzyludzkie relacje, dzięki czemu opowiedziana przez niego historia staje się bliska każdemu, kto ma w sobie wrażliwość na trudne losy innych. Thomson nie wstydzi się pisać o intymnych przeżyciach. Nie ukrywa przed czytelnikiem faktu, że płakał na wieść o śmierci kolejnych osób. Ten brak dystansu otwiera ogromną przestrzeń, którą można zapełnić prawdziwą bliskością z opisywanymi postaciami.

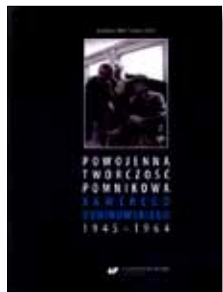
Książki od wieków uważane były przez różne systemy za realne zagrożenie. Palono je więc na stosach, likwidowano lub cenzurowano i zawsze trzeba było sporej odwagi, żeby podjąć się próby ich uratowania. Odwagi z pewnością nie zabrakło darajjskim bibliotekarzom, którzy ocalając wiele bezcennych tomów, zachowali od unicestwienia nie tylko materialne wytwory ludzkiego umysłu, ale przede wszystkim zrealizowali własne marzenia o wolnym dostępie do słowa i możliwości swobodnej wymiany poglądów. Biblioteka była bowiem miejscem nieskrępowanego życia intelektualnego. Tutaj organizowano wykłady i prowadzono kluby dyskusyjne. W ukrytym azylu, w samym środku szalejącego wojennego piekła udało się podtrzymać wiarę w człowieka, istotę społeczeństwa i nade wszystko w moc kultury. Kultury rozumianej jako źródło wspólnoty przekraczającej istniejące różnice.

Opowieść Thomsona jest hołdem złożonym wszystkim, którzy mimo strachu, głodu i bólu znaleźli w sobie siłę, by stworzyć enklawę, gdzie panuje równość oraz otwartość. I mimo iż ostatecznie musieli oni opuścić miasto i zostawić bez opieki stworzoną przez siebie bibliotekę, a scena czułego z nią pożegnania jest jednym z bardziej wzruszających momentów książki brytyjskiego reportera, to nie można powiedzieć, że nierówna od początku walka została przegrana. Determinacja zaangażowanych w nią osób po raz kolejny przypominała światu o syryjskiej tragedii i jak, pisze autor, przyniosła nadzieję na ostateczne zakończenie tragicznego konfliktu. Warto zachować w pamięci sylwetki ludzi, którzy wiele poświęcili, by mieć możliwość czytania, nawet jeśli oznaczało to przebywanie w skrajnie trudnych warunkach, przy często gasnącym świetle i przy towarzyszącym dźwięku kolejnych detonacji.

Aneta Zawadzka

Mike THOMSON, *Biblioteka w obłożonym mieście. O wojnie w Syrii i odzyskanej nadziei*, tłum. Andrzej Homańczyk, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2020, seria: Mundus.

Gigant w czasach fałszywych proroków



Postać Xawerego Dunikowskiego, a przede wszystkim jego twórczość, popadała w ostatnich czasach w zapomnienie. Klasykujący rzeźbiarstwo nie spotykało się z uznaniem w czasach, gdy twórczość neoawangardowa, a przede wszystkim wpisująca się w nurt sztuki krytycznej, zdominowała percepcję sztuki. Po przełomie 1989 twórczość Dunikowskiego była umieszczana przez część badaczy „na indeksie” ze względu na jego zaangażowanie w tworzenie pomników fundowanych przez komunistyczne władze. Przejawem zapomnienia była niewielka liczba wystaw oraz publikacji poświęconych wybitnemu rzeźbiarzowi.

Na szczęście, niejako wbrew temu trendowi, ukazała się książka Karoliny Tomczak, autorki mającej bardzo dobre rozeznanie w najnowszej sztuce, a jednocześnie prezentującej spojrzenie pozwalające – o ile to możliwe w naszych bardzo zaangażowanych czasach – na obiektywną ocenę twórczości zmarłego przed niemalże sześćdziesięciu laty mistrza. Z całą pewnością jest to dystans czasowy pozwalający na spokojną i wyważoną ocenę.

Ze względu na charakter rzeźby monumentalnej, w jakiej specjalizował się Xawery Dunikowski, trzeba podjąć problem jego relacji do socrealizmu obowiązującego w przeważającym okresie jego powojennej twórczości. Autorka podejmuje zagadnienie tego okresu w sztuce polskiej oraz – nie ukrywając zaangażowania bohatera książki – roli, jaką Dunikowski odgrywał w oficjalnej sztuce PRL-u.

Zatem można stwierdzić, że książka składa się z dwóch części. Pierwszą jest prezentacja sztuki socrealistycznej, jej założeń i historii, a także staranne omówienie polskiej literatury tego zagadnienia. Druga część, stanowiąca clou pracy Karoliny Tomczak, jest omówieniem najważniejszych prac realizowanych przez Dunikowskiego w okresie powojennym. Przy czym od badania warstwy treściowej, czasami będącej wiernopoddańczym hołdem wobec reżimu, autorka woli podjąć analizę rozwoju form tworzonych pomników. Nie należy zapominać, że osiągnął on pełnię dojrzałości jeszcze przed wojną, a rozwój dokonywał się w swoistej grze z socrealistycznymi prawidłami.

Dunikowski, zdaniem autorki monografii, starał się łączyć realizm form ze swoistym abstrakcjonizmem, tak aby treści były prezentowane nie tylko dosłownie, ale także z wykorzystaniem metafory. Od strony formalnej stawił on, oprócz monumentalności, na prostotę formy, dzięki czemu uzyskiwał wspaniałe efekty w swoich rzeźbach.

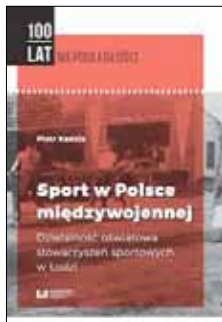
Jak zatem autorka podsumowuje powojenną twórczość Xawerego Dunikowskiego, biorąc pod uwagę jego zaangażowanie w struktury komunistycznego reżimu? Pomija ona kwestie oceny systemu, co pozwala uniknąć kontrowersji związanej z postawą artysty. Stawia na ocenę jego działalności artystycznej, wskazując, że kluczowym jej elementem jest termin „artyzm”. Wedle autorki „jakość formalna wyraża talent twórcy, rządzi się własnymi prawami, nie podlega moralnemu wartościowaniu. Istnieje w sposób absolutny – albo jest, albo jej nie ma”. W ten sposób podejście do realistycznego wymiaru twórczości artysty pozwala na znalezienie modernistycznego wymiaru realizmu, który nie będąc podporządkowany politycznym rygorom, jednocześnie pozwalał na swobodne przyjmowanie zleceń państwowych, bez których nie mógłby Dunikowski realizować artystycznych kreacji. Czy był to naturalny rozwój jego twórczości, czy konformistyczna gra z dyktaturą? Na to pytanie musi odpowiedzieć sobie czytelnik samodzielnie.

Niewątpliwie były to czasy zakłamania i zniewolenia. Odpowiedzią Xawerego Dunikowskiego na tę opresję była doskonała w formie i niezważająca na ideologiczne aspekty działalność rzeźbiarska. Na kłamstwa propagandy odpowiadała nie polemiką i oporem, lecz wewnętrzną prawdą swoich dzieł. I mimo dwuznaczności takiej postawy nie ma najmniejszej wątpliwości, że był prawdziwym gigantem w swoich czasach, a jego milczenie byłoby wielką stratą dla polskiej kultury.

Juliusz Gałkowski

Karolina TOMCZAK, **Powojenna twórczość Xawerego Dunikowskiego 1945-1964**, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2020.

ŁKS, Widzew i cała reszta



„Tylko zdrowy fizycznie i moralnie oraz wyrobiony intelektualnie obywatel może służyć Ojczyźnie i dążyć skutecznie do budowy Polski mocarstwowej” – przekonywały władze jednej z łódzkich fabryk. W innej równie stanowczo komunikowano, że na przyjęcie mogą liczyć jedynie „ludzie zdrowi, uprawiający sport, a już co najmniej gimnastykę”. U zarania niepodległości sport, nie tylko wśród proletariatu, miał do spełnienia szczególną rolę.

Prymat w powojennym organizowaniu tej sfery życia dzierżyła wprawdzie Galicja (to w Krakowie powstał jako pierwszy Polski Związek Lekkoatletyczny), za to Łódź miała swoją specyfikę. Wybitnie robotniczy charakter miasta nie wyjaśnia jeszcze wszystkiego. Był to przecież istny narodowościowy tygiel, w którym egzystowali obok siebie Niemcy, Żydzi i Polacy. Do tego ledwo co wywołano się spod rosyjskiego jarzma, które – jak wskazuje Piotr Kędzia – najmocniej ograniczało społeczno-kulturalną aktywność Polaków. Ich determinację w ciągłym poszukiwaniu czegoś, co stanowiłoby namiastkę utraconej państwowości, najlepiej obrazuje skala konspiracyjnych działań, wśród których manifestowanie patriotyzmu poprzez sport było jednym z ważniejszych tożsamościowych wentyli. Swoje korzenie w okresie zaborów odnajdywała spora część ze 150 funkcjonujących w międzywojenniu stowarzyszeń. Autor – lekkoatleta, olimpijczyk z Aten i Pekinu, obecnie zatrudniony na Wydziale Nauk o Wychowaniu Uniwersytetu Łódzkiego – wyselekcjonował osiemnaście (tylko polskich), których działalność dalece wykraczała poza współzawodnictwo.

Zawiedzie się zatem ten, kto szuka tu wyników, tabel, rekordów... Kędzia świadomie stroni od tego, co stanowi sól sportu. Nad kronikarskie dokumentowanie osiągnięć przedkłada pomijaną zazwyczaj w kontekście tego typu organizacji sferę kształtowania osobowości. Kto wie, czy w odradzającym się państwie nie był to kluczowy aspekt działalności. Obok rozwijania tężyny fizycznej krzewiono bowiem wartości patriotyczne, wpajano zasady współżycia, piętnowano oszustwo, jednym słowem wykuwano przyszłych obywateli. Stowarzyszenia zakładały biblioteki i czytelnie, prowadziły kursy, aranżowały pokazy filmowe, wieczorki muzyczne, urządzały pogadanki, przygotowywały przedstawienia teatralne, organizowały wycieczki turystyczne, a niektóre miały nawet swoje orkiestry... W ten sposób dość łatwo było nie tylko przyciągnąć narybek, ale też i kreować właściwe z punktu widzenia władz postawy prospołeczne. A stąd już tylko krok do indoktrynacji, w wyniku której stowarzyszenia stawały się niekiedy partyjnymi przybudówkami. Nie bez powodu TG Sokół utożsamiano z endecją, a RTS Widzew z obozem socjalistów. Wynikały z tego nie tylko korzyści wychowawcze, ale przede wszystkim finansowe. Można jedynie załować, że ciekawie zapowiadający się tu i ówdzie wątek politycznej współzależności nie został w książce bardziej wyeksponowany.

Autor oddaje się za to studiowaniu statutów, pokazuje proces rejestracji stowarzyszeń, analizuje ich finansowe zaplecze. Nie zapomina o działaczach, którzy wykazywali się pedagogiczną żyłką i „nie ulegali przeświadczeniu, że to ćwiczenia fizyczne zapewniają pełnię oddziaływań wychowawczych”. Choć to monografia stricte naukowa, będąca zmodyfikowaną wersją doktoratu, można natrafić na smakowite historie, jak ta o przygotowaniu przez robotników terenu pod boisko piłkarskie czy odwołaniu meczu ŁKS z niemiecką drużyną w proteście przeciw prześladowaniu Żydów. Stawiając uzupełnienie nieco monotonna, fragmentami dłużącego się faktycznego zapisu, doskonale oddają ducha sportu, za jakim dziś można zatęsknić: łączącego, egalitarnego, solidarnego.

Mariusz Karwowski

Piotr KĘDZIA, **Sport w Polsce międzywojennej. Działalność oświatowa stowarzyszeń sportowych w Łodzi**, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2020.



Leszek Szaruga

Epoka postepistolarna

Rok 2021 przebiegać ma u nas pod patronatem czterech pisarzy – Norwida, Baczyńskiego, Lema oraz Różewicza. Ten ostatni ogłosił swego czasu wiersz, którego bohater, będący, jak się można domyślić, Chrystusem, pisze na piasku list do matki, powiadamiając ją, że oni, jego uczniowie, słowa raczej mają za nic i że bardziej do nich przemawiają czynione na ich oczach cuda, po czym, widząc, iż owi się zbliżają, zaciiera ślady pisma. Ten napisany, ale przecież nienapisany list jest w moim odczuciu dość ważnym przesłaniem autora *Kartoteki*.

List od niepamiętnych czasów jest tym sposobem komunikacji, zarówno prywatnej jak i publicznej, który, za sprawą pisma właśnie, utrwalał także – by wspomnieć tylko wydane przez Hannę Małeuską *Listy staropolskie z epoki Wazów* – dla potomnych wiedzę o kwestiach naszych przodków, ale też i o ich życiu prywatnym. Ważną rolę odegrała i po dzień dzisiejszy odgrywa korespondencja publiczna – dość wspomnieć listy, które obok ewangelii składają się na *Nowy Testament*, ale także, by przywołać dokument dla kultury europejskiej szczególnej doniosłości, *List o tolerancji* Johna Locke'a. Już choćby te wyrywkowe przykłady dowodzą, że epistolografia ma olbrzymie znaczenie w kształtowaniu naszej kultury. Niezwykłą wartość mają wszak również takie świadectwa korespondencji prywatnej, jak zbiór listów Abelarda i Heloizy.

List wszedł też na stałe do literatury. Wystarczy przypomnieć pierwszą psychologiczną powieść polską, jaką jest *Malwina, albo domysłność serca* opublikowana w roku 1812, która, u nas niemal zapomniana, doczekała się zniemacka tłumaczenia i publikacji po angielsku u progu obecnego stulecia w roku 2001 – habent sua fata libelli, zaiste! Nie od rzeczy będzie też wspomnieć o roli, jaką przed półwieczem odegrała publikacja epistolograficznej powieści Kazimierza Brandysa *Wariacje pocztowe* stanowiącej w przemyślny sposób opowiedzianą historię Polski. Pamiętać też jednak warto o innych literackich dziełach tego rodzaju, jak choćby *List lorda Chandosa* Hugo von Hofmannsthal'a, o którego znaczeniu dla współczesnego piśmiennictwa zajmująco pisał Gustaw Herling-Grudziński w swoim *Dzienniku pisany nocą*. Cóż, każdy badacz literatury, ale też każdy historyk, wie doskonale, czym jest list jako forma wypowiedzi i jaką rolę odgrywał na przestrzeni dziejów zarówno w budowaniu więzi międzyludzkich, jak w kształtowaniu życia społecznego, polityki nie wyłączając. I każdy z nich zdaje sobie sprawę, że tej formie wypowiedzi, zarówno prywatnej, jak publicznej, a także artystycznej, poświęcić można

– czyli, jak to dziś mówią politycy i dziennikarze: dedykować jej – pasjonujące rozprawę.

Literatura przedmiotu jest tu zresztą niezwykle bogata, zarówno w przestrzeni badań teoretycznych, jak w obszarze historycznoliterackim, wreszcie i innych nauk społecznych. List albowiem jest przecież także nośnikiem komunikacyjnym, ma swoje wzorce, ma od owych wzorców odstępstwa. Byłoby pewnie rzeczą niezmiernie interesującą napisanie rozprawki dotyczącej korespondencji wysyłanej z i przysyłanej do peerealii. Wiadomo skądinąd, że poddawana ona była cenzurze, raz wyrywkowo, kiedy indziej bardziej intensywnie, znane są procesy wytaczane za listy nieprawomyślne bądź za niesłuszne kontakty zagraniczne. Wiadomo też o celowym spowalnianiu drogi korespondencyjnej – przeciętnie na list wysłany do Berlina Zachodniego rodzice moi czekali miesiąc, drugi zaś miesiąc oczekiwałem odpowiedzi (ważne są też konteksty: na połączenia telefoniczne czekało się długie godziny, zaś z Ameryką nawet kilka dni; nikt już prawie nie pamięta o istnieniu central międzymiastowej i międzynarodowej, do których dodzwonienie się było w latach sześćdziesiątych czy siedemdziesiątych ubiegłego stulecia równie trudne, jak dziś, w dobie pandemii, do przychodni lekarskiej).

Szczególną rolę odgrywała korespondencja w życiu literackim. Dość poczytać listy Jarosława Iwaszkiewicza do adresatów zza żelaznej kurtyny i zbadać odmienność narracji wysyłanej z Polski od tej, jaka pojawia się w listach pisanych w czasie wyjazdów pisarza na Zachód. Dziś atoli żyjemy w epoce postepistolarniej. Można oczywiście posłuchać z nutką zadumy piosenki Skaldów mówiącej o tym, że „ludzie listy piszą”, ale czas teraźniejszy należy już zmieniać na przeszły. Dziś ludzie piszą emaila i esemesy. Większość tych, na ogół bardzo krótkich tekstów znika na zawsze. Obawiać się należy, że publikowane dość gęsto tomy korespondencji pisarzy to już ostatnie tego typu wydawnictwa. Coś znika na naszych oczach i znika chyba bezpowrotnie. Już nawet widok skrzynki pocztowej, niegdyś powszechny, staje się obrazkiem niemal egzotycznym. I, oczywiście, nie ma czego żałować, podobnie jak nie ma co wzdychać za usługą telegrafu, nawet tego przekazywanego na ozdobnych blankietach (specjalna cena). Ale przyznam, że trochę tęsknię do samego siebie, gdy podczas pierwszego samodzielnego wyjazdu zagranicznego pisałem do ukochanej kilkunastu listy, które zresztą przysłyły niemal tydzień po moim powrocie.

Scena Plastyczna KUL

w obiektywie Stefana Ciechana



W ciągu 50 lat działalności Scena Plastyczna KUL założona i kierowana przez **Leszka Mądzika** wystawiła 22 autorskie przedstawienia: *Ecce Homo* (1970), *Narodzenia* (1971), *Wieczera* (1972), *Włókna* (1973), *Ikar* (1974), *Piętno* (1975), *Zielnik* (1976), *Wilgoć* (1978), *Wędrownie* (1980), *Brzeg* (1983), *Pętanie* (1986), *Wrota* (1989), *Tchnienie* (1992), *Szczelina* (1994), *Kir* (1997), *Całun* (2000), *Odchodzi* (2003), *Bruzda* (2006), *Przejście* (2010), *Lustro* (2013), *Cień* (2013), *Gorset* (2016).



Całun



Kir



Ikar



Wędrownie

Pętanie II



Wrota



Stowarzyszenie Zbiorowego Zarządzania Prawami Autorskimi
Twórców Dzieł Naukowych i Technicznych

SZANOWNI TWÓRCY DZIEŁ NAUKOWYCH I TECHNICZNYCH!

Stowarzyszenie KOPIPOL uprzejmie informuje, że przystąpiło do repartycji środków zainkasowanych w **2019 roku** tytułem opłat o których mowa w art. 20 oraz 20¹ ustawy o prawie autorskim i prawach pokrewnych, tj. od producentów i importerów urządzeń reprograficznych (kserokopiarek, skanerów, drukarek, itp.) oraz tzw. punktów ksero. **Środki te stanowią formę rekompensaty strat ponoszonych przez twórców na skutek kopiowania ich prac za pomocą urządzeń reprograficznych w ramach dozwolonego użytku osobistego.** Jednocześnie informujemy, że Stowarzyszenie KOPIPOL kontynuuje repartycję środków zainkasowanych za lata 2008 – 2018.

Wszystkich uprawnionych Twórców uprzejmie prosimy o zgłaszanie się do Stowarzyszenia w celu podjęcia należnych środków.

Każdy Autor może sprawdzić swoje uprawnienie do otrzymania należnych wynagrodzeń oraz wygenerować niezbędne dokumenty korzystając z wyszukiwarki uprawnionych autorów znajdującej się pod adresem wyszukiwarka.kopipol.pl.

Wyjaśniamy, przy tym, że uprawnionymi do otrzymania wynagrodzenia z systemu repartycji indywidualnej są ci autorzy, którzy publikowali swoje utwory naukowe i techniczne w wydawnictwach, których udział, oszacowany na podstawie badań statystycznych przeprowadzonych przez CEM Instytut Badań Rynku i Opinii Publicznej Sp. z o. o. w Krakowie, wyniósł w danym roku podziałowym 1% lub więcej ogółu publikacji wszystkich wydawców.

W podziale środków zainkasowanych w 2019 roku biorą udział autorzy publikujący w następujących wydawnictwach: *Wydawnictwo C.H. Beck, Wolters Kluwer, Wydawnictwo Naukowe PWN, Wydawnictwo Lekarskie PZWL, Polskie Wydawnictwo Ekonomiczne, Pearson Education Limited, Wydawnictwo Nowa Era, Oficyna Wydawnicza Impuls oraz Gdańskie Wydawnictwo Psychologiczne.*

Wykaz wydawnictw objętych systemem repartycji indywidualnej w latach 2008-2018 dostępny jest na stronie internetowej Stowarzyszenia w zakładce *Strefa Autora*.

Serdecznie prosimy wszystkich uprawnionych Twórców do zapoznania się z zasadami repartycji indywidualnej oraz szczegółowymi informacjami na temat działalności Stowarzyszenia dostępnymi na stronie internetowej www.kopipol.pl.

Informacje o systemie repartycji indywidualnej udzielane są również telefonicznie pod numerem: (41) 341 54 39 lub drogą e-mailową pod adresem repartycja@kopipol.pl.

Czekamy na Państwa dokumenty.

Skarbnik Stowarzyszenia KOPIPOL

dr Zdobysław Kuleszyński